

**BEZ
DEKRETU**

NR 17 KRAKÓW

BEZ DEKRETU

*Pismo członków i sympatyków
„SOLIDARNOŚCI”*

NR 17

Kraków — 1987

Spis treści:

1. Przetrywajmy - rozmowa ze Zdzisławem Najderem.....	3
2. Piotr Wiślicki - Droga do władzy. Taktyka PPR.....	7
3. Kornel Filipowicz - Pacjent.....	18
4. Radosław Nowak - W małej zonie.....	20
5. Jerzy Surdykowski - Romantyczny rewizjonizm.....	29
6. Ryszard Holzer - Wiersze.....	33
7. Barbara Baryła - Nasze dzieci, czyli trzecie pokolenie PRL.....	34
8. Andrzej Wiernikowski - Za tych co na morzu. Reportaż z RFN.....	38
9. Joanna Winnicka - List.....	41
10. B.P. - Moskwa, 1986 rok po narodzeniu Chrystusa, 69 rok władzy sowieckiej.....	43
11. Andrzej Drawicz - A jednak się rusza.....	49
12. Zmiana nazwisk.....	53
13. Andrzej Urbański - Realizm i alegoria.....	57
14. Paweł Raczkiewicz - Praktyka czystego rozumu.....	63
15. Jerzy Pilch - Indyk Beltsville.....	66
16. Konrad Struga - Tumany i fetysze. Rozmowa z pomnikiem.....	70

Wszystkie materiały publikujemy bez wiedzy i zgody Autorów.
Redakcja zastrzega sobie prawo skracania powierzonych jej materiałów.

© Copyright by BEZ DEKRETU

Przedstawiciel "Bez Dekretu": Agnieszka Kołakowska
Paryż, Francja

Dziękujemy Funduszowi Wydawnictw Niezależnych za pomoc.
Dziękujemy KONTAKTOWI za 100.

PRZETRZYMAJMY -

ROZMOWA ZE ZDZISŁAWEM NAJDEREM

MACIEJ KOWALSKI: Jesteś najbardziej tajemniczym z dyrektorów FWE. Zostałeś nim nie spodziewanie, w kraju uważano Cię za człowieka nauki. Wyrok śmierci za szpiegostwo, jaki pospiesznie otrzymałeś w stanie wojennym, był raczej wymierzony w nas, w kraj; miał nas zastraszyć na zasadzie brutalnego pogwałcenia prawdy; nie udało się, ale Ty sam mało prawdy o sobie odsłaniaasz; jeśli mówisz, to o sprawach ogólniejszych. Dopomóżmy więc przyszłym historykom, którzy badać będą nie tylko dzieje Waszej placówki - wykraczające zresztą swoim znaczeniem daleko poza ramy zwykłej rozgłośni - ale i jednostkowe losy ludzi, którzy do niej przyszli.

Pamiętam Cię jako wybijającego się intelektualnie studenta na UW, ale nie mola książkowego; byłeś widoczny, ruchliwy, o takich ludziach mówi się, że mają siłę przebicia. Brakowało Ci tylko oczarowania komunizmem, żeby zrobić karierę. Nie oczarowałeś się. Czy wówczas, w roku 1952, wiedziałeś czego chcesz?

ZDZISŁAW NAJDER: Raczej wiedziałem, czego nie chcę. Na przykład, nie chciałem być marksistą. Dla mnie marksizm od początku był bełkotem, był bezsenssem. Ja przez heglowskie ukąszenie nie przeszedłem nigdy a że zawsze interesowała mnie bardziej filozofia niż literatura /byłem pod wpływem tego, co się potocznie nazywało wówczas nieopozytywizmem/ więc jakby zostałem immunizowany. Najpierw "strzegła" mnie przed komunizmem filozofia, a potem polityka. Ukształtowała mnie tradycja rodzinna, PPS-owska i robotnicza, ale pełna przywiązania do ideałów Drugiej Rzeczypospolitej, kiedy to chodziłem do szkoły powszechnej, której przedłużeniem był czas wojny. Ja tej tradycji nie straciłem nigdy, pozostała mi bardzo bliska emocjonalnie. Po prostu wstydziłbym się od niej odejść. I to odejść do czego? Do czegoś, co było intelektualną brednią?

MK: Ale mnóstwo podobnie ukształtowanych odeszło! Twoich rówieśników. Dali się zafascynować tą wstępującą ideą, nie tylko dlatego, że panowała, że zapewniała bezpieczeństwo i karierę, ale i dlatego, że wówczas wszystko inne, dawne wydawało się być anachronizmem. Nie tylko ZMP-owcy śpiewali, że historia należy do nich. Również intelektualści i robotnicy Zachodu tak wykrzykiwali. Co Ciebie trzymało z dala? Mistrzowie? Czy mógłbyś ich wymienić?

ZN: Naturalnie. Moim mistrzem był profesor Ajdukiewicz, potem Tatarakiewicz, którego byłem asystentem; Kotarbiński, Ossowsky a z drugiej strony środowisko "Tygodnika Powszechnego", do którego wyrwiałem się, jak tylko mogłem. Oni wszyscy byli szczególnie wyczuleni na prawdę. Wiesz, gdy teraz analizuję siebie z tamtych lat, to myślę, że tym co mi najbardziej przeszkadzało w komunizmie był fałsz. Wymagane w zachowaniach elementy fałszu były tak krepujące, że po prostu determinowały moją postawę. Pamiętam sąłą kolumnową na UW, w niej parę tysięcy moich kolegów klaszczących i skandujących: STALIN-BIERUT-ROKOŠSOWSKI, siebie wściekłego z rękoma w kieszeniach, jest mi ogromnie głupio, i pytanie: co dalej...?

MK: No właśnie, co? Szybko potem dałeś się poznać jako Conradysta. Czym Cię pociągnął ten pisarz tak odległy, stary? Conrad w zastępstwie tego, czego nie mogłeś robić?

ZN: Nie w zastępstwie! Właśnie o to chodziło, że stary. Chodziło o wierność starym wartościom. Ja o Conradzie najpierw przeczytałem nie u Conrada, ale u Marii Dąbrowskiej w polemice z Janem Kottem. I to, co Dąbrowska napisała, bardzo mi pomogło i miało bezpośredni związek z przeżyciami moimi i moich rówieśników podobnie myślących. I znów utwierdziło mnie w niebraniu udziału w tym - nie wiem, jak to nazwać? Nie mówiło się wtedy "ugoda" - mówiło się "kolaboracja"...

MK: Już wtedy?!

ZN: Ironicznie! Mój niezłyjący kolega, nie będę wymieniał nazwiska, który kolabrował,

mówił mi: "jak długo będziesz się opierał, pokolaboruj trochę, to naprawdę nie ma sensu, oni zwyciężą". Jakoś mnie to nie skusilo, chociaż wtedy brakowało argumentów, że tak powiem, konkretnych. Uświadamiam sobie w tej chwili, że co mi z tych lat pozostało to pewne zawstydenie z wykładania własnych racji - takich staromodnych i nieżyjących

A do Conrada podsunąłem się od strony ówczesnej funkcji moralno-politycznej, pociągała mnie w tym najbardziej, dopiero potem zająłem się nim naukowo...

MK: Ale analiza naukowa pisarza politycznego, założywszy, że Conrad takim był, nie jest jeszcze "czystą" polityką. Jak doszedłeś do "czystej" polityki?

ZN: Też poprzez filozofię. Mówiłem: moje główne zainteresowania od początku były filozoficzne, pasjonowała mnie filozofia wartości, problematyka wyborów moralnych. Patrząc na tę problematykę w świetle polskiej tradycji widzimy, że u nas wybory moralne nie tyle dotyczyły życia jednostki, co raczej życia publicznego. Jest w naszej tradycji silny nurt odpowiedzialności za zbiorowość. Norwidowska definicja ojczyzny, że to wielki zbiorowy obowiązek, nie jest tylko stwierdzeniem poetyckim, ani tylko politycznym, to jest także stwierdzenie z dziedziny etyki. To jest problem dla każdego traktującego serio swoją pracę humanisty, a zwłaszcza filozofa. Wybiera się jako najcenniejsze jakieś tradycje czy wartości - więc wypada przeciwieście wyciągnąć z takiego wyboru osobiste konsekwencje. Więc zajmując się sprawami etyki bardzo teoretycznie, nie mogłem odciąć się od praktyki. Nie wystarczy bowiem dojść do pewnych koncepcji teoretycznych, trzeba jeszcze coś z nimi zrobić w życiu...

MK: Jednakże zachodnim filozofom wystarczy poprzestanie na koncepcjach teoretycznych. To u nas tak się układa, że intelektualista jest jakby pod stałym przymusem działania. Ludzie domagają się od niego postawy. Taka sytuacja nie jest zła, myślę że jest nawet twórcza, ale Ciebie zaprowadziła daleko: do "zarządzania przedsiębiorstwem"...

ZN: I może źle się stało? Bardzo tego nie lubię, nie tylko ze względu na czas; myślę, że do tej funkcji trzeba mieć inne dyspozycje psychiczne. Ten, kto lubi rządzić, kto lubi władzę, pewnie robiłoby to lepiej ode mnie. Ale i niedawidz może się nauczyć tańczyć, a mnie bardzo pomaga grono życzliwych ludzi, dawnych i nowych pracowników. Przyszedłem do Rozgłośni od strony spraw, którymi się zawsze zajmowałem, od myśli politycznej. I w Rozgłośni staram się nie zatracić tego, co robiłem niegdys w ramach Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, to jest, staram się współorganizować myślenie innych ludzi w tym sensie, że spotykam ich ze sobą, żeby mogli wymienić między sobą poglądy. Mój współdziałal w okresie Solidarności w tym, co się w Polsce wówczas działo, też na tym polegał. Ten rodzaj aktywności najlepiej odpowiada moim politycznym zainteresowaniom, bo w bezpośredniej grze politycznej nigdy nie miałem chęci brać udziału. No, ale teraz mam na to wszystko bardzo mało czasu... Do Rozgłośni wszedłem trochę przypadkowo: wyjeżdżając w latach siedemdziesiątych często do Stanów na wykłady, poznawałem sporo ludzi i patrzyłem na polską rzeczywistość ich oczyma, odzewnątr jakby.

Zacząło mi się z biegiem lat wydawać, że mógłbym ludziom w Polsce powiedzieć, jak moglibyśmy inaczej naszym bytem zbiorowym pokierować; bo widziałem jak w Polsce zanika zrozumienie dla pewnych form zbiorowego współżycia, które są na Zachodzie podstawowe, jak poszanowanie różnorodności myśli, uczciwe reprezentowanie poglądów, poszanowanie prawa, silniejsze nie tylko od rządu, ale i od ustroju. Myśmy się tego oduczyli + nawet jeżeliśmy to w ogóle umieli.

MK: Bo nie mogliśmy tego "przerobić" w praktyce!

ZN: Właśnie. Tak, że gdy zaczęto szukać do Rozgłośni nowego dyrektora, komus tam przyszedłem do głowy. Nie wiem, czy pierwszy był pan Gledroyc, czy Brzeziński, czy pan Jan Nowak, ktos mnie tam podsunął; rozmawiano ze mną na ten temat, wahałem się. Wciągu lat 1978-81 parokrotnie odmawiałem, radziłem szukanie kogos odpowiedniejszego, jednej osobie w Polsce nawet sam proponowałem. Miałem wątpliwości, czy się do tego nadaje - i wolałem być w Polsce. Radziłem się zresztą paru przyjaciół. Ostatni raz odmówiłem w listopadzie 1981 r., zdawało mi się, że ostatecznie. Ale dwudziestego grudnia, w tydzień po zamachu, kiedy do mnie znowu zatelefonował Jim Brown, ówczesny dyrektor Wolnej Europy, miałem w pamięci to, co powiedział mi jeden z przyjaciół w Warszawie: "Jak nam tutaj trzaśnie, to to będzie najważniejsza polska placówka za granicą". Wyraziłem zgodę. No i oto jestem.

MK: I bądź! Chyba wyrażę opinię ogółu mówiąc, że tej placówce potrzeba kogoś, czyje myśli wybiegają poza nią; i intelektualnie i politycznie. Wyłącznie fachowiec radiowy - to byłoby za mało. No, ale w ten sposób przeszedłeś na emigrancki chleb. Patrząc na polskich działaczy emigracyjnych, myślę, iż mimo deklaracji, nigdy do Polski nie wróciliby. Nie tylko ze względu na łatwość bytu, ale i na owo szczególne przyciąganie Zachodu. A Ty, czy lubisz być emigrantem?

ZN: Bardzo nie lubię. Brakuje mi codziennej łączności z polszczyzną w otoczeniu, brakuje mi przyjaciół, brakuje mi krajobrazu, brakuje mi miasta, w którym się wychowałem.

MK: Pójdź na ostatnią wersję filmową orwellowskiego "Roku 1984", a zobaczysz współczesną Warszawę wieczorem.

ZN: Wiesz, ja już jedną Warszawę zupełnie zmienioną przeżyłem. To mnie nie przeraża. Ale wracając do pytania: nigdy nie chciałem być emigrantem. Swoje wyjazdy traktowałem jako wyjazdy, nie widziałem siebie jako mieszkańca Zachodu. Status emigranta uważam po prostu za okaleczenie.

MK: No to poddam Cię testowi: polacy na Zachodzie, gdy ich zapyta o Boga i Ojczyznę, gorszą się, jakby ktoś naruszał ich intymność uczuciową, a następnie cytują Kasprowicza: "Rzadko na moich wargach...", lub wspomnianego i w tej rozprawie Norwida; nawet w Twojej Rozgłośni mówi się na ten temat w drażniącej Polaka w kraju podniosło-uczuciowej tonacji. Otóż w Polsce te sprawy stały się przedmiotem refleksji, zaczęliśmy o nich głośno myśleć. Powiedz czy tobie, filozofowi z ducha, emigrantowi z konieczności, kierownikowi opiniotwórczej placówki o największym społecznym zasięgu - byłoby łatwo mówić o Bogu i Ojczyźnie?

ZN: Mówić bardzo trudno i zawsze tak było, we wszystkich sprawach uczucia. Zresztą myślę, że tylko jeśli się postępuje w pewien sposób - daje się świadectwo własnej, określonej postawy. I niechże już inni ją opisują, nazywają po imieniu.

MK: Więc wróciłbyś do Polski?

ZN: Bardzo bym chciał. Oczywiście nie na dzisiejszych warunkach. Nie mam na myśli warunków egzekucji, myślę o warunkach politycznych. W tej chwili wydaje mi się, że tutaj mam znacznie większe możliwości działania niż miałbym w Polsce, nawet gdybym nie siedział.

MK: A w wolnej Polsce, do jakiej partii byś należał?

ZN: Nie wiem. Moje pepeesowskie tradycje rodzinne kierują mnie ku lewicy, ale ja nie wiem, nigdy w tych kategoriach nie myślałem. Wiem, że nie opuszcza mnie impuls szukania tego, co ludzi łączy i bazowania na tym działalności politycznej; jeszcze w PPN koledzy mnie podszczytywali: "ty, Zdzisław, chciałbyś wszystkich z wszystkimi godzić..."

MK: Jak Jerzy Popiełuszko.

ZN: Proszę mnie nie żenować! Nie wiem, czy w systemie partyjnym w ogóle znalazłbym sobie miejsce. Sądzę, że w warunkach wolności straciłbym swoje ostre zainteresowania polityczne, odszedłbym do pracy naukowej.

MK: Ale tych warunków nie ma i musisz być działaczem. Czy wiesz, że w kraju bardzo żywa staje się tęsknota do przeszczerpienia modelu "czystego kapitalizmu"? Z jego "lesferyzmem" i "krzywdą społeczną"?

ZN: Moim zdaniem, tęsknota ta oparta jest na złudzeniach. Czystego kapitalizmu nikt w Polsce nie wytrzyma. Można powiedzieć, że społeczeństwo jest rozpuszczone, ale trzeba też pamiętać, że to, co się nazywa kapitalizmem w Europie, przeszło głębokie przeobrażenie; w Europie nie toleruje się nędzy, tak jak toleruje się ją poza Europą. Europejczycy gobowi są godzić się z mniejszą żywiołowością produkcyjną dla zapewnienia wszystkim godziwych warunków egzystencji; nawet we Włoszech różnicę między bogatą Północą a biednym Południem uważa się za despekt, którego nie można tolerować...

MK: Ale Polacy żyją od czterdziestu lat w kraju, gdzie zaplata nie jest miarą włożonej jawnej pracy, ale nie jawnych układów; mieliby chętkę zmierzyć swoje siły w stylu wolno-amerykanki, brutalnie wymiernej. Być może, jest to zjawisko bardziej z gatunku psychologii społecznej niż ekonomii. Ale mieliśmy mówić o Tobie. Gdyby Cię Reagan spytał: "Panie Najder, odpowiedź pan w jednym zdaniu, co mam zrobić dla Polski..."

ZN: Wracam właśnie ze spotkania, gdzie cała prawda nie Reagan, ale pytało mnie o to gro- no dość znaczących politologów. Ja myślę, że sprawą najtrudniejszą w Polsce jest utrzy- mać nadzieję, że warto robić to, co robimy. Bo za nas nikt tego nie robi, nikt za nas nie przetrzyma tego, co przetrzymać musimy, nie wiem ile: pięć, dziesięć, pięćdziesiąt lat? Musimy my to zrobić, nikt inny. Z drugiej strony, mamy świadomość, że to nie my zadecydujemy o przyszłości Europy i naszej. Jednak to my musimy jakoś przeciągnąć przez ten okres do czasu, jak się zmieni konfiguracja międzynarodowa. Konkludując: chciałbym utwierdzić prezydenta, żeby nam pomógł w utrzymaniu nadziei.

MK: Jak?

ZN: Chociaż w ten sposób, żebyśmy mogli wydawać naszą prasę w kraju, nasze wydawnic- twa, które pozwalają utrzymać nas na pewnym poziomie informacji i kultury...

MK: Mówisz "my", a jesteś "tam"...

ZN: Wiem, niektórzy mają mi to za złe, ale naprawdę czuję się jak "my". Czuję, że to mnie odebrano np. dostęp do czasopism naukowych - ja ich obecnie i tak nie czytam z braku czasu, ale ja ten krajowy brak odczuwam osobiście - dlatego apeluję, gdzie mo- gę, żeby nam to dostarczyli. Przeciętny początkujący naukowiec na Zachodzie, czy jest papirologiem, czy jest chirurgiem, ma dostęp do komputera. Przeciętny polski naukowiec może tylko o tym marzyć. Więc dajcie nam powszechniejszy dostęp do komputerów! Przeży- liśmy wielką zapaść kulturalno-naukową w latach pięćdziesiątych, która została częś- ciowo wyrównana ogromnym ówczesnym skokiem ambicji; w tym czasie wlało się do świata kultury i nauki ileś milionów młodych ludzi. Jakość oczywiście upadła, ale ilość wzros- ła. Potem ta ilość koniecznie "chciała" przechodzić w jakość, choćby dlatego, żeby mieć dla siebie samych szacunek. Wiesz, ja bym określił to tak: żyjemy przez ostatnie czterdzieści lat z dwu magazynów: jednym magazynem jest Druga Rzeczpospolita, ogromny dorobek, a drugi magazyn to skok ambicji kulturowych w latach powojennych.

MK: Nie wymieniasz trzeciego magazynu, który może najmniej dostrzegam dzisiaj. A widzę go we wspomnianej już dążności Polaków do zadawania sobie Pytań Pierwszych, nie tylko w wymiarze filozofii, ale i modelu społecznego i gospodarczego. Ten pęd do pogłębienia władzy jest powszechny, przewija się w pytaniach nauczycieli i górników, wierzących i niewierzących, choć przeważnie wszystko odbywa się "przy kościele". Powracając do te go, coś powiedział o pomocy Zachodu dla nas, sądzę, że reakcją Polaków byłoby rozczaro- wanie: że zażądałeś od Reagana programu minimum.

ZN: Słuchaj, jeśli to Radio, w którym pracuję, znajduje się w stadium ciężkiego kryzy- su finansowego i musimy obcinać stawki, odrzucać współpracowników, to nie oczekuj ode mnie... Widzisz, trzydzieści parę lat temu, kiedy powstawało to Radio, mogło czerpać z wielkiego grona znakomych, utalentowanych ludzi. I teraz znowu jest szansa skorzys- tania z dużej liczby talentów - a my nie mamy etatów. To jest skala możliwości pomocy. Podobnie jest z innymi ośrodkami emigracyjnymi. Nie oczekuj ode mnie, że ja będę wy- soko szybował i żądał programu maksimum.

MK: Więc liczyć możemy tylko na siebie?

ZN: Na niewiele więcej, naprawdę.

MK: Tylko, że jak długo można "brać na przetrzymanie". W czasie okupacji musieliśmy, w czasie stanu wojennego - też. Ale jak to robić w okresie ciągnącego się, ustabilizo- wanego kryzysu? A do tego Zachód znów zaczyna kolaborować z komunistami...

ZN: To ty nie pamiętasz jak było dawniej. W roku Pańskim pięćdziesiątym nie mogliśmy liczyć na nic. Nawet Wolnej Europy nie było. A i potem też. Gdy sobie przypominam re-

akcje naukowców francuskich sprzed dziesięciu lat, człowiek wpadał w bezsilną furję z powodu ich ignorancji. Dziś już tego nie ma i żaden Urban tego nie zmieni.

MK: Wróćmy do nas: znam studentów aktywnych w strajku studenckim, potem bardzo odważnych w starciach z ZOMO, którzy jednak poszli głośować, choć nie zmienili poglądów. Tych postaw się boję. I dlatego chciałem wrócić do początków naszej rozmowy, kiedy mówiliśmy o okresie, kiedy wytrwać było trudniej. Przed chwilą powiedziałeś o nadziei. Nadzieja jest pojęciem trudnym do praktykowania. Chciałem jeszcze raz zapytać, jak zachowałeś nadzieję w sytuacji, kiedy świat pozostał niemy i głuchy na to, co dla Ciebie było oczywistością. Przecież jesteś realista, nie masz w sobie nic z Don Kichota...

ZN: Bo ja wiem? Może mam? Mój przyjaciel Andrzej Walicki do dziś powtarza, że jestem pozbawiony wyobraźni, że mam kantarki na oczach. Być może, nie odbieram na pewnej częściowości fał. Ale nie czuję z tego tytułu kompleksu, prawdę mówiąc. Poza tym pamiętaj, że "Przesłanie pana Cogito" Herberta oddaje bardzo dokładnie nie dzisiejsze, ale tamtejsze postawy, takiego zacięcia się w uporze, no nawet w takiej postawie, że być może, nie mamy racji praktycznej, użytkowej, że nie liczymy na sukces. Zbyszek Herbert pisze o poczuciu smaku, u mnie większą rolę odgrywało poczucie wstydu. Nas było wielu: imiennych i bezimiennych, ludzi, którzy po prostu czuli wstręt do kłamstwa. Ale zdaje się, że się powtarzamy?

MK: Tak. Ale czy nie dzieje się tak zawsze, gdy mówimy o sprawach ważnych, których prawdopodobnie nie doczekamy, ale chcemy, żeby zostały zapamiętane przez tych, którzy przyjdą po nas?

Rozmawiał: MACIEJ KOWALSKI

maj 1986

DROGA DO WŁADZY tatyka Polskiej Partii Robotniczej

Motto:

"My dążymy oczywiście do Polski Sowieckiej. /.../
Ale ze zrozumiałych względów nie nazywamy rzeczy po imieniu."

(Zofia Dzierżyńska w liście do Alfreda Lampego z 15 maja 1942 roku.)

PIERWSZE KROKI

Po ataku Niemiec na Związek Sowiecki w 1941 r. polscy komuniści znowu stali się przydatni dla Stalina. Ze względu na geografie nikt lepiej od Polaków nie nadawał się do roli partyzantów, mających za zadanie odcinać zaopatrzenie dla Ost-frontu. Ale utworzenie partyzantki zależnej od Moskwy było utrudnione, gdyż nie istniała polska partia komunistyczna - jak wiadomo KPP została rozwiązana i zniszczona w 1938 r.

Wkrótce po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej zaczęła się akcja organizowania nowej partii. Ci polscy komuniści, którzy przeżyli rzeź 1938 i 39 roku zostali zgromadzeni w kilku ośrodkach, gdzie przechodzili intensywne szkolenie pod kierunkiem za-

ufanych agentów Kominternu. Zresztą większość uczestników tych kursów, którzy potem zostali wysłani do kraju z zadaniem odbudowania partii, także była pracownikami Międzynarodówki Komunistycznej, a konkretnie szkoły partyjnej przy MK. W czasie szkolenia tych, jak je oficjalnie nazwano, Grup Inicjatywnych wiele dyskutowano o programie i tyktyce przyszłej partii. Jednym z problemów była jej nazwa. Nikt nie proponował powrotu do starej nazwy, o przyjęciu nowej - Polska Partia Robotnicza - zdecydował zaś sam G. Dymitrow, szef Kominternu. Wybór takiej, a nie innej nazwy był jednym z całego szeregu świadomych posunięć, których zadaniem było zakamuflowanie rzeczywistego charakteru partii. Jakub Bermań, kierownik szkolenia jednej z Grup Inicjatywnych, wyjaśniał jej członkom, iż "pod nową nazwą łatwiej będzie kupić dookoła siebie szerokie masy /.../ Aczkolwiek nasza partia nie będzie się nazywała komunistyczną i nie będzie formalnie /podkr. PW / należała do MK, lecz będzie to prawdziwie rewolucyjna partia". Niektórzy członkowie Grup Inicjatywnych pragnęli pójść jeszcze dalej i nazwać partię "Robotniczo-Chłopską", ale było to już chyba zbyt dalekie odejście od doktryny i nie zdecydowano się na nie.

Zrzućeni na spadochronach do Polski w grudniu 1941 przyszli twórcy PPR przywieźli do kraju nie tylko nazwę, ale i program partii. Oni też mieli stanowić jej kierownictwo. Program, także uzgodniony z Kominternem, różnił się diametralnie od dawnego programu KPP. Dominował w nim bowiem frazeologia narodowa, a nie klasowa, nie było w nim w ogóle mowy o socjalizmie, ani - tym bardziej - o komunizmie, postulaty społeczne zaś były niezwykle umiarkowane. Na pierwszym miejscu program stawiał "walkę z okupantem na śmierć i życie" i wzywał wręcz do przygotowywania powstania. Nawoływano też do "zjednoczenia wszystkich sił do walki z okupantem", do "utworzenia frontu narodowego". PPR, jak wynikało z pierwszej odezwy programowej, chciała walczyć o "wolną i niepodległą Polskę, w której naród sam o losach swych stanowić będzie", w której nie będzie "ucisku narodowego", "głodu ani bezrobocia". W sferze społecznej PPR żądała osmiodziesiętnego dnia pracy, ubezpieczeń społecznych i wolności organizacji. Ziemia "będzie należała do polskich chłopów" - twierdzili twórcy programu.

Stosunkowo łatwo jest odczytać rzeczywiste cele, które kryły się za sformułowaniami omawianej odezwy. Przede wszystkim chodziło o wykorzystanie rosnącej nienawiści do Niemców i pchnięcie najbardziej zapalnych warstw społeczeństwa do walki. Było to działanie w interesie Moskwy, której zależało na utrudnianiu hitlerowskiej ofensywy, a że cenę tych zrywów /zdecydowanie przedczesnych, jako że przewaga niemiecka była niażdżąca/ mieli zapłacić Polacy, tym Stalin ani polscy komuniści się nie przejmowali. Natomiast wizja Polski niepodległej, rządzonej parlamentarnie, kraju wolności i dobrobytu była kolejnym elementem kamuflażu, który miał ukryć agenturalny i komunistyczny charakter partii oraz przyciągnąć do niej możliwie najszersze warstwy narodu. Był to kamuflaż świadomy, o czym świadczy m.in. podsumowanie dyskusji Grupy Inicjatywnej nad programem: "Niniejszy manifest nie jest programem partii /który odpowiada programowi MK/, lecz platforma na danym etapie /podkr. PW/ kiedy naczelnym zadaniem jest /.../ walka narodu polskiego przeciw niemieckim faszystom".

Warto dodać, iż sprawa programu i nazwy partii wywoływała sporo dyskusji wśród założycieli PPR. Zwłaszcza niektórzy starzy KPP-owcy nie mogli zrozumieć nowej taktyki i odbierali ją jako odejście od ideałów komunizmu. Np. podczas spotkania założycielskiego PPR, 5 stycznia 1942 r. w Warszawie, jego uczestnicy byli zaskoczeni proponowaną przez Grupę Inicjatywną nazwą i domagali się powrotu do dawniej - KPP. Dopiero Paweł Pinder uciął dyskusję stwierdzając, że nowa nazwa została już zaakceptowana przez Dymitrowa.

Dokładniejszy opis tego zebrania założycielskiego rzuca dodatkowe światło na sposób postępowania komunistów. Wzięli w nim udział przedstawiciele kilku grup, a właściwie grup komunistycznych: Związku Walki Wyzwoleńczej, "Proletariusza", Stowarzyszenie Przyjaciół ZSRR i Rewolucyjnych Rad Robotniczo-Chłopskich. Za tymi szumnymi nazwami kryły się nieliczne, według określenia Adama Michnika "kanapowe", organizacje /W książce "Geneza PPR" partyjny historyk M. Malinowski wymienia z nazwiska większość członków niektórych spośród tych grupek./ W kontekście niewielkiej liczebności PPR zawarte w programie pretensje do stworzenia "frontu narodowego" mogły wyglądać dosyć humorystycznie. Ale były tam też groźby: PPR "wypowiada bezlitosną walkę wszystkim zdrajcom narodu polskiego, podłym agentom hitleryzmu i **rozbijaczom frontu narodowego**". Fragment ten brzmi dwuznacznie. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że "front narodowy" właściwie istniał i praktycznie cały naród był zjednoczony z rządem londyńskim i AK, to można by powyższe słowa rozumieć jako deklarację poparcia dla podziemia podporządkowanego legalnemu rządowi w Londynie. Wiemy jednak, że było inaczej. Front narodowy w rozumieniu polskich komunistów stanowili oni sami i ci, którzy zgodzą się uznać ich

kierownictwo. Przy takiej interpretacji "rozbijaczami frontu narodowego" stawało się całe podziemie "londyńskie". Późniejsze procesy dowódców i żołnierzy AK, sądzonych za "zdradę narodu polskiego" i "współpracę z hitlerowcami" potwierdzają przypuszczenie, że założyciele PPR tak właśnie rozumieli pojęcie "frontu narodowego".

W ciągu całego 1942 roku PPR starała się powiększyć swą liczebność i organizować walkę zbrojną. Nadal nawoływano do powstania. Np. organ PPR "Trybuna Wolności" pisał w lipcu 1942: "tylko przejście od biernego oporu, poprzez walki partyzanckie, do masowego /.../ ataku na wroga /.../ zbliży chwilę wyzwolenia". Organizacja zbrojna partii - Gwardia Ludowa - koncentrowała się w tym okresie na "spektakularnych akcjach terrorystycznych" /A. Albert/ takich, jak np. zamachy na lokale niemieckie, licząc na efekt propagandowy i przechodząc do porządku dziennego nad represjami powodowanymi przez te akcje.

Czy taktyka PPR była skuteczna? Według oceny Komendanta Głównego AK z czerwca 1942-tak: "Ze wszystkich prawie artykułów, odez w i haseł propagandy "K" /komunistycznej-FW/ przebiega natarczywe żądanie podjęcia natychmiastowej walki z okupantem /.../. Żądanie to jest najczęściej podawane w formie apelu do honoru ludu polskiego /.../, wreszcie w postaci alarmu, że dalsza bierność grozi zupełnym zniszczeniem narodu/.../ Akcja ta, prowadzona z dużą zręcznością, wywołuje duże wrażenie szczególnie w środowiskach mało wyrobionych politycznie". Także rosła liczba członków partii świadczą o skuteczności przyjętej linii. Pod koniec 1942 r. do PPR należało ok. 8 tys. członków, w tym zaledwie 1/3 stanowili dawni KPP-owcy.

O POLSKĘ, W KTÓREJ NIE BĘDĄ RZĄDZILI GENERALOWIE...

W "ojczyźnie światowego proletariatu" pozostało wielu polskich komunistów, którzy nie weszli w skład Grup Inicjatywnych. Zajmowali się oni głównie propagandą wśród Polonii w ZSRR. W ich środowisku narodziły się koncepcje, które miały wywrzeć duży wpływ na późniejszą taktykę i program PPR. Chodzi przede wszystkim o myśl polityczną Alfreda Lampego.

Był on jedynym żyjącym członkiem Biura Politycznego KPP w Związku Sowieckim. Nie pełnił żadnych eksponowanych funkcji, poświęcał się raczej pracy koncepcyjnej, wiele pisał. O wadze jego tez politycznych może świadczyć fakt, że Manifest Lipcowy PKWN opierał się na sformułowanym przez Lampego programie i powtarzał wiele jego haseł.

Lampe posiadał kilka cech, które sprawiły, że stał się - jedynym na dobrą sprawę - oryginalnym ideologiem PPR. Był inteligentny, dosyć sprawnie pisał, ale przede wszystkim posiadał elastyczność i giętkość myślenia. Już przed wojną wyróżniał się w doktrynerskim kierownictwie KPP realizmem i zdolnościami taktycznymi. Głosił potrzebę "nieodrywania się od mas, ale rzucania haseł, które masy zrozumieją i za którymi pójdą" /M. Turlejska/. Jego poglądy i uzdolnienia znalazły pełne odbicie w skonstruowanej przez niego koncepcji politycznej.

Opierała się ona na kilku założeniach. Po pierwsze, Lampe uznał, że komuniści polscy powinni zdobyć władzę opierając się głównie na własnych siłach. Pisał: "Wszelka ingerencja zewnętrzna musi wywołać w Polsce ogromne sprzeciwy, opory i walkę, co z kolei zmusiłoby do coraz bardziej stałej ingerencji. /.../ taki stan byłby najbardziej niepożądany zarówno dla ZSRR jak i dla /.../ postępowego rozwoju Polski". Z drugiej strony uważał, że komuniści polscy nie dysponują wystarczającymi siłami dla objęcia władzy. Szczególnie sceptycznie oceniał możliwości PPR: "Nieobecność komunistów w przełomowych latach 1939-1942, powstanie PPR jako dalszy ciąg /sic!/ KPP dopiero po wojnie niemiecko-sowieckiej, ścisła i widoczna zależność od ZSRR, /.../ brak wielkich idei i wybitnych działaczy - wszystko to nie pozwala liczyć /.../ na zdobycie przez PPR /.../ decydującego znaczenia w kształtowaniu nowej Polski". Także siły komunistów polskich w ZSRR uważał za zbyt słabe: "Dotychczasowe formy /.../ - Korpus, ZPP - mogą okazać się niewystarczające dla /.../ zmiany oblicza Polski siłami wewnętrznymi"

Z surowej oceny możliwości polskich komunistów Lampe wyciągnął logiczne wnioski. Aby zdobyć władzę muszą oni przyciągnąć do siebie jak najszersze warstwy społeczeństwa, stworzyć rzeczywisty "front narodowy" składający się z różnych grup i spowodować neutralność nieprzejednanych, tych, którzy nigdy z komunistami nie będą współpracować. Nie były to łatwe zadania i Lampe zdawał sobie z tego sprawę. Za najtrudniejszą do pokonania uważał antyrosyjskość i antyrosyjskość Polaków. Pisał: "wszystkie tradycyjne kierunki polskie były antyrosyjskie /.../. Tam, gdzie nie było tradycyjnej antyrosyjskości, tam grała rolę antyrosyjskość /.../. Orientacji na ZSRR /.../

nie było i nie ma w Polsce w żadnym stronnictwie. I być nie może".

Aby zmienić antysowieckie nastawienie Polaków Lampe proponował wykorzystać hasło zaczerpnięte z programu Narodowej Demokracji: oparcie o Rosję. Zalecał propagowanie twierdzenia, że "rozwój historyczny ostatnich stuleci i położenie geopolityczne Polski dyktuje narodowi i państwu oparcie o Rosję jako najwyższą rację stanu, jako konieczność historyczną i trwałą". Nie trzeba dodawać, że hasło to zostało wysunięte przez endecję w zupełnie innych warunkach historycznych i, przede wszystkim, dotyczyło innej Rosji. Lampemu nie przeszkażało też, iż było to hasło z programu partii prawicowej i wrogiej komunistom. Liczył na to, że wysuwając je PPR zdziała osłabić wrogość ze strony - silnej przeciw - polskiej prawicy narodowej.

Ale zadanie to miała spełniać o wiele sprawniej inna koncepcja, także wzięta z programu Narodowej Demokracji: powrót do Polski ziem zachodnich i północnych. Była to myśl dla komunistów całkowicie nowa i nie od razu znalazła poparcie. W czasie "gwałtownej wymiany zdań" na ten temat w jednej z Grup Inicjatywnych Berman zarzucił zwolennikom przyłączenia tych terenów "nacjonalizm". Lampe był pierwszym spośród komunistów, który tę myśl rozpropagował. Robił to zresztą licząc wyraźnie na rozbudzenie i wykorzystanie uczuć narodowych, czy wręcz nacjonalistycznych. Pisał np. w niezwykle egzaltowanym stylu: "Odżył musi zduszona dziś polskość na Warmii, Mazurach i Kaszubach, wyzwolonych spod straszliwej presji germanizacji. Prusy Wschodnie - zbudowana na kościach słowiańskich i litewskich plemion strażnica wojującej niemieczyny /.../, krzyżackie gniazdo wczoraj, siedlisko junkrów i faszystów dziś - te Prusy Wschodnie /.../ nie mogą nadal istnieć".

Lampe proponował oprócz propagandę komunistyczną na czterech zasadniczych filarach. "Hasła narodowe" miały posłużyć dla podcięcia wpływów kapitalistycznych. Likwidacji znaczenia ziemiaństwa miało dokonać przy pomocy hasła "Ziemia dla chłopów". A na całe społeczeństwo miały oddziaływać neutralizująco perspektywy "nowych dróg rozwojowych" i "powrotu na Ziemię Odzyskaną".

Zatrzymajmy się jeszcze nad perspektywami, jakie ukazywał Lampe. Oto nakreślona przezeń wizja nowej Polski: "Polska demokratyczna - to Polska, w której nie będzie więcej żadnych grup uprzywilejowanych kosztem narodu. /.../ Polska demokratyczna - to Polska, w której nie będzie się mogła powtórzyć niedawna przeszłość, kiedy dyktatura Kliki generałów /.../ trzymała kraj w stanie powszechnego bezprawia. Polska demokratyczna - to Polska, w której nie może rządzić generacja. To Polska, w której będzie rządził lud".

Dominowała więc u Lampego frazeologia narodowa i demokratyczna - podobnie jak w programie PPR ze stycznia 1942. Ale oczywiście jest, że traktował on swą koncepcję jako właściwą jedynie "na danym etapie", żeby użyć żargonu komunistycznego. Proponowane przez niego środki "znieczulenia społeczeństwa" /T.Żenczykowski/ miały zapewnić łagodne przejście do następnego etapu tj. dyktatury proletariatu, czyli socjalizmu. Miała to być według jego określenia "rewolucja bez rewolucji", przejście "w kierunku socjalizmu drogą pokojową bez wojny domowej".

Obok koncepcji Lampego powstały też w ZSRR, w środowisku I Korpusu, inne propozycje programowe znane jako "Tezy nr 1" i "Tezy nr 2". Lansowano w nich ideę tzw. "demokracji zorganizowanej, mającej polegać na rządach niekomunistycznej monopartii. W zestawieniu z programem Lampego była to koncepcja prymitywna i nie rokująca w żaden sposób ułatwienia zdobycia władzy przez komunistów. Nie zyskała też poparcia w Moskwie ani wśród Polaków i nie odegrała większej roli. Wygrał scenariusz Lampego. To nim posługiwali się komuniści dążąc do przejścia władzy w Polsce. Sam Lampe nie dożył czasów, gdy jego program stawał się rzeczywistością - zmarł w grudniu 1943.

DROGA DO KRN

Po obu stronach linii frontu polscy komuniści stosowali bardzo podobną, różniącą się jedynie rozłożeniem akcentów, taktykę. I w Polsce - i w Związku Radzieckim unikał jak ognia słowa "socjalizm", pozwolali na patriotów i zwolenników demokracji parlamentarnej, używali języka Narodowej Demokracji. Aby to sprawdzić, wystarczy wziąć jakkolwiek publikację PPR czy ZPP z lat 1942 - 45. Komuniści nigdy nie lekceważyli też roli nazw. Przeciwnie, traktowali je jako ważne elementy kamuflażu i propagandy. Przykładem mogą być nazwy nadawane oddziałom partyzanckim GL, szumne i hurrapatriotyczne: "Jeszcze Polska nie zginęła", "Grunwald", "Za wolność Ojczyzny" itp.

Nowa taktyka nie zawsze znajdowała zrozumienie wśród członków partii. Szczególnie przedwojenni komuniści, wychowani w duchu internacjonalizmu i marksizmu nie akceptowali jej łatwo. Jak pisze partyjny historyk: "edukacja komunistów polskich szła opor-

nie" /Malinowski/. Zauważono ten problem w Delegaturze Rządu: "Rewolucyjno-doktrynalna postawa starych działaczy KPP nie mogła dostatecznie nagiąć się do wymagań stawianych w PPR. Istota dokonanej reformy polegała na przetasowaniu wszystkich dotychczasowych haseł, metod pracy i taktyki" /Raport za okres od września 1942 do lutego 1943/. Ten brak elastyczności zyskał sobie nawet oficjalne partyjne określenia: sekciarstwo oraz dogmatyzm.

Duże znaczenie w ewolucji taktyki PPR miały rozmowy z Delegaturą Rządu w lutym 1943 roku. Kierownictwo podziemia londyńskiego żywiło poważne wątpliwości co do sensu rozmów z komunistami. Obawiano się zresztą całkiem słusznie, że PPR-owcom chodzi jedynie o polityczne zdyskontowanie rozmów, które w pewnym stopniu uprawomocniłyby działalność partii i chroniły ją przed oskarżeniem o agenturalny charakter. Władze Delegatury wyraziły jednak ostatecznie zgodę i doszło do kilku spotkań przedstawicieli KC PPR z przedstawicielami DR, Komuniści żądali m.in. dopuszczenia do krajowych reprezentacji politycznych na równi z innymi stronnictwami, wejścia GL do AK na zasadzie odrębnej organizacji i autonomii oraz przyjęcia członków GL do sztabów i dowództw AK. Warunki Delegatury i Komendy Głównej AK obejmowały: podporządkowanie się PPR rządowi i DR oraz złożenie oświadczenia, iż partia jest niezależna od ośrodków zagranicznych. Żądano też, by komuniści uznali granice z 1939 r. za nienaruszalne i zadeklarowali gotowość do walki z każdym najeźdźcą Polski. Warunki te okazały się dla PPR nie do przyjęcia, toteż rozmowy zerwano.

Spowodowało to rezygnację PPR z planu utworzenia w miarę szerokiego frontu narodo-owego, obejmującego także grupy niekomunistyczne. Jak stwierdził później KC PPR: "zaistniała potrzeba powołania do życia właściwej /podkr. PW/ reprezentacji narodu". Nowa koncepcja nie mogła zostać zrealizowana natychmiast, gdyż polscy komuniści mieli "ręce związane wytycznymi MK, zalecającymi partiom komunistycznym krajów okupowanych szukanie porozumienia z prozachodnimi ugrupowaniami niepodległościowymi" /A. Przygoński/.

Pod koniec 1943 r. PPR wydała kolejną deklarację programową zatytułowaną "O co walczymy?" Warto zwrócić uwagę na niektóre jej sformułowania. Partia określała się, zgodnie ze swoimi zwyczajami, jako "przedstawicielka interesów i dążeń robotników, chłopów i postępowej inteligencji". Istotną nowością w programie była kwestia władzy: rząd miał zostać powołany w kraju /oczywiście "zgodnie z wolą /.../ robotników, chłopów i inteligencji"/, a zatem PPR oficjalnie przedstawiała uznawać rząd londyński. Poza tym domagano się też powrotu do Polski ziem na zachodzie i północy "zagrabionych przez Niemców przed wielkami".

Z wielu obietnic zawartych w tym programie można przytoczyć - na zasadzie anegdoty - dwie. Partia zapowiedziała "likwidację głodu mieszkaniowego i niskiej kultury mieszkaniowej" oraz "budowę /.../ autostrad".

Natomiast wracając do rzeczy poważnych, warto jeszcze zwrócić uwagę na znajdujący się w odezwie pięciopunktowy sprawdzian "szczeroci haseł demokratycznych i wolnościowych". Partia stwierdziła, że nie jest "szczerym demokratą" ten, kto: uznaje rząd w Londynie; zwalcza komunizm; nie chce nacjonalizować gospodarki; jest przeciwny reformie rolnej bez odszkodowania; pragnie utrzymania przedwojennej wschodniej granicy Polski. Łatwo zauważyć, iż jedynym ugrupowaniem, które spełniało wszystkie pięć warunków, była PPR. Wszyscy inni "podszywali się tylko pod formę demokracji", a w rzeczywistości reprezentowali "reakcję".

Po aresztowaniu przez Niemców kierownictwa partii władzę objął w listopadzie 1943 Władysław Gomułka i grupa tzw. "krajowców" czyli komunistów, którzy nie przybyli w czasie wojny ze Związku Sowieckiego, lecz przebywali w Polsce. Nastąpiła również wtedy trwająca kilka miesięcy przerwa w łączności radiowej z Moskwą. Ponieważ PPR wykonała w tym czasie kilka posunięć bez zgody Kominternu, stały się one później jedną z podstaw oskarżenia Gomułki i jego ekipy o tzw. "odchylenie nacjonalistyczne". Oskarżenia, dodajmy, całkowicie niesłusznego.

Na postępowanie komunistów w Polsce wywarły wpływ wydarzenia międzynarodowe, głównie umocnienie sojuszu "wielkiej trójki" po konferencjach w Moskwie i Teheranie w listopadzie 1943. Przywódcy PPR doszli do wniosku, że nadeszła właściwa pora dla "powołania reprezentacji narodu, wyrażającej jego wolę i interesy", "która by skupiła rozproszone siły i wskazywała narodowi drogę". Ową "właściwą" reprezentacją miała być Krajowa Rada Narodowa.

Powołania KRN poprzedziły próby nawiązania współpracy między komunistami a lewicowymi odłamami socjalistycznymi. Wykorzystanie socjalistów przez PPR jest niezłą ilustracją dwóch metod stosowanych przez komunistów: korzystania z rozłamów w innych partiach i budowania fasad. Polska Partia Socjalistyczna uległa w podziemiu podziałowi.

Większość jej członków skupiła się w organizacji Wolność-Równość-Niepodległość, a bardziej lewicowa mniejszość utworzyła grupę "Polscy Socjaliści". Na wiosnę 1943 r. część działaczy PS przyłączyła się do WRN, pozostali stworzyli Robotniczą Partię Polskich Socjalistów. Choć grupowała ona elementy skrajnie lewicowe, to jednak większość jej członków była niechętna współpracy z komunistami, uznawanymi powszechnie za agenturę sowiecką. PPR udało się mimo wszystko znaleźć w RPPS grupkę działaczy, którzy zgodzili się zawrzeć porozumienie z komunistami i współdziałać z nimi. PPR z tych niełączonych, znajdujących się na marginesie, drugorzędnych działaczy z E.Osobką-Morawskim na czele pragnęła uczynić fasadę, mającą przysionić wrogie komunistom stanowisko PPS - WRN i wprowadzić w błąd stabiliej zorientowanych.

Pierwszą okazją do ich wykorzystania było opublikowanie w połowie grudnia 1943 "Manifestu demokratycznych organizacji społeczno-politycznych i wojskowych w Polsce", będące zarazem preludeum do utworzenia KRN. Manifest był podpisany przez PPR, GL, "grupę lewicowych działaczy socjalistycznych", "grupę radykalnych działaczy ludowych" i kilka podobnych, nikomu nie znanych czy wręcz fikcyjnych ciał. Dla przykładu: ponieważ komunistom nie udało się w tamtym okresie znaleźć w ruchu ludowym podobnej rozbiłkowej grupki jak w RPPS, więc jako "radykalni działacze ludowi" manifest sygnowali po prostu komuniści, którzy przed wojną działali "na odcinku" wsi w tzw. Niezależnej Partii Chłopskiej. Tak zatem wyglądały naprawdę "demokratyczne organizacje społeczno-polityczne i wojskowe", które pragnęły powołać KRN, "by stanąć na czele toczącej się śmiertelnej walki".

KRN, "ciało powstałe nie z woli narodu, lecz z inicjatywy garstki mianowańców radzieckich i usłużnych konformistów" /A.Albert/ została utworzona w nocy z 31 grudnia 1943 na 1 stycznia 1944. Określana przez partyjnych historyków jako "podziemny parlament", Rada w rzeczywistości stanowi kolejnym przykładem fasady, będącej od chwili narodzin oszustwem, a służącej do uprawomocnienia następujących fałszerstw i zwodzenia naiwnych. Gdyby nie fakt, że Armia Czerwona zbliżyła się do granic Polski, można by jej powołanie zlekceważyć. Jednak rozwój sytuacji militarnej powodował, że KRN stanowiła realne zagrożenie. Departament Informacji Delegatury Rządu słusznie ocenił powstanie Krajowej Rady Narodowej jako "niewątpliwy dowód, że czynniki komunistyczne /.../ podjęły ostatnio finalne przygotowania do uchwycenia w swoje ręce konkretnej władzy w kraju."

Władze KRN stanowią jeszcze jeden przykład taktyki kamuflażu stosowanej przez komunistów. Przewodniczącym został B.Bierut, który ukrywał swą przynależność do władz PPR, by pozorować niezależność. Jego zastępcami zostali: Osobka-Morawski, "reprezentujący" socjalistów i Władysław Kowalski - komunistą, który próbował dokonać rozłamu w ruchu ludowym, pozując na przedstawiciela wsi.

KRN uzurpowała sobie prawo do powołania rządu tymczasowego. Zaczęła też tworzyć sieć Rad Narodowych - potencjalny terenowy aparat władzy. Komuniści chcieli wciągnąć do Rad i w ten sposób związać ze sobą, jak najwięcej osób. Np. Lubelski Komitet Okręgowy PPR instruiował, że "mogą i powinni wchodzić do RN przedstawiciele PPR, AL, BCh, AK /.../; a nawet Narodowych Sił Zbrojnych, jeśli zgadzają się pracować na płaszczyźnie Manifestu KRN". Efektem takiego podejścia - i ogólnej sytuacji militarno-politycznej - był stosunkowo szybki wzrost liczby Rad. W 1944 r. było ich na terenach okupowanych ok. 400.

KRN zmieniła też nazwę GL na "Armie Ludową", co miało stwarzać pozory uzyskania przez komunistyczną organizację zbrojną statusu ogólnonarodowego. PPR kładła zresztą szczególny nacisk na kamuflowanie rzeczywistego, partyjnego charakteru AL, licząc na przyciągnięcie do jej szeregów spragnionej walki z Niemcami młodzieży. Ta taktyka również przyniosła pewne, choć niezbyt wielkie, rezultaty, głównie wobec młodzieży wiejskiej z Batalionów Chłopskich.

Gdy w lutym 1944 r. komuniści ponownie nawiązali łączność z Moskwą, dowiedzieli się, że ich postępowanie wzbudziło poważne wątpliwości w centrali. Przeciwnie nie tak dawno Dymitrow upominał ich mówiąc, że "na darym etapie nie wysuwamy platformy ustrojowej socjalistycznego" i żądał porozumienia z Londynem. Teraz Komitet Centralny PPR tłumaczył się Kominternowi i Stalinowi następująco: "Po konferencjach w Moskwie i Teheranie oraz w związku z sytuacją w kraju KC PPR doszedł do wniosku, iż dojrzały warunkiem dla powołania politycznej reprezentacji narodu polskiego. Nie chcieliśmy stworzyć tej reprezentacji sami /podkr. PW/, lecz przynajmniej z CK RPPS. Ten ostatni prowadził jednak z nami oszukańczą grę /.../. KRN musieliśmy stworzyć tylko w oparciu o opanowanie w RPPS i Stronnictwie Ludowym".

Dymitrow obawiał się, że nazwa Rad Narodowych zostanie zrozumiana przez społeczeń-

stwo jako próba sowietyzacji kraju. KC PPR odparł, że "reakcja ocenia każde posunięcie naszej partii pod kątem sowietyzacji kraju. Nazwy nie mają żadnego znaczenia". Par-
trząc na taktykę polskich komunistów wydaje się, iż ostatnie zdanie napisali chyba
bez głębszego namysłu.

FUNDAMENTY LUDOWEJ WŁADZY

W maju 1944 r. przybyła do Moskwy delegacja KRN. Odbyła ona szereg rozmów z pol-
skimi komunistami w ZSRR i ze Stalinem. Związek Patriotów Polskich /notabene nazwa
stanowi kolejny przykład ukrywania komunistycznego charakteru pod narodo-patriotycz-
nym płaszczkiem/ początkowo nie kwapił się z podporządkowaniem Krajowej Radzie Naro-
dowej. Dopiero upomnienie Stalina, iż to KRN powinna "podporządkować sobie ZPP i Ar-
mię Polską w ZSRR", a nie odwrotnie, przełamało ambicjonalne opory komunistycznych
"patriotów". Jednakże najważniejszym tematem rozmów była kwestia utworzenia rządu.
Kremowski dyktator poparł inicjatywę polskich komunistów, lecz doradzał metodę ma-
łych kroczków. Przyjęto więc proponowaną przez Stalina nazwę "Polski Komitet Wyzwolen-
nia Narodowego", gdyż uważał on ją za "najbardziej strawną" dla aliantów zachodnich.
Jak wyjaśnia to komunistyczny historyk: "Z uwagi na ówczesną politykę ZSRR wobec mo-
carstw zachodnich rząd radziecki postulował, aby organ /.../ wyłoniony przez KRN nie
nazywał się formalnie rządem, gdyż skomplikowałyby to sprawę oficjalnego uznania go
przez ZSRR" /A.Przygoński/.

W utworzonym 21 lipca w Moskwie PKWN-ie PPR pozornie nie posiadała większości: mia-
ła 5 przedstawicieli na ogólną liczbę 15 członków Komitetu. Ale w rzeczywistości więk-
szość pozostałych była w pełni uzależniona od komunistów i godziła się na rolę figu-
rantów, aby móc uczestniczyć we władzy. Byli to odstępcy z innych stronnictw, którzy
mieli stwarzać wrażenie wielopartyjności Komitetu.

Gdy Armia Czerwona zajęła tereny na wschód od Wisły, Rady Narodowe zaczęły już ko-
munistom zaważać. Obawiali się utraty pełnej kontroli nad nimi, co niekiedy miało
miejsce, więc na wszelki wypadek postanowili pozabawić je istotnej części kompetencji:
dekret KRN z 21 sierpnia 1944 przekazywał całą władzę wykonawczą starostom i wojewo-
dom mianowanym przez PKWN i podległym mu. Tym samym Rady Narodowe zostały sprowadzone
do roli samorządu terytorialnego.

Do PPR, w tym także do władz partii, dołączyli teraz komuniści przebywający
wcześniej w Związku Sowieckim. Wytworzył się w ten sposób podział na "zagraniczników"
i "krajowców". Nie pokrywał się on z podziałem na "dogmatycznych sekciarzy" i zwoln-
ników elastycznej linii tow. Wiesława. Jak pisze T.Żenczykowski: "niektórzy zagranicz-
nicy podzieliли /.../ taktykę Gomulki, zmierzającą do znieczulenia nastrojów kraju."
Cel ten realizowano stosując wiele niezwykle różnorodnych metod. Oto niektóre spo-
śród nich.

Cała PPR-owska propaganda w "Polsce Lubelskiej" i później starała się wykorzystać
i rozniecić antyniemieckie resentymenty, przypominała krzywdy, wręcz budziła niena-
wiść do Niemców. Była to oczywiście realizacja wytyczonej jeszcze przez Grupy Inicja-
tywne i Lampego linii postępowania.

Najważniejszym podległym propagandowym PPR była... reforma rolna. Potrzeba
zmian na wsi była autentyczna, lecz komuniści przeprowadzili reformę nie w interesie
chłopów, tylko mając na względzie własne cele. Średnią wielkość nadziałów ziemi usta-
lono więc na 5 ha, aby można nią było obdzieleć - i w ten sposób związać z nową wła-
dzą - jak najwięcej chłopów. Powodowało to tworzenie gospodarstw zbyt małych, by mogły
być efektywne, ale to komunistów nie obchodziło - i tak przecież po tym "etapie przeję-
ściowym" przewidywali następny, czyli kolektywizację.

Całą gamę środków zastosowano dla zakamuflowania prawdziwego charakteru nowego pań-
stwa. Starano się stwarzać pozory kontynuacji tradycji Polski przedmieszniowej, choć
oczywiście tylko do pewnych granic. Nazwa Rzeczpospolita Polska przetrwała do 1952 ro-
ku, podobnie było z urzędem Prezydenta RP. Wojsko miało niemal identyczny krój mundu-
rów i obchodziło /przynajmniej na początku/ swe święto 15 sierpnia, w rocznicę bitwy
pod Warszawą. Komunistyczna władza starała się nie tylko unikać konfliktów z Kościołem
ale wręcz wykorzystywać uczucia religijne Polaków. Członkowie władz partyjnych i pań-
stwowych uczestniczyli w procesjach i obrzędach kościelnych. Dywizja im. Kościuszki
składała przysięgę w czasie mszy św. Pieśń "Kiedy ranne wstają zorze" rozpoczęła co-
dzienne program radiowy. Kluby poselskie PPR i PPS zgłosiły wniosek, by do roty przy-
sięgi prezydenta dodać słowa: "Tak mi dopomóż Bóg" i Bierut taką przysięgę składał.

Podobne przykłady "zasłon dymnych" i dezinformacji można by mnożyć. Każdy, kto się-
gnie do źródeł, do ówczesnej prasy, natknie się na nie na każdym kroku.

Oprócz metod używanych do obezwładnienia społeczeństwa jako całości, PPR stosowała również bogaty wachlarz innych, które służyły do podporządkowania różnych organizacji czy grup, w szczególności partii politycznych. Jest to temat zbyt obszerny, by się weni wgłębiać, zresztą istnieją wartościowe opracowania zankomicie ukazujące taktykę komunistów w stosunku do innych stronnictw /J.Holzera o agonii PPS, P.Wardeckiego o PSL/. W tym artykule wskażemy tylko niektóre, wyjątkowo często stosowane przez PPR metody walki politycznej.

"Polska lubelska" stanowiła wdzięczny teren dla znanego nam już komunistycznego zyczaju budowania fasad. Dotyczyło to przede wszystkim życia politycznego, które w swej autentycznej postaci pozostawało nadal w podziemiu. Tymczasem jak grzyby po deszczu powstawały stronnictwa, których samozwańcze, nikomu nie znane kierownictwa używały tradycyjnych nazw: Polska Partia Socjalistyczna, Stronnictwo Ludowe i Stronnictwo Demokratyczne. Dla odróżnienia od prawdziwych przyjęło się je nazywać "lubelskimi" lub "fałszywymi". Z reguły były one tworzone przez drobne, rozłamowe grupki, skuszone wizją uczestnictwa we władzy, przy współudziale i decydującej roli agentów komunistycznych, działających przed wojną lub w czasie okupacji w różnych nurtach politycznych. Dla przykładu kluczową rolę we władzach lubelskiego SL odgrywał wspomniany już Władysław Kowalski /później nagrodzony posadą marszałka sejmu/ i inni działacze wywodzący się z Niezależnej Partii Chłopskiej, natomiast na eksponowane stanowiska przesesa i wiceprzesesa wysunięto zupełnie nieznanych i całkowicie dyspocyzyjnych: Stanisława Kotka-Agroszewskiego i Andrzeja Witosa. Ten drugi, krewny znanego przywódcy chłopskiego, znalazł się też w PKWN - chodziło oczywiście o wykorzystanie jego nazwiska. Warto tu może wspomnieć, iż grupa rozłamowa w ruchu ludowym była z początku tak słaba, że musiała wydawać i kolportować swe pismo "Wola Ludu" przy pomocy "techniki" i siatki PPR.

O metodzie podporządkowywania innych kierunków politycznych komunistom mówił *expressis verbis* Gomułka podczas narady PPR w Lublinie 5 sierpnia 1944: "Ten element, który chce przejść do nas, niech pracuje w swojej organizacji i robi to, czego my tam robic nie możemy!" /podkr.PW/

Zapewnianie przez PPR możliwości szybkiej kariery przyciągały oportunistów. Hasła propagandowe znajdowały "rozumienie i poparcie w ambitnych lecz niewykształconych kręgach społeczeństwa, przede wszystkim wśród ludzi wyrwanych z tradycyjnego środowiska wiejskiego, politycznych analfabetów" /A.Albert/. Rezultatem był szybki wzrost liczebności partii z 34 tys. w grudniu 1944 do 302 tys. w kwietniu 1945 r.

Do lipca 1944 podstawowym elementem taktyki polskich komunistów była propaganda. Zmieniło się to, gdy pod opieką armii sowieckiej objęli władzę. Teraz powoli na pierwsze miejsce wśród stosowanych przez nich metod zaczął wysuwać się terror. W szkicu tym zajmujemy się raczej taktyką polityczną i propagandową PPR, lecz rysowany obraz byłby fałszywy, gdybyśmy pominęli drugą stronę zagadnienia. Mówiąc krótko: gdybyśmy mówili wyłącznie o "marchewce", zapominając o "kijku".

Komuniści zaczęli budowę aparatu przymusu już w pierwszych dniach istnienia "Polski lubelskiej". Urząd Bezpieczeństwa, MO i Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego, wspierane przez NKWD, czuwały nad poszuszaniem społeczeństwa polskiego. Od początku podstawową zasadą obowiązującą w resorcie "bezpieczeństwa" była ścisła zależność od PPR. Świadczą o tym chociażby liczby obrazujące procentowy udział członków partii w aparacie terroru: pod koniec 1945 r. w UB ok. 90% funkcjonariuszy należało do PPR, a w milicji - 73%. Znaczenie jakie posiadało Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego w działaniach partii, najlepiej ukazuje jego budżet. W maju 1945 przeznaczono na MBP 181 mln zł, natomiast na kulturę siedem razy mniej - 25 mln. KRN i PKWN postarały się rzecz jasna o ułatwienie "organom" pracy, tworząc odpowiednie ustawodawstwo. Jeszcze w Lublinie pod koniec 1944 r. wydano szereg dekrétów, których rozciągliwe paragrafy mogły zalegalizować praktycznie każde bezprawie aparatu bezpieczeństwa. Wystarczy powiedzieć, że wielu żołnierzy AK było sądzonych na podstawie dekretu PKWN z sierpnia 1944 o wymiarze kary "dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy /.../ oraz dla zdrajców narodu polskiego".

UB i MO były też jednymi z pierwszych organów władzy, które tworzone na zachód od Wisły, gdy ruszyła ofensywa sowiecka w styczniu 1945 r. W ślad za frontem posuwały się przygotowane zawczasu w Lublinie "grupy operacyjne", których zadaniem było jak najszybsze przechwytywanie i organizowanie władzy. W ich skład wchodziło 5900 szeregowych i oficerów milicji oraz 785 funkcjonariuszy UB. Inne grupy miały tworzyć komórki PPR i werbować nowych członków partii.

31 grudnia 1944 r. polscy komuniści przekształcili za zgodą Stalina PKWN w "Rząd Tymczasowy". Zmiana szyldu miała ułatwić kremlowskiemu dyktatorowi rozegranie sprawy

polskiej podczas zbliżającej się konferencji jałtańskiej. Flany Moskwy powiodły się: Churchill, Roosevelt i Stalin zgodzili się na Krymie, że nowy rząd polski powstanie drogą rozszerzenia składu Rządu Tymczasowego o "demokratycznych przywódców" z Polski i zagranicy. O wszystkim miała zdecydować komisja złożona z przedstawicieli trzech wielkich mocarstw. W rezultacie rokowań powstał w czerwcu 1945 r. Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej. Jego skład - efekt dyktatu trzech mocarstw, a przede wszystkim Kremla - był całkowicie zgodny z planami polskich komunistów. Na 21 miejsc zaledwie trzy przypadły politykom od nich niezależnym, ludowcom: Stanisławowi Mikołajczykowi, Czesławowi Wycechowi i Władysławowi Kiernikowi. Przy tym, co bardzo istotne, w rękach PPR-owców znalazły się kluczowe resorty: bezpieczeństwa, propagandy i obrony.

Władysław Gomułka miał więc wiele podstaw do nadziei, że urzędywistni się twierdzenie, które wypowiedział w cza ie rokowań przed utworzeniem TRJN: "Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy".

KU TOTALIZMOWI

Kolejny etap dążenia komunistów do zniewolenia narodu polskiego rozpoczął się więc w lecie 1945, gdy zostali zmuszeni - przez sytuację międzynarodową - do zezwolenia na działalność opozycji politycznej. W lipcu powrócił do kraju Stanisław Mikołajczyk. Społeczeństwo zgotowało bytemu premierowi rządu emigracyjnego entuzjastyczne przyjęcie. Wszędzie, gdzie się pojawił, dziesiątki i setki tysięcy ludzi demonstrowało na jego powitanie. Przywódcą ludowców uosbiał nadzieję na upragnione zmiany. Dla wszystkich było oczywiste, że w wolnych wyborach komuniści nie będą mieli żadnych szans. Liczono na to, że opozycja kierowana przez Mikołajczyka przejmie władzę i widmo sowie tyzacji kraju przestanie być groźne.

Państwowe Stronnictwo Ludowe praktycznie rozpadło się - całe zarządy wojewódzkie i powiatowe przechodziły na stronę Mikołajczyka. Jego partia szybko prześcignęła liczebnie PPR, osiągając stan ponad 600 tys. członków. Ale komuniści nie przyglądali się temu bezczynnie, mieli przecież w ręku wszystkie środki do kontrofensywy: od KRN po UB. PPR nie dopuściła więc do całkowitego rozkładu SL i traktowała je równorzędnie z mikołajczykowskim Polskim Stronnictwem Ludowym. Wyraziło się to m.in. w interpretacji umowy o powstaniu TRJN, która gwarantowała ludowcom 1/3 wszelkich stanowisk administracyjnych i państwowych. Wbrew oczywistej dysproporcji sił PSL i lubelskiego SL komuniści uznali, iż oba stronnictwa są równouprawnione w tym względzie. W ten sposób partia Mikołajczyka została poważnie ograniczona w możliwościach działania. Podobny cel miało utworzenie Ministerstwa Ziemi Odzyskanych pod kierownictwem Gomułki, które wyjęło spod kompetencji Kiernika, ministra administracji, 30% terytorium kraju.

Metod jakimi PPR-owcy ograniczali i utrudniali działanie PSL, było mnóstwo. Nie będziemy tu śledzić chronologicznie rozwoju wydarzeń; lecz wskażemy tylko najważniejsze z tych metod.

Wychodząc z założenia, iż "drukarnie stanowią własność ludu pracującego miast i wsi" komuniści upaństwowili całą bazę poligraficzną. Zapewniło to skuteczność wprowadzonej przez nich natychmiast po objęciu władzy cenzurze prewencyjnej: ani jedno słowo nie mogło zostać wydrukowane bez zgody partii. PSL-owskie "Gazecie Ludowej" konfiskowano przeciętnie połowę tekstów. Poza tym limitowano ilość publikacji stronnictwa Mikołajczyka poprzez przydziały papieru. W ten sposób ograniczono nakład "Gazety Ludowej" z 200 do 70 tys., mimo że mogłoby być jeszcze większy.

W maju 1946 r. po raz pierwszy zawieszono dwie organizacje powiatowe PSL. Pretekstem była "współpraca z reakcyjnym podziemiem". Potem sposób ten stosowano coraz częściej.

Czasem zamiast działań administracyjnych uciekano się do fabrykowania "gniewu ludu". Zorganizowane przez PPR grupy próbowały uniemożliwić przeprowadzenie zebrań Stronnictwa /np. w kwietniu 1946 w Opolu/ albo demolowały pomieszczenia PSL /8 września 1946 redakcja "Gazety Ludowej"/.

Ostatnią instancją pozostawał, jak zwykle u komunistów, terror. Znane są nazwiska stu kilkunastu ludowców zamordowanych do 1947 roku. Byli wśród nich członkowie najwyższych władz PSL, np. Bolesław Ściborek - naczelny sekretarz i Władysław Kojder - członek Naczelnego Komitetu Wykonawczego. Byli działacze niższych szczebli, np. 5 osób zastrzelonych w Grójcu w styczniu 1946 r. Byli też zwykli członkowie Stronnictwa. Morderstwa te miały jedną cechę wspólną: sprawcy pozostawali bezkarni. Czasem byli oni "nieznani", ale często nie ukrywali się: członkowie PPR czy funkcjonariusze UB byli tak pewni, że nic im nie grozi, iż dokonwali zabójstw w biały dzień i przy świa-

dkach. Był w tym zresztą ukryty cel: chodziło o zastraszenie innych sympatyków Mikołajczyka, o wytworzenie atmosfery strachu i terroru, o psychiczne sparaliżowanie opozycji.

Taktyka PPR była o tyle ułatwiona, iż PSL nie posiadało właściwie żadnych możliwości obrony. Nad rozpaczliwymi protestami garstki przedstawicieli Stronnictwa dopuszczonych do KRN przechodzone do porządku dziennego. Państwa zachodnie nie miały większego wpływu na sytuację w Polsce. Ludowcom pozostały tylko spektakularne gesty, jak przyjęta przez akklamację uchwała I Kongresu Stronnictwa w styczniu 1946, żądająca zniesienia ministerstw: bezpieczeństwa, Ziemi Odrzykanych oraz informacji i propagandy.

Na płaszczyźnie politycznej taktyka PPR wyraziła się w postawieniu PSL przed alternatywą: albo Stronnictwo wejdzie do tzw. "bloku demokratycznego", albo zostanie wyeliminowane. Szef ministerstwa bezpieczeństwa publicznego Berman ujął to następująco: "Gdy PSL nie przystąpi do bloku, to nastąpi bardzo ciężka walka wyborcza, z której poszkodowane wyjdzie PSL. Jakby nie potoczyły się wypadki, naród potrafi zbezpieczyć swoje demokratyczne zdobycze". Groźba była więc oczywista; ale z drugiej strony, wejście do "bloku" oznaczałoby samolikwidację, gdyż PSL posiadałoby w nim 20% głosów i byłoby zdominowane przez PPR z sojusznikami PPS, SL i SD.

Ostatecznie, jak wiadomo, PSL do "bloku" nie weszło i zaczęła się zapowiadana przez Bermana "ciężka walka". Omówiliśmy już niektóre stosowane w niej środki. Rezultatem presji wywieranej na Stronnictwo były kolejne rozstrzygnięcia: w czerwcu 1946 r. powstała PSL "Nowe Wyzwolenie", a w kwietniu 1947 - "Lewica". Nazwy rozbiłkackich grup mogłyby sugerować, że chodziło o różnice ideologiczne. W rzeczywistości jednak podziały następowały z innych przyczyn: na stronę komunistów przechodzili ci, którzy nie wytrzymywali atmosfery strachu, mniej odważni, oportuniści i karierowicze, którzy zorientowali się, że postawili na niewłaściwego konia, a także "realiści", którym wydawało się, że zdołają więcej ocalić rezygnując z przeciwstawiania się PPR-owcom. Tych ostatnich było nawet być może najwięcej.

Droga PSL do klęski była rozłożona na kilka etapów. Komuniści starali się maksymalnie odwlec ustalone w Jańcie wolne wybory. Żądali sobie sprawę, że czas pracuje dla nich, że ich władza się umacnia, a opozycja słabnie. Okazało się jednak, że społeczeństwo nie było jeszcze w czasie referendum i wyborów całkowicie ubezwłasnowolnione i ich wyniki trzeba było szafszować.

Referendum przeprowadzone w czerwcu 1946 roku stało się dla PPR poligonem doświadczalnym przed wyborami. Wypróbowano wówczas wiele metod, które zastosowane później miały przynieść komunistom "zwycięstwo" wyborcze. KRN uchwalila oczywiście odpowiednią ordynację, która umożliwiała różnorakie machinacje i oszustwa. Lista metod użytych przez PPR przed i w czasie wyborów jest długa /pisze o tym obszernie Stanisław Wójcik/. Oto niektóre spośród nich.

Odbierano prawa wyborcze: czynne - kilkuset tysięcy osób, bierne - 98 PSL-owskim kandydatom na posłów. Najczęstszym pretekstem była rzekoma "kolaboracja z Niemcami".

Zatrzymano i przesłuchano ok. 100 tys. sympatyków PSL, aresztowano 1962 działaczy i 160 kandydatów na posłów. Represje dotknęły również przedstawicieli Stronnictwa w KRN, mimo posiadanego przez nich immunitetu. W czasie trwania kampanii wyborczej UB zamordował ok. 30 członków PSL.

Mikołajczykowi zezwolono jedynie na dwa 10 minutowe wystąpienia radiowe. Oba - oczywiście - ocenzone, a poza tym w czasie ich nadawania wyjączono w całym kraju radiofonie przewodową tzn. głośniki domowe, fabryczne itd.

Unieważniono 20% list wyborczych PSL /w 10 okręgach na 52/.

Komuniści nie zaniedbali nawet takiego drobiazgu, jak ustalenie różnych numerów dla list PSL zależnie od okręgu. Natomiast lista "bloku" miała w całym kraju nr 3, co ułatwiało propagandę.

Kluczowe znaczenie dla ukrycia fałszerstw miał skład komisji wyborczych. Tym razem PPR nie popełniła już podobnego błędu, jak w czasie referendum, gdy niezależna od nich komisja w Krakowie ogłosiła prawdziwe wyniki, z których wynikało, że przytłaczająca większość popiera Mikołajczyka. Teraz niespodzianki zostały wykluczone. Mężowie zaufania PSL zostali zobowiązani do posiadania "świadectw moralności" wystawionych przez...UB. Otrzymało je tylko 435 na 5227 obwodów głosowania. Z tych 435 jedynie 296 udało się dotrzeć do lokali wyborczych - pozostających aresztowano lub zatrzymano. Na tym nie koniec: Tylko ok. 100 mężów zaufania było obecnych podczas obliczania głosów, resztę wcześniej usunięto.

Nic więc dziwnego, że oficjalne wyniki przeprowadzonych w styczniu 1947 r. wyborów różniły się od obliczeń PSL. Z danych mężów zaufania wynikało, iż na Stronnictwo padło ponad 60% głosów, rząd twierdził, że 40%. Protesty PSL nie zostały uwzględnione...

Nastąpiła agonia Polskiego Stronnictwa Ludowego. W październiku 1947 uciekli za granicę zagrożeni aresztowaniami przywódcy ludowców z Mikołajczykiem na czele. Władzę w Stronnictwie przejęli rozłamowcy z "Lewicy". Gdy w 1949 r. doszło do połączenia PSL z SL /1/ rzymskiemu "faiszywemu" odnosił się już do obu stronnictw, PSL liczyło 25 tys. członków.

Nieporównanie mniej trudności niż z ruchem ludowym mieli komuniści z innymi partiami. Stronnictwo Pracy Karola Popiela zablokowano jednym pociągnięciem: warunkiem rejestracji było oddanie połowy miejsc we władzach ludziom dyspocyjnym wobec PPR. Oparte na przymusowym kompromisie stronnictwo nie mogło normalnie się rozwijać i po osmiu miesiącach, w lipcu 1946, zarząd SP zawiesił jego działalność. Próby odegrania większej roli przez PPS, dosyć nieśmiałe i anemiczne, nie miały większych szans powodzenia ze względu na obecność we władzach partii wielu krytyków komunistów i karierowiczów. Natomiast na utworzenie niezależnej od PPR Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej władze nie wyraziły zgody. Podobnie nie pozwolono reaktywować Stronnictwa Narodowego, a wszelkie próby prowadzenia działalności bez urzędowej rejestracji kończyły się represjami. W listopadzie 1945 komuniści oficjalnie ogłosili, iż są przeciwni pluralizmowi: KRN ogłosiła uchwałę, w której stwierdziła, że "uzasadnionemu strukturą naszego społeczeństwa zróżniczkowaniu demokratycznych programów społeczno-politycznych w pełni czynią zadość" już istniejące partie, więc przeciwdziałają się "wszelkim próbom utworzenia nowych stronnictw". Nie trzeba dodawać, że ograniczona ilość partii "wychodząca z założenia budowy odrodzonej Polski jako państwa demokratycznego".

Poza walką polityczną z siłami niezależnymi, która wyróżnia omawiany, ostatni już etap na drodze PPR do władzy totalnej, taktyka partii niewiele różniła się w porównaniu z wcześniejszym okresem. Nadal ukrywano rzeczywiste cele komunistów przed społeczeństwem. Roman Zambrowski twierdził na naradzie aktywu partyjnego, w czerwcu 1946, że Polska może dojść do socjalizmu zachowując "system parlamentarny, /.../ wielopartyjność i możliwość istnienia opozycji". I Zjazd PPR w grudniu 1946 oficjalnie zaprzeczł twierdzeniom, jakoby partia dążyła do kolektywizacji rolnictwa i upaństwowienia całego przemysłu i handlu. Zjazd uchwalił, że PPR "dąży do podniesienia dobrobytu wsi przez rozwój indywidualnej gospodarki chłopskiej", głosił "potrzebę istnienia inicjatywy prywatnej". Istotnym celem polskich komunistów było, jak pisze partyjny historyk, "dążenie do utrwalenia w powszechnym społecznym odczuciu tożsamości dalszych początków PPR z najrzetelniej rozumianymi interesami narodu" /J.Jagiello/.

Także stosunek do Kościoła pozostał ugodowy. PPR-owcy zdawali sobie sprawę z siły religijności Polaków. Współpracownik Gomulki, Franciszek Piedler, mówił na grudniowym zjeździe: "Masy /.../ boją się socjalizmu, boją się rewolucji. Wreszcie masy te są wierzące, katolickie, mają zaufanie do księży. Z tym wszystkim musimy pokusić się o ich przyciągnięcie". Komuniści strali się: "dekretom o reformie rolnej nie objęto posiadłości Kościoła. /.../ swobodnie działały szpitale zakonne, szkoły i ochronki. Nadal utrzymywano naukę religii w szkołach" /T.Żenczykowski/. Rząd ogłosił nawet święto Niepokalanego Poczęcia, 8 grudnia 1945, dniem wolnym od pracy.

Kamuflowane zamiary komunistów wychodziły na jaw stopniowo. Przeprowadzona w 1947 roku "bitwa o handel", likwidacja niezależnej spółdzielczości i niszczenie rzemiosła pokazały, co komuniści rozumieją przez "uspokojenie gospodarki". Po sfałszowanych wyborach i klęsce PSL rozpoczęła się przyspieszona totalizacja całego życia społecznego i politycznego. Jednym z etapów tego procesu było utworzenie monopartii, PZPR, poprzez narzucone PPS zjednoczenie z PPR. W 1948 roku z kierownictwa partyjnego usunięto Gomulkę za "odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne" - jego taktyka była już "na danym etapie" zbędna. Partia zapowiedziała kolektywizację rolnictwa. W 1949 roku zaczęła się akcja rozbijania Kościoła: powstała Komisja Księży przy ZBOWiD i Stowarzyszenie PAX.

"Demokracja ludowa" ujawniała swoje prawdziwe oblicze.

Dodam jeszcze, iż szkic ten nie wyczerpuje całoci zagadnienia. Nie było to ani możliwe - ze względu na ograniczoną objętość artykułu, ani konieczne - celem autora było bowiem jedynie wywołanie z historii PPR tych wątków, które zdecydowały o sukcesie partii i ukazanie metod, nie zaś szczegółowy opis zainteresowania komunistów. Natomiast pełne dzieje zdobycia władzy przez PPR znajdzie zainteresowany czytelnik w opracowaniach Krystyny Kersten, Andrzeja Alberta i innych autorów. Myślę, że czytelnicy wielokrotnie napotkają tam potwierdzenie lub egzemplifikację sformułowanych powyżej tez.

PACJENT

Kończę jest za kwadrans trzecia czuję się już tak zmulony
że myślę tylko o tym aby jak najprędzej
Zatrzasnąć drzwi trabanta i pojechać do domu
Zapaliłem papierosa
A tu wparował jeszcze jeden pacjent

Lat 54 wzrost średni dobrze odżywiony
Twarz miła oczy niebieskie spojrzenie otwarte
Wykształcenie techniczne magister inżynier
Kłopoty z trawieniem trudności z zasypianiem
Inne jeszcze drobne dolegliwości
Choroby przebyte ospa wietrzna dwa razy migdałki
Zapalenie spojówek i raz coś tam miał z woreczkiem
Puszczam to mimo uszu czuję jednak że jestem zmęczony
Proszę się rozebrać wystarczy do połowy
Skóra normalna dobrze napięta zdrowa
Na biodrach i na brzuchu trochę podkładki tłuszczowej
Warunki znośne M-4 samochód przyczepa nawet kempingowa
Domek w Peimiu nieduży przy tym działka całkiem mała
Prosimy bardzo jak pan kiedyś będzie jechał w tamtą stronę
Wątroba jeśli powiększona to bardzo nieznacznie
Wcale spod łuku żebrowego nie wystaje
Śledziona w normie czasem mówi coś go w krzyżach rąbnie
Na zmianę pogody czy miał coś z nerkami raczej chyba nie
Wszystkie badania i analizy w porządku krew mocz EKG
Ciśnienie 140 na 85 także w normie chociaż bo ja wiem
Zobaczymy co dalej rentgen czysty a to głupstwo
To po prostu gruczolę węskowe stare dawno już zwapniałe
Czy było kiedyś zapalenie opłucnej nie było to dobrze
Ale proszę wstrzymać oddech proszę oddychać dziękuję
Czy pije bardzo mało czy pali nie to bardzo zdrowo
Cały tydzień w kółko to samo żebym czegoś nie przecoczył
Więc proszę się odwrócić kręgosłup w porządku
I jeszcze raz dla pewności serce coś jakby mały szmerek
Ledwo ledwo słyszalny cholera czyżbym się przesiyszał
W porządku nic nie było ale co ja robię jestem jednak zmęczony
Trzeba było zaczynać od góry jak mówił profesor Polony
Więc jeszcze oczy plus półtora tylko do czytania
Więc uszy i gruczolę jama ustna gardło zęby zdrowe
Teraz trochę neurologii wszystkie odruchy prawidłowe
A cały czas rozmowa lekko testowana jakie to dziś czasy
On mówi robotnik pracuje a rządził niefachowcy
Więc ja że kupiłem pralkę automatyczną niby wszystko w porządku
Tylko programator do kitu i tak rozgadaliśmy się
W psychiatrii to ja nie jestem mocny ale jako doktor wszech nauk
Wiem wszystko się przecież łączy z sobą
Potraçam delikatnie o politykę mój Boże jak słoń wśród porcelany
Przelotnie też będzie mowa o reformie gospodarczej nawet o malarstwie
Bo jego syn na ekonomii córka na akademii
Sformułowania jasne odpowiedzi logiczne to ja się raczej płacę
Sądy z grubsza prawidłowe nie pytam o przekonania wiarę przynależność
To nie do mnie należy chyba że sam powie

Kończę badanie widzę go jakby był ze szkła i się cieszę
że wszystko w nim w środku dobrze funkcjonuje
Kurczy się rozkurcza przetacza pulsuje
Pobiera odżywia odsąca wydziela
Chciałoby się powiedzieć po co mi pan głowę zawraca
Jest pan zdrów jak koń
Ale mówię nie ma powodu do niepokoju
Tabletki toszkę uspokajające ziółka lekko przeczyszczające
A tym proszę się nie przejmować
W naszym wieku mężczyznom to się często zdarza
Radzę ruszyć czasem łopataą na działce chodzić na spacer
I byłoby dobrze gdyby pan tak niekiedy
Znalazł czas aby się przesiąść z samochodu na rowerek
Proszę a to recepty
Uspokoił mnie pan doktorze do widzenia dziękuję dziękuję

Jest kwadrans po trzeciej wchodzi kolega kończysz
Uff skończyłem nareszcie to był na dziś ostatni
Zapalisz dziękuję dopiero co paliłem
Ee bo ty się za bardzo ciackasz z pacjentami
Trzeba trach trach po uszach i do rzeźni jak mawia
Ten nowy chirurg spod czwartego jak mu tam popatrz już sklerozą
A swoją drogą dobrze że ten pacjent wlaźł do ciebie a nie do mnie
Bo miałem powiedzieć Krysi że wyjechałem i schować się w klozecie
Co cię tak przestraszyło
Chłopie czy ty nie wiesz kto to był
A ja go przypadkowo z widzenia i opowiadań znam
Łajdak kanalia z niego niebywała
Nim został dyrektorem Pumpexu i dorobił się tego co ma
Trzy samochody dwie wille teściowa boutique farma lisia
Nie licząc tego o czym ludzie nie wiedzą
Więc nim to osiągnął paru ludzi wysiał do czubków
Dwóch do kryminału a jednego co mu najbardziej przeszkadzał
Wyprawił na tamten świat
Zamordował e tam po co zaraz krew
Po prostu zaszczył pamiętasz jak to gdzieś opisał Dürrenmatt

Coś takiego a czy miał takie jasne niewinne
Taki sympatyczny uśmiech miły głos
Dokładnie go zbadałem wszystko w nim pięknie grało
Cholera powiedz gdzie takie świństwo w człowieku tkwi

Wiesz ja myślę że u takiego to już od początku
Coś w chromosomach jest chyba nie w porządku
A może jakiś dodatkowy gruczoł wewnętrznego wydzielania
I z tego gruczołu to paskudztwo sączy się do krwi
A potem do mózgu serca i te de
Co my wiemy w ogóle nauka jeszcze mało wie
Spróbujmy odkryć ten gruczoł nazwiemy go gruczołem zia
Zarobimy Nobla przydałby ci się na nowego trabanta no nie
Żarty żartami chciałem teraz spytać poważnie co robicie jutro
Może byście przyszli do nas wieczorem na karty

Dziękuję ale wiesz może innym razem
Miałem jakiś ciężki dzień jestem trochę zmęczony
Wezmę dzieci i żonę
I pojedziemy sobie gdzieś nad rzekę albo w las.

KORNEL FILIPOWICZ

W MAŁEJ ZONIE

Dawno już minął rok od dnia mojego aresztowania, niedługo minie rok od dnia, w którym opuściłem mury więzienia.

Sądzę, że najwyższy czas pokusić się o pewnego rodzaju wspomnienie, o coś na kształt: "Obywatel a służba bezpieczeństwa" w praktyce. Tym bardziej, że oskarżenie o współpracę z emigracyjnymi pismami dawno nie pojawiło się na wokandy peerelowskiego wymiaru sprawiedliwości.

Co prawda moje sytuacja prawna nie jest jeszcze w pełni wyjaśniona, ale to także, jak myślę, wiąże się z metodami pracy organów ścigania.

16.05.84 r. wracałem do kraju po trzech latach pobytu na Zachodzie. Pierwszy kontakt z funkcjonariuszami nie wróżył nic dobrego. Na przejściu granicznym wysadzono mnie z pociągu, pieczołowicie przeglądnięto moje bagaże i skonfiskowano trzy książki /majowy numer "Kultury", Marianna Kukieła "Dzieje Polski porobiorowej" i Adama Michnika "Szansa polskiej demokracji"/. Próby przesłuchania spełżyły na niczym. Zwolniono mnie po 24 godzinach sprawdzwszy uprzednio, czy faktycznie jestem tym, kim jestem: wideć funkcjonariusze nie bardzo wierzyli w mój powrót - sprawdzili nawet, czy bliźni są rozmieszczone na moim ciele zgodnie z ich informacjami.

Po przyjeździe do rodzinnego Tarnowa zgłosiłem się na komendę MO po odbiór dowodu osobistego. Poinformowano mnie, że aby go otrzymać muszę się stawić za dwa tygodnie. Nie byłem szczególnie zdziwiony, gdy po dwóch tygodniach wprowadzono mnie do pokoju, w którym za biurkiem siedział w średnim wieku mężczyzna, serwujący nie pozbawiony obywatelskiej troski uśmiech esbeka. Uśmiech, który ma ułatwiać przesłuchiwanego nicią "porozumienia". Zaczął więc grzecznie, wręcz przymilnie, już to po ojcowsku, już to po koleżeńsku, niemalże poklepując po ramieniu perorował, niby mimochodem, o więziach nieformalnych z SB, o współpracy, o możliwości porozmawiania gdzie indziej /np. w restauracji/, o ziemnych życiorysach, bezaensie "opozycyjnego harcerstwa" itp. itd. Mój brak reakcji zbił go nieco z tropu, zmienił więc nagle temat i zegał o... "Kontaktach". Je z kolei odmówiłem odpowiedzi i oświadczyłem, że nie przyszedłem na pogawędki tylko po dowód i że nie zgadzam się na przesłuchanie bez protokołu, a w ogóle, to o co chodzi? Chodzi o to - zmartwionym głosem odparł esbek - że teraz nie te czasy, wyroki po kilka lat, że mam szynę /amnestia do 31.12/, że on przyjechał specjalnie z centrali, ale jeżeli nie chce im pomóc, to następne przesłuchanie będzie formalne i o wiele bardziej przykre dla mnie.

I rzeczywiście, SB nie rzuca słów na wiatr: po niecałym roku znowu stanąłem przed pracownikami resortu spraw wewnętrznych. Zatrzymano mnie z 3 na 4 kwietnia 85 r. w Tarnowie. Aresztowaniu towarzyszyło brutalne pobicie: już w radiowozie jeden z milicjantów okładał mnie pięścią po twarzy. Krew zalewała ubranie. Oszołomiony bełkotałem coś o praworządności, samowoli... Następnego dnia w pokoju nr. 611 RUSW ppor. Aleksander Ziomek wyjaśnił mi, co zaszło. Otóż: "znieważyłem słowami obelżywymi Zygmunta Sterca i Stanisława Marszałka - funkcjonariuszy Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Tarnowie, podczas i w związku

z pełnieniem przez nich obowiązków służbowych" /art.236 § 1 kk/. Gdy oświadczyłem, że to kłamstwo, albowiem ja jestem osobą poszkodowaną i wskazałem na ślady pobicia /sińce, zakrwawione ubranie/ ppor. Ziomek oznajmił, że dzisiaj też mogę dostać w mordę, a w ogóle wpadłem jak śliwka w kompot i nie mam żadnych szans. Śledczego nie interesowały zbytnio okoliczności zatrzymanie /wiążące się przecież z zarzutem/, interesowała go natomiast moje "nielegalna działalność polityczna w kraju i za granicą". Traf chciał, że w momencie aresztowania miałem przy sobie dwa numery pisma "Vacat", egzemplarz "Russkoj Mysli", publikację "Teheren-Ja'ta w świetle dokumentów", poświęcony Jęzcie numer francuskiego pisma "La Croix" i trochę własnych notatek. Skonfiskowane publikacje leżały teraz na biurku między mną a śledczym. Temat Ja'ty zadziałał na niego jak płachta na byka: "Coś pan Żyd, czy jaki Niemiec?" - uważyzałem. Moje notatki zakwalifikował jako materiały przeznaczone dla "Kontaktu". Pytania przepalane pogroźkami i "dobrymi radami" padały szybko, jakby nikt nie oczekiwał odpowiedzi. Na twarzach kręcących się esbeków malowało się zadowolenie i pewność siebie. Nie mogłem tego powiedzieć o sobie. Najtrudniejszy jest właśnie ten pierwszy moment, pierwaźa decyzja. Rozsądek keże milczeć, lecz pokusa podjęcia wyzwania, chęć polemiki, wymiany ciosów jest bardzo silna. Z okna na szóstym piętrze widziałem spieszących się, zajętych swoimi sprawami ludzi, semochody, rozświetloną promieniami wiosennego słońca ulicę. Z trudem przezwyciężyłem wahanie, wydobywając z siebie sakramentalne "odmawiam odpowiedzi". Potem było łatwiej - zwyczajna konsekwencja podjętej już decyzji. Wywody śledczego przestały mnie interesować. Żądałem przesłuchiwania do protokołu, zgodnego z treścią zarzutu. Po kilku bezskutecznych próbach przemienienia monologu w dialog śledczy odesłał mnie do celi.

Nareszcie mogłem spokojnie zastanowić się nad swoją sytuacją, chociaż, prawdę powiedziawszy, nie było nad czym łemać głowy: nie ulegało wątpliwości, że singwolarny zarzut ma rzucić mnie na kolana i ułatwić bezpłecie rozmowę na interesujące ją tematy. Pozostałe z 48 godzin wypełniłem lekturą A.Pilińskiego "Maszyny i wilki" i tomiku wierszy E.Kuryluk /pozwolono mi zabrać te książki do celi/ oraz rozmyślaniami o alternatywie: wolność lub więzienie.

6.04 trzech esbeków przewiozło mnie białym Fiatem do pobliskiej prokuratorury. W rozmowie poprzedzającej przesłuchanie wyjaśniłem, że zostałem pobity, na co prokurator rejonowy, Stanisław Demczech, odparł, że posiada inne informacje /tzn. z góry daje wiarę funkcjonariuszom/, po czym ja odmówiłem zeznań i podpisanie protokołu, bowiem uznałem to za bezcelowe, a on wypisał postanowienie o tymczasowym aresztowaniu /w ciągu całej rozmowy nie wyjmował papierosa z ust i tylko od czasu do czasu obdarzał mnie z lekką drwiącym uśmiechem - czułem jednak, że jest zdenerwowany/. A więc więzienie.

Pierwsze trzy miesiące aresztu spędziłem kolejno w celach nr 455, 452, 454. Nie były to jednak zwykłe cele. Oddział IV /śledczy/ w tar-nowskim więzieniu posiada tzw. "wydzielony odcinek" a właściwie odrębny, krótki korytarz z pięcioma celami /451-455/, oddzielony od całoci oddziału zamykaną kretą. Znajduje się tam również pokój /nr 450/, w którym urzęduje do południa dwóch etatowych funkcjonariuszy MO w wiewilu i trzy pokoje przeałuchań. Cele są czteroosobowe i charakteryzują się głównie tym, że w każdej z nich jeden z współwięźniów jest kapu-siem. Swoimi informacjami dziela się bądź to z dozorującymi funkcyj-onariuszami /tzw. "inspektorami"/, bądź to bezpośrednio ze śledczymi prowadzącymi sprawy ich współwięźniów. Innymi ałow, prowadzą śledztwo w celi. Są to najczęściej wytatuowani wieloletni recydywiści, którzy znają więzienne realia i obyczaje. Imponują oni tym, którzy pierwszy

raz się tu znaleźli i odgrywają role "twardzieli", dowódców i spowiedników, zdobywając ich zaufanie. Nie jedno śledztwo utknęłoby zapewne w martwym punkcie, gdyby nie wysiłek tych żalosnych indywidualów. Nie wiem jaka ich za to spotyka nagroda - może przedterminowe zwolnienie a może jedynie darmowa "wypiska", a może po prostu kiedyś zaczęli i teraz nie mają już wyjścia i wolą to, niż przejście na oddział ogólny, gdzie któraś z ich ofiar szukałaby odwetu. W tych pięciu celach mogą się czuć względnie bezpiecznie.

Przez 3 miesiące skazany byłem na twarze współwięźniów celi, inspektorów, klawiszy i esbeków. Nawet kalifaktorzy /funkcyjni rnoszący jedzenie/ nakładali posiłki pod okiem klawisze na uprzednio wyłożone przez nas na korytarz talerze tak, abyśmy nie mogli się nawzajem zobaczyć. Każda z pięciu cel otwierana jest osobno - osobno wyprowadzana na spacer i do łaźni /1 raz w tygodniu/. Spacerowy przychodził zwykle bardzo wcześnie, zaraz po pobudce i jeżeli ktoś się zdecydował, by wyjść błędym światem na spacernik, to z reguły starał się skrócić spacer do kilkunastu minut /kapsusie raczej unikają wychodzenia na spacery. Pewnego razu na spacerze ktoś z wyższego piętra krzyknął do nas: Uważajcie, to kapsusta!/. Aresztowani w celach z kapsusiami pozbawieni są również wyjść na świetlicę, możliwości korzystania z biblioteki, słuchania wiązennego radiowęzła /nie ma w celach głośników/. Jedną z nielicznych rozrywek staje się codzienne czytanie gazety dostarczonej przez "inspektorów", a i to nie zawsze, w zależności od ich humoru. Nawet kibel w celi oddzielono tylko z jednej strony wstawionym parawanem, aby kapsuś zawsze mógł kontrolować sytuację. Często praktykowane jest zamykanie w sąsiednich celach współników z jednej sprawy. Podczas gdy ci spokojnie "nawijają" przez "lipo" i omawiają szczegóły sprawy /po południu nie ma "inspektorów"/, kapsusie w ich celach zbierają interesujące ich informacje. Istnieje niepisana zasada więzienna: "Nie rozmawiać w celi o sprawie!". Trudno się do niej dostosować komuś, kto pierwszy raz znalazł się w takiej opresji i na gwałt szuka zycielskiej osoby.

Przedstawiłem się w celi jako więzień polityczny, ale na "wypuchy" kapsusiów nie reagowałem. Nie unikałem rozmów o polityce, jednakowoż nie rozmawiałem o sprawie. W celi 452 mój spowiednik był do tego stopnia przygotowany do pracy, że posiadał zbiór wycinków z prasy oficjalnej atakujących podziemie, opozycję, emigrację, Kościół - w tym również artykuł o "kontakcie". Ich lektura miała być pretekstem do moich zwierzeń. Zwierzenia, owszem, były, ale to je ich słuchałem. Kapsusie bardzo często opowiadali o swoim życiu, odpowiednio je koloryzując, wcielając się w role tych, których prawdopodobnie kiedyś "sprzedali". Najprawdopodobniej liczyli, że potem będzie moja kolej, zgodnie z zasadą "szczerosc za szczerosc". Bardzo mi pomogli. Dowiedziałem się mnóstwa ciekawych rzeczy o peerelowskim więziennictwie, o buntach, głodówkach, samookaleczeniach, gwarze złodziejskiej itp. Nauczyłem się wielu przydatnych umiejętności, np. pisanie na rękach, gotowanie w celi własnej roboty grzałką, czy też na wolnym ogniu /knot lub gazeta/. Za to jestem im doprawdy wdzięczny /powiedziałem to zresztą śledczemu/.

Nigdy nie zepomnę jednak twarzy jednego z nich, gdy jakimś cudem dotarł do mnie gryps /jak się później okazało, nie był adresowany do mnie i dostałem go przez pomyłkę/ ostrzegający przed kapsusiem w celi. To była twarz człowieka zaszczutego, zagonionego w zaułek bez wyjścia.

Arsenał środków służących do obrony, jakimi dysponuje izolowany od świata więzień, jest bardzo skromny, niemniej jednak, nie bez znaczenia. Mam tu na myśli przede wszystkim wszelkiego rodzaju zażalenia.

Pierwsze napisałem 9.04.1985 /odwołałem się od decyzji o tymczasowym aresztowaniu i opisałem brutalne pobicie przez MO/. Nie zostało ono uwzględnione i na dodatek przetrzymano je w ZK Ternów. Nawissem mówiąc, przed komisją lekarską stanąłem 14.05.

W kolejnych zażaleniach opisywałem przypadki naruszenia KPK przez prowadzącego śledztwo ppor. A.Ziomka. 2.05 skarżyłem się na próby przesłuchiwanie mnie na temat tzw. "nielegalnej działalności politycznej w kraju i za granicą" bez przedstawienia mi uprzednio zarzutu na ten temat, zaś 10.05 na rewizję osobistą przeprowadzoną przez śledczego A. Ziomka, funkcjonariusza SB Marka Dziwaczynskiego i oddziałowego, w wyniku której skonfiskowano dwa zeszyty zawierające odpisy zażeń, wypisy z kpk i kk, własnej roboty kalendarz i kilka wierszy. W zażaleniu pisałem m.in.: "Nie muszę chyba podkreślać, że posiadanie zeszytów i przyborów do pisania, a więc i osobistych notatek jest w areszcie dozwolone /zeszyty można zresztą kupić w miejscowej kantynie na tzw. wypiskę/.

Z góry wykluczam możliwość poetyckich zainteresowań ppor. A.Ziomka a zwłaszcza moją skromną twórczością. Z kolei zażalenia przeze mnie wysyłane ppor. A.Ziomkowi może, tak czy owak, przeczytać i zrobić sobie odpisy na własny użytek a kodeks karny i kodeks postępowania karnego obowiązany jest znać, przestrzegać i zapewne go posiada. Dlaczego więc sięga po cudze?

Wniosek nasuwa się jeden: chodzi o pozbawienie mnie elementarnej możliwości obrony jaką daje wgląd do notatek, odpisów kodeksu, że już nie wspomnę o kalendarzu".

Żażalenie skierowane do Prokuratora Rejonowego Stanisława Demczaka zakończyłem słowami: "W przypadku braku Pańskiej odpowiedzi zmuszony będę uznać, iż akceptuje Pan przedstawiony przeze mnie stan rzeczy". We wszystkich zażaleniach domagałem się widzenia z metką i obrońcą. Odpowiedzi nie otrzymałem.

Jeśli chodzi o wiersze, to rzeczywiście je pisałem. Świat poezji stał się jedynym wolnym obszarem, po którym mogłem się poruszać. Pisałem o Wielkenocy przeżywaney za murem, pisałem o wolności, o budzącej się właśnie wiosnie, przypominałem sobie czytane niegdyś strofy. Jeden z wierszy zadedykowałem Natalii Gorbaniewskiej:

Znalazłem kilka Twoich wierszy
Wyszły spod farby koło pryczy
Ciekawe kto był tutaj pierwszy
Następnych nikt nie będzie liczył...

Wpatruję się w odległe mepy
Daty biografie u wezgiowie
I wciąż pochłania biel etepy
I wciąż brekuje mi poślowie

Miłym zajęciem, pozwalającym zarówno na zabicie czasu jak i na psychiczny relaks było lepienie z barwionego chleba najrozmaitszych figur i ozdób, czyli tzw. "fajensu". Sztuki tej nauczył mnie jeden ze współwięźniów. 13.05 ulepiłem figurkę Chrystusa konającego na krzyżu i zawiesiłem ją na ścianie w celi. "Inspektor" zażądał, abym ją ściągnął a gdy odmówiłem, pomimo moich protestów, uczynił to własnoręcznie oświadczając, że ją konfiskuje. Tego samego dnia napisałem zażalenie do naczelnika ZK. Pisałem: "Jak do tej pory jestem jeszcze tymczasowo aresztowany i w związku z tym nie zgadzam się, aby traktowano mnie gorzej niż skazanych, albowiem skazani, w przeciwieństwie do mnie, mają prawo do uczestniczenia raz w tygodniu w mszy świętej, organizowanej na terenie zakładu. W sytuacji, gdy brak mi bezpośredniego kontaktu z kapłanem, zabieranie tak cennego dla mnie przedmiotu godzi w moje uczucia i przekonania religijne".

Odpowiedzią władz było postawienie mnie 22.05 do raportu za "nie wykonanie poleceń funkcjonariusza". Naczelnik zażądał, abym zniszczył krzyż. Odmówiłem, a on pozbawił mnie talonu na paczkę żywnościową.

Taka kara nie miała jednak dla mnie większego znaczenia, gdyż już wcześniej postenowiłem, że 23.05 rozpocznę głodówkę. Zbliżały się 2 miesiące siedzenia pod sfigowanym zarzutem obrazy funkcjonariuszy.

"Przetrzymywanie mnie tutaj przy jednoczesnym ignorowaniu moich zażaleń, prawa do obrony i widzeń, oraz sposób w jaki jest traktowana moja matka, zmusza mnie do wyrażenia zdecydowanego protestu. /.../ 23.05.85 rozpoczynam protest głodowy. Domagam się widzenia z matką i obrońcą" - pisałem w zażaleniu do Prokuratury Wojewódzkiej. Dzień ten wybrałem również ze względu na fakt, że 23 rozpoczynał się w Gdańsku proces Wł. Frasnówka, B.Lisa i A.Michnika.

Głodówka jest ostateczną bronią więźnia. Dlatego uważam, że nie należy po nią sięgać zbyt lekkomyślnie. Wydaje się, że ostatnio robiono to zbyt często a to dewaluuje jej wartość. Wiadomo również, że długotrwała głodówka szkodzi zdrowiu. Sądzę więc, że należy ją stosować: 1/ w ostateczności, gdy nie ma innych sposobów protestu, 2/ w sytuacji, gdy protest ma szanse powodzenia. Ten drugi warunek występował w moim przypadku. Wiedziałem, że jeżeli widzenia z obrońcą mogą nie uszkać, to zgodzą się na pewno na widzenie z matką. Tak też się stało.

Już w dniu rozpoczęcia głodówki zaczęto stosować wobec mnie różnego rodzaju naciski. "Inspektor" wezwał mnie na perswazyjną rozmowę, która zakończyła się pogrózkami, że przeniosą mnie do celi z homoseksualistami albo takimi "skurwysynami" że odechce mi się nie tylko głodować, ale i żyć. Rzeczywiście, przenieśli mnie do innej celi /454/, gdzie siedział konfident namawiający mnie przez cały czas na zjedzenie czegoś. Ostentacyjnie spożywał przede mną posiłki i wielokrotnie częstował mnie czekoladą i cytrynami przyniesionymi przez "inspektora". Prokurator natychmiast wydał mojej matce zabrany mi uprzednio dodatkowy talon na paczkę, do przyjęcia której usiłowano mnie zmusić. Moim posiłkiem stały się 2 litry przygotowanej za pomocą grzałki z zyletek wody. Po sześciu dniach, 28.05, miałem pierwszą wizytę u lekarza a następną 31.05.

Po dwóch tygodniach głodówki /5.06/ otrzymałem widzenie. Przedtem jednak zabrano mnie jeszcze do lekarza, który obejrzał mnie i stwierdził, że jeżeli jest zgoda, to mogę iść na widzenie "nawet na noszach" Nosze nie były potrzebne. Zataczając się, szurając nogami, pokonałem 4 piętra dzielące mnie od sali widzeń.

Słowa z trudem przechodziły mi przez gardło. Naprzeciw siedziała spłakana matka. W nasze twarze wpijały się oczy czterech funkcjonariuszy. Od matki dowiedziałem się, że moim obrońcą jest J.Bystrzonowski z Tarnowa. Pod koniec widzenia powiedziałem śledczemu, że zawieszam głodówkę, ale jeżeli nie będę miał regularnie następnych wizyt, to znów odmówię jedzenia. Do końca aresztowania nie miałem kłopotów z widzeniami z matką. Był jeszcze jeden efekt głodówki. Otóż obok starego śledczego, ppor. A.Ziomka, pojawił się nowy - por. Józef Dębski. Zmienił się też prokurator. Teraz korespondowałem, przynajmniej formalnie, z Kazimierzem Solakiem.

Zbliżał się koniec trzymiesięcznej sankcji a taktykę rozmiękczenia stosowaną przez śledczego nie dawała rezultatów. W każdym protokole przesłuchań odmawiałem odpowiedzi. W tej sytuacji 25.06 przedstawiono mi zarzut o przestępstwo z art. 271 §1 i 2 kk w związku z art.273 §2 k10§ z kk. Zarzut, na którego temat usiłowano mnie przesłuchiwać od samego początku. Zarzuceno mi, że: "W okresie od miesiąca kwietnia 1982 roku do maja 1984 r. we Francji, będąc członkiem redakcji miesięcznika "Kontakt" rozpowszechniał a w okresie od maja 1984 do kwietnia 1985 w Krakowie i Tarnowie w celu rozpowszechniania sporządzał, gromadził, przechowywał, przewoził i przerosił pisma i druki zawierające fałszywe wiadomości o władzach państwowych, politycznych, organach ścigania i porządkowych, ich stosunku do społeczeństwa, mogących wyrządzić poważną szkodę interesom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej". Groziło mi więć od 6 miesięcy do 5 lat więzienia. Śledczy nie omeszkał przy tym postrzążyć mnie o ewentualnej zmianie artykułu /od 1 roku do 10 lat/.

Wprowadzie dwutygodniowa głódówka poważnie nadwątlila moje siły fizyczne, ale psychicznie czułem się teraz silniejszy. Ostatecznie odniosłem zwycięstwo, wszak perspektywa regularnych widzeń a więc kontaktu ze światem zewnętrznym, to dla więźnia sprawa niezwyklej wagi. Na przesłuchaniach czułem się zdecydowanie pewniejszy. Pytania śledczego trafiały w próżnię, przestały być moim kłopotem. Mimo różnego rodzaju podchodów stosowanych przez śledczego nadal konsekwentnie odmawiałem odpowiedzi.

3.07 przeniesiono mnie na oddział ogólny a następnego dnia przedłużono areszt o dalsze trzy miesiące. Zastępca Prokuratora Wojewódzkiego, B.Cyzio, uzasadnił swoją decyzję tym, że "zachodzi konieczność zbadania przez biegłych psychiatrów /mojego/ stanu zdrowia psychicznego", przy czym biegli zostali powołani postanowieniem Prokuratora Rejonowego z dnia 25.06.85 r. i nie przedstawili wyników. Wprowadzie nasza psychiatria nie stała się jeszcze bezwzględny narzędziem w rękach bezpieki i nie służy bezwzględemu izolowaniu inaczej myślących od społeczeństwa tak, jak to się dzieje w Związku Sowieckim, ale nikt chyba nie zaprzeczy, że nasz rodzimy zamordyzm rozwija się głównie w oparciu o wzorce sowieckie, stosując przy tym swoisty peerelowski "humanitaryzm" - intencje pozostają wszak te same.

Nie pozostało mi nic innego, jak napisać kolejne zażalenie /10.07/. Oświadczyłem, że "1. Nie widzę powodów uniemożliwiających zbadanie mnie na wolności; 2. Biegli mogli zbadać mnie jeszcze przed wpływem senkcji, tj. do 4.07.85; 3. Sem pomysł zbadania mnie przez biegłych psychiatrów jest, delikatnie mówiąc, dziwny i jak się wydaje służy jedynie podparciu decyzji o przedłużeniu tymczasowego aresztowania. Gorliwość, z jaką Prokuratura zajęła się moim stanem zdrowia, wydaje się jeszcze dziwniejsza, gdy przypomnieć obojętność, z jaką potraktowała ona pobicie mnie przez funkcjonariuszy MO /których rzekomo miałem obrazić/ w dniu 4.04.85. Prokurator Stanisław Demczek okazał w tym wypadku zadziwiającą ignorancję a prowadzący śledztwo ppor. A.Ziomek groził mi ponownym pobiciem. /.../ Ślady milicyjnej "ekcji" utrzymywały się widocznie zbyt długo, gdyż przed komisją lekarską stanąłem dopiero 14.05.85 - ponad miesiąc po pobiciu. O wiele bardziej zasadne było by zbadanie egresywnych, nadużywających swoich uprawnień funkcjonariuszy e i poczynania śledczego najwyraźniej specjalizującego się /i to odpłatnie/ w zapewnianiu akt bezprykladną mistyfikacją zdają się sugerować zaszawensową mitomanię". W wywiadzie po zamordowaniu ks.J.Popiełuszki Anka Kowalska nazwała atmosferę resortu spraw wewnętrznych kryminologenną. I ja się z nią zgadzam.

Biegli lekarze psychiatrzy orzekli, że w dniu popełnienia zarzucanych mi czynów z art.236 miałem "w znacznym stopniu ograniczoną zdolność pokierowania swoim postępowaniem w rozumieniu art.25 § 2 kk", natomiast "nie znaleźli podstaw do zakwestionowania poczynności podejrzanego, gdy idzie o zarzut "nielegalnej działalności politycznej"

Powołano również biegłych w celu przeprowadzenia ekspertyzy pisma notatek, które zostały mi zabrane w momencie aresztowania. "10 kart maszynopisu z naniesionymi poprawkami pismem ręcznym, 95 kart zapisanych pismem ręcznym /notatki/, zeszyt kratkowany zawierający 60 kart /notes/ oraz 3 karty luzem zawierające wzory /mojego/ pisma ręcznego, w celu ustalenia, czy zabezpieczone u podejrzanego materiały zostały przez niego osobiście sporządzone".

Biegli Wydziału Kryminalistyki WUSW w Nowym Sączu uznali, iż sem sporządziłem te notatki.

13 września sędzina Alina Bartoszek odrzuciła ponowny wniosek obrony o uchylenie aresztu tymczasowego, motywując swoją decyzję tymi słowami: "Czyn zarzucane oskarżonemu Redosławowi Nowakowi cechuje wysoki stopień społecznego niebezpieczeństwa" a "/.../ wyznaczona na miesiąc wrzesień br. jesienna sesja na WJ, w której oskarżony mógłby ewentualnie uczestniczyć, nie może stanowić przyczyny, dla której należałoby przedmiotowa wniosek uwzględnić".

Jak już wspomniałem, 3.07 przeniesiono mnie na oddział "ogólny". Tarnowskie więzienie przeznaczone jest dla pierwszy raz keranych z wyroków do 25 lat, nie dotyczy to jednak oddziału szkolnego /IV/. Tu oczekują na wyroki zarówno nowicjusze, jak i recydywiści. Początkowo /przez miesiąc/ siedziałem w celi nr 439 z recydywistami, ale po protestach u naczelnika przeniesiono mnie do celi dla pierwszy raz keranych /nr 421/. Tam przebywałem już do końca.

Byłem zresztą w tym czasie jedynym politycznym. Stosunek kryminalnych do mnie cechował, choć czasami ograniczone, sympatia. Istniał jednak pewnego rodzaju dystans wynikający z przynależności do tzw. "innej kategorii" - dotyczy to zwłaszcza tzw. grypsujących. Ideologie tej grupy jest jednak najwyraźniej w odwrocie, pozostali jedynie hałaśliwi epigoni, głównie wśród "małoleństw" tworzących nowe i coraz bardziej absurdalne zasady obowiązujące "zrzeszonych".

W więzieniu trudno o czystą bezinteresowność /jak dawniej za czasów "charakterników", kiedy solidarność więzienna nie była czczym frazesem/ i raczej obowiązuje zasada: "Masz - to masz! Nie masz - to nie masz!", a rozbiecie na "ludzi" i "frajerów" nie jest rygorystycznie przestrzegane. Może zresztą tylko je tego nie odczuwałem, pozostając jakby poza ich klasyfikacją.

Niemal od samego początku wyczułem, że stałem się dla kryminalnych autorytetem. Być może wynikało to z mojego nastawienia politycznego, które było jednoznacznie antykomunistyczne. Zwracali się do mnie z najprzeróżniejszymi sprawami - głównie chodziło o pisanie zażaleń, ale nie tylko, pisałem zażalenia i prywatne listy /do narzeczonych, do żon/. Nie odmawiałem przeniesienia grypsu, czy przesłania go przez klawisza na inne piętro. Każdą otrzymaną paczką dzieliłem się ze współwięźniami celi a gdy była możliwość - też z innymi. Dzieleno się także ze mną.

Spotkałem różnych ludzi. Siedzieli drobni złodzieje, chuligani, gwałciciele, mordery, przestępcy gospodarczy, paserzy, cinkciarze - cała mozaika przestępczego półświata. Byli tacy, co spodziewali się "czapy" i tacy, co przyszli przezimować za kolegium. Ludzie przechodzą codziennie koło peerelowskich więzień jak koło urzędu pocztowego nie zdają sobie sprawy, że te mury kryją tysiące ludzkich tragedii.

Ludzie pozbawieni nadziei decydują się na najgorsze, byle się tylko wydostać z więziennego piekła. Jednym z najsmutniejszych sposobów są samookaleczenia. Nie chodzi mi tu o płytkie "sznyty" robione dla szpenu. Nie idzie mi nawet o porwane ścięgna, "połyki", "wstryki". Tu nie chodzi o zaimponowanie kumpiom, lecz o biegłych psychiatrów /orzeczenie o nieopczytalności może zwolnić z całości lub połowy odbywanej kary/, lub przynajmniej o kilka dni wytchnienia w szpitalu. O kilka dni, które pozwolą poczuć się znowu człowiekiem, którym ktoś się opiekuje, interesuje, a nie traktuje go jak zwierzę w klatce. Po "połykach" /połykanie ostrych przedmiotów/, "wbitkach" /wbicie w oczy igieł lub gwoździ między żebra/ i "wtryskach" /wstrzykiwanie do organizmu substancji wywołujących zakażenia/ przyszła moda na "zesypki". Zabieg polega na zespaniu oka lub oczu tartym szkłem i roztworem nadmanganianu potasu. W najlepszym razie kończy się to chwilową utratą wzroku. Bywało przedtem, że uchylano wobec takich osób areszt. Teraz się to nie zdarza. Za mojej bytności w ZK jeden z więźniów wyszedł, ale całkiem ślepy. Jeden z więźniów starający się o biegłych psychiatrów oskalpował się własnoręcznie: rozciął skórę od ucha do ucha i zderł z głowy połowę skóry z włosami /przysyli mu ją z powrotem/. Można również "tergnąć się na linę", tzn. upozorować powieszenie, prosząc kolegów o bicie w "klepę" /w drzwi/ na ślurm. Zderza się jednak, że klawisze nie kwapi się ze sprawdzeniem co się stało i więźnia nie da się już odratować. Bardziej wyrefinowani zarażają się żółtaczka.

Klawisze i pozostała służba więzienna, to odrębny temat naukowego opracowania. Czterech, którzy nadzorowali nasz oddział, charakteryzują "ksywki" /przez wiska/ nadane im przez więźniów: Muł, Dusiciel, Helikopter, Człowiek bez jutrze. Na przykład o tzw. "wychowawcy" oddziału powtorzę dokładnie to, co powiedziałem mu osobiście: "gdyby tacy ludzie zajmowali się moim wychowaniem, to już dawno byłbym w więzieniu, tylko że jako kryminalista". Więźniów nagminnie, pod byle pretekstem, pozbawiał peczek, widzeń, skazywał na karę twardego łoża /"dechy"/ lub wśdzieł do izolatek. Wysterczy raport klawisza - naczelnik nie ma zwyczaju wysłuchiwać racji więźnia. Od więźniów egzekwuje się pracę przymusową, chociaż jest one objęte zakazem na mocy konwencji MOP, podpisanej przez PRL.

Nawet święta państwowe nie są pozbawione brutalnych akcentów: w związku z 22 lipca wygoniono nas na korytarz i zrewidowano /niektórych rozebrano do naga/, w tym samym czasie kilku klawiszy rewidowało nasze rzeczy w celi, rozrzucając je, mieszając z pościelą, materacami, ubraniami. Każde większe święto witanie jest w ZK takim "kipiszem".

Więźniowie polityczni nie odsiadują kary, lecz wyroki. Z natury rzeczy są bardziej wyczułeni na wszelkiego rodzaju próby ingerowania w ich ideową i duchową niezależność. O wiele częściej niż więźniowie popolscy stoją wobec moralnych wyborów i konfrontacji ze służbą więzienną. Od dawna wysuwany jest postulat stworzenia w PRL odrębnego statusu więźnia politycznego. Wielu ludzi prowadziło w tej sprawie długotrwałe głodówki. Podpisując się pod tym żądaniem rękami i nogami, chciałbym jednak zwrócić uwagę na inny aspekt więziennej rzeczywistości. Poza prawem są również wszyscy inni więźniowie. Sytuacja jest po prostu tragiczna. Myślę, że nie wolno nam zapominać o tej całej rzeszy ludzi, wyjętych spod prawa, zdanych na łaskę i niełaskę mafijnego aparatu przemocy.

W jednym z wywiadów Jacek Kuroń, mówiąc o sztuce siedzenia, stwierdził, że chodzi o to, aby wyrok nie był czasem zmarnowanym, aby możliwe było twórczo pracować. Studiując literaturę rosyjską, usiłowałem więc to samo robić za murami. Zbiory więziennej biblioteki są bogate, nie zawsze jednak funkcjni przynoszą zamówione książki /kiedyś przyniesiono mi stalinowską biografię Lenina/. Aby zwiększyć rachunek prawdopodobieństwa, zamawiałem książki dla całej celi /po 4 na 1 osobę/. Otrzymałem więc 16 i zawsze mogłem coś z tego wybrać. Potem, dzięki staraniom uczelni, po długiej batalii, dostarczono mi do więzienia obowiązuje lektury i podręczniki prosto z biblioteki Instytutu Filologii Rosyjskiej oraz podręczniki do nauki języka angielskiego i francuskiego. Czytałem więc Puszkina, Lermontowa, Gogola, Dostojewskiego, śledziłem losy dekabrystów... z zapertym tchem czytałem biografię wielkiego poety ukraińskiego Tarasa Szewczenki "Noce ukraińskie, albo rodowód geniuszu". /Notatki z więziennych lektur skonfiskował mi któregoś dnia "Człowiek bez jutrze"/.

Praca nie poszła na marne - po wyjściu zdałem zaległe 6 egzaminów i 2 bieżące, nie tracąc tym sposobem ani miesiące studiów, choć kiedyś śledczy odgrażał się: "koniec z pańskimi studiami, chyba że inaczej będzie pan z nami rozmawiał. Mieliśmy tu już takich, dali się jednak przekonać, że źle im nie życzymy, skończyli studia, mają dobrą pracę, pozakładali rodziny... My możemy pomóc".

Na ostatnich przesłuchaniach ppor. A. Ziomek i por. J. Dębski byli wyraźnie spanikowani. Nerwowo przewracali tem i z powrotem akta, wymachiwali egzemplerzem "Kontakt", za wszelką cenę usiłowali nawiązać rozmowę, podsuwali mi gotowe schematy typu: młody zbuntowany, o dobrych intencjach, na fali odnowy dał się omotać ludziom bez czci i wiary, uległ ich manipulacjom etc... W końcu zapytali, czy jest sens, aby jeszcze raz przyszli. Odpowiedziałem - "Nie życzę sobie panów oglądać, chyba że przyjdziecie z nakazem zwolnienia". Jeszcze raz odmówiłem składeń wyjeźdźni w Prokuraturze w czasie zapoznania się z aktami sprawy.

Nareszcie mogłem zobaczyć się z obrońcą. Zbliżał się proces.

Pierwsza rozprawa odbyła się 3 października. Nie stawił się jeden ze świadków oskarżenia, przeniesiono ją więc na 24 października. Skład sędziowskiemu przewodniczyła sędzina Alina Bartoszek, oskarżał prokurator K.Solak, bronił adwokat mgr J.Bystrzonowski i dr A.Rozmarynowicz. Na sali rozpraw oprócz bezpieki byli obecni: duchowny z tarnowskiego seminarium, dziekan Wydziału Filologicznego UJ /przedłożył jeszcze jedną opinię z uczelni/ i grupa przyjaciół.

Po przesłuchaniu świadków, którzy nie mieli właściwie nic do powiedzenia o sprawie, głos zabrał prokurator. Trudno w paru słowach oddać mętny bełkot przedstawiciela wymieru sprawiedliwości. Między innymi rozwinął opinię, którą na wniosek Prokuratury wydało mu MSW a konkretnie dyrektor gabinetu ministerstwa płk. Czesław Żmuda, tj. przełożony śledczego. Fragmentem tej opinii zachytywała się również sędzina. Pozwolę sobie ją przytoczyć: "Odpowiadając na pismo nr DSN 77/85/5 Ministerstwo Spraw Wewnętrznych informuje, że Radosław Tomasz Nowak s. Józefa ur. 1960.08.23 w Tarnowie zam. Tarnów ul.Rogayskiego 31/1, 29 marca 1981 r. wyjechał do Francji turystycznie. Pobyt swój przedłużył ponad okres deklarowany. Po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego włączył się w działalność wrogiej emigracji solidarnościowej. Na początku 1982 roku związał się z Mirosławem Chojeckim i tworzonym przez niego miesięcznikiem "Kontakt". Radosław Nowak od pierwszego numeru, tj. od kwietnia 1982 r. do maja 1984 roku, tj.do czasu wyjazdu z Francji był członkiem redakcji tego pisma. Drukował swoje autorskie artykuły, lecz przede wszystkim zajmował się przekładem tekstów dysydenckich z języka rosyjskiego na polski. Z tego tytułu utrzymywał również bliskie kontakty z tą grupą i utrzymuje je nadal /.../.

Co do określenia charakteru miesięcznika "Kontakt", stwierdzić należy z całą stanowczością, że jest to pismo zawierające teksty szkalujące podstawy ustrojowe w Polsce i innych krajach socjalistycznych. Badałem treści między innymi "Kontaktu" zajmuję się Centrum Badań Polityki i Propagandy przy Akademii Nauk Społecznych w Warszawie, które dysponuje analizą wszystkich numerów pisma "Kontakt".

Znaczycy również należy, że miesięcznik "Kontakt" znalazł się na liście ośrodków dywersji ideologicznej na Zachodzie, opublikowanej przez Prokuraturę Generalną za pośrednictwem PAP, z którymi współpracą stanowi przestępstwo".

W tym miejscu należy zaznaczyć - co nie jest bez znaczenia dla sprawy - że "Kontakt" został pozbawiony debitu na okres 5-ciu lat zarządzeniem prezesa Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk z dnia 4.06.1985, a więc już w dniach, gdy znajdowałem się pod kluczem. Niewiśsem mówiąc, prokurator domagał się 2,5 lat pozbawienia wolności.

Po wystąpieniu prokuratora mowy obroncze wygłosili mgr J.Bystrzonowski i drugi mój obrońca, dr A.Rozmarynowicz /żałuję, ale nikomu nie udało się ich negreć/.

Ponieważ w drugim dniu procesu /24.10.1985/ prokurator mógł w swojej mowie nawiązać do audycji RWE o pierwszej rozprawie /3.10./ i oświadczyć przy tym, że żadna głodówka nie miała miejsca, moje ostatnie słowo zacząłem od przedłożenia dokumentów potwierdzających fakt mojej dwutygodniowej głodówki. Wyjaśniłem też jej powody. Prócz tego w swojej wypowiedzi powołałem się na obywatelskie prawo swobody wyboru miejsca druku i swobody lektury. Prokurator nie próbował rozliczyć mnie z tekstu, który podpisałem imieniem i nazwiskiem, natomiast zaczął mnie rozliczać z całości materiałów zamieszczonych w "Kontakcie", z tych, które były dla niego najbardziej szkalujące. Oświadczyłem, między innymi, że jako student literatury mam nie tylko prawo ale i obowiązek czytać nie tylko to, co ukazuje się w kraju, ale i na emigracji. Nie moja to wina, że pisarze tej klasy jak G.H.Grudziński,

M.Nowakowski, K.Brandys, J.Mackiewicz i inni zamieszczają swoje utwory w "Kulturze" paryskiej /kilka egzemplarzy skonfiskowano u mnie w domu/. Niektóre prędzej czy później ukażą się oficjalnie. Bo nie ja stwarzam takie paradoksy, że encyklopedia określa C.Miłosza jako wroga PRL, a dzieci uczą się jego wierszy w szkole. Spórą część skonfiskowanych książek stanowiły książki autorów rosyjskich: N.Gorbaniewskiej, A.Zinowiewa, W.Nabokowa, A.Sołżenicyna./...//Rękopis nieczytelny/.

Kończąc nie przyznałem się do winy i zażądałem całkowitego uniewinnienia. Tego samego domagali się obrońcy. Zostałem skazany na 10 miesięcy pozbawienie wolności i pokrycie kosztów sądowych. Wyrok zatwierdziła druga instancja, tj. Sąd Wojewódzki. Prokurator przeszedł samego siebie oświadczając, że "to właśnie Polska Ludowa nauczyła mnie czytać i pisać, a ja wykorzystałem to przeciwko niej". Ten oskarżyciel zażądał również 2,5 roku więzienia.

Pozostaje mi więc trzy miesiące do odsiedzenia /odsiedziałem 7/. Sąd penitencyjny jakoś nie może się w tej sprawie zebrać a tymczasem komuniści przebakują coś o amnestii. Widzę już kilku zniewolonych oświadczających przed kamerami, że zostali wciągnięci, że działali przeciwko prawu, zaprzestają działalności... Widzę jednak i tych, którzy pozostają sobą. Mam nadzieję, że wyjdą wszyscy. J.K.Kelus śpiewał: "Nie ważne kiedy, ale jaki wyjdę stąd". Temu posłaniu chciałem pozostać wierny.

Podełem we wstępie kilka przyczyn, które nakłoniły mnie do napisania tego tekstu. Chciałem wyznać jeszcze jedno: otóż obiecałem to nauczelnikowi więzienia w Tarnowie.

RADOŚLAW NOWAK

Tego samego dnia R.Nowak został postenowieniem sądu - na wniosek obrony - zwolniony warunkowo z odbywania rezydentury kary pozbawienie wolności. Sąd zastosował tu przepis pozwalający na takie zwolnienie po odbyciu 2/3 kary. Do dnia drugiej rozprawy /24.10/ oskarżony "odsiedział" w erszeczce, tytułem kolejnych sankcji prokuratorowskich, 6 miesięcy i 20 dni, czyli dokładnie 2/3 z orzeczonych 10 miesięcy. Odzyskał wolność w dniu wydania wyroku. To tłumaczy, dlaczego kilka wierszy niżej pisze on o pozostałych mu ewentualnie do "odsiedzenia" 3 miesiącach. /Przyp. red./

ROMANTYCZNY REWIZJONIZM

W KRĘGU ŻYWIĘTYCH POJĘĆ: LEWICA I PRAWICA

Niedawno na pewnym zebraniu /Bóg raczy wiedzieć czy legalnym?/, w którym miałem przyjemność uczestniczyć, tak oto przedstawił się pewien znany działacz KPN-owski: "pozos-tają w kręgu pojęć ukształtowanych w okresie Rewolucji Francuskiej, gdzie na lewicy Stanów generalnych zasiadli ci, którzy byli za obaleniem oligarchicznego rządu i za władzą ludu, w związku z tym jestem przedstawicielem partii umiarkowanie lewicowej".

I miał rację.

To co tu przytaczam nie jest bynajmniej polemiką z Wierzbickim tylko przypomnieniem wielokrotnie już przypominanego kompletnego zużycia się i wyczerpania tradycyjnych pojęć "lewicy" i "prawicy". Wystarczy wziąć pierwszy z brzegu i nader znamienity dla dzisiejszej Polski przykład: gdzie - do lewicy czy do prawicy? - ma się przypisać głęboko wierzący katolik szanujący nie tylko tradycyjny rygoryzm moralny polskiego Papieża, ale

i jego naukę społeczną pełnymi garściami /postawienie człowieka ponad wszelkimi sformalizowanymi strukturami, pierwszeństwo pracy przed kapitałem, pochwała związków zawodowych, upomnienie się o prawo pracujących do współzarządzania itd., itd./ z dorobku uważanej za lewicową socjaldemokracji? Jeśli przeczytał Wierzbickiego; bądź któryś z artykułów usiłujących w prasie niezależnej usystematyzować jakoś te zwietrzałe pojęcia, to nic nie zrozumiał, albo go szlag trafił; a taka jest przecież większość czytelników tej prasy i większość sympatyków dzisiejszej polskiej opozycji, także są ich zawierzenia.

Co innego jest - jak myślę - znacznie bardziej znaczące dla historii nie tylko ostatnich dwustu lat, niż ten ciągnący się już dwa stulecia parlamentarny spór lewicy z prawicą. Inaczej trzeba nazwać ten mocny i wciąż przybierający nurt płynący z dziejów ku mrocznej jeszcze i nie nazwanej przyszłości: tym nurtem jest stopniowe zdobywanie podmiotowości przez jednostki, grupy i warstwy społeczne, nabywanie przez osobę ludzką obywatelskości rozumianej jako świadome korzystanie zarówno z praw, jak i spełnianie obowiązków w zbiorowości ludzi wolnych i równych, poszerzanie zakresu wolności z jakiegoś ta osoba korzysta.

Z perspektywy tego nurtu, tego wielkiego i mozolnego procesu zdobywania i umacniania podmiotowości przez jednostki i grupy, z perspektywy upartego budowania społeczeństw obywatelskich przez ludzi wolnych dla ludzi wolnych, komunizm - a na pewno wcieleny w życie tzw. "realny socjalizm" - jest cofnięciem i dramatycznym uwstecznieniem, jest po prostu formacją pravicową, gdzie w wyniku rewolucji zmienił się tylko rodzaj oligarchii /zamiast oligarchii majątku lub pochodzenia, oligarchia nomenklatury/ i która dla swego upromocnienia kłamliwie posługuje się lewicową frazeologią. Totalitarne spełnienie miało wprowadzić - na długo jeszcze przed Leninem, a nawet jeszcze przed Marksem - swych zwiaśtanów w obozie lewicy w postaci komunistycznych utopii autorytarnych Babeufa czy Blanqui'ego prowadzących w prostej linii do osiągnięć Wielkiego Językoznawcy, a potem pewnie i Pol Pot'a, ale trzeba było długich dziesięcioleci funkcjonowania "realnego socjalizmu", aby w pełni uzmysłwić komu należy tę wstępną istotę komunizmu usiłującego odwrócić upodmiotawiający trend cywilizacji, wykorzystać wolną obywatelskość, przekreślić sens i kierunek dążeń także lewicy, którą prawem kaduka miał za sojusznika i młodszego, bo nie dość rozgarniętego braciszka, a która się w tym całym galimatiasie nieźle sama pogubiła. Ci, którzy tę istotę komunizmu widzieli wcześniej nie byli wysłuchiwani, odsyłano ich na osłą ławkę w obozie skrajnej prawicy obok "rotek po Hitlerze i senatorze McCarthym. Piszę to z kwaśnym przekąsem także wobec siebie, jako byłego członka PZPR; pragmatyzm realnej polityki, na co nie bez racji można się powoływać w kraju, który musi żyć z narzuconym ustrojem i partią, jest jednak słabym tylko i częściowym usprawiedliwieniem.

Dziś jest to wszystko chyba jasne niezależnie od tego czy ktoś pochodzi z obozu lewicy, z obozu prawicy czy, jak mądrze powiada rosyjski emigrant Władimir Bukowski, z obozu koncentracyjnego, choć oczywiście nasz kraj od dawna był w tym obozie jeszcze najprzejrzystym do życia i najlepiej przewietrzonym, choć niekoniecznie dobrze aprowizowanym barakiem. Słynna triada Raymonda Arona powiadająca, że nie sposób spełnić jednocześnie trzech warunków - bycia inteligentnym, bycia uczciwym i bycia komunistą - jest tu akurat na miejscu. Jeden z tych warunków wypada zawsze wykluczyć.

Pojęcia się zużyły i straciły swe dawne, przeżyte znaczenie. Niedgdyjsze święte slogany wpisano do nowomowy i nafaszerowano podejrzaną treścią. W państwie "zwycięskiego socjalizmu" pod hasłami dawnych socjalistów wystąpił ruch określony przez wladców tego państwa jako "antysocjalistyczny", który zresztą w świętym i całkiem uzasadnionym oburzeniu niezależnie i samorzadnie wykreślił słowo "socjalizm" ze swego programu pozostawiając niekmiętą jego socjalistyczną zawartość. W całym świecie spotkać można rzesze pogubionych w tym galimatiasie socjalistów, którzy partyjną oligarchię zwycięskiego komunizmu wciąż nie wiadomo dlaczego uważają za swych lewicowych współbraci, zaś całe rzesze ludzi określających się jako "prawica" podejmują dziś misję walki o podmiotowość i obywatelskość. A obok tego jedną z pierwszych czynności komunistów po zwycięstwie była likwidacja niebezpiecznych dla nich socjalistów czego dowodem jest tragiczna postać Kazimierza Pużaka, zaś owocną współpracę podejmują ci zwycięcy z tymi pravicowcami, z którymi dzielą autorytarne zaczerpienie czego dowodem jest choćby skład FRON-u i paru innych licencjonowanych w rzekomo "socjalistycznej" PRL organizacji.

Dosyć. Wystarczy jeśli powiemy, że stopień pravicowości nie jest dziś miarą antykomunizmu, a lewicowości nie jest tożsąca z poparciem dla Biura Politycznego. I że cała tradycja z jakiej wywodzi się "socjaliści", "socjaldemokraci", "liberalowie", "rewizjonści" - i jak ich się tam jeszcze w PRL nazywa - jest antytotalitarna, wolnościowa, obywatelska, liberalna właśnie; głęboko sprzeczna z istotą tradycji komunistycznej.

Niezależnie od tego czy byli kiedykolwiek w partii /znam paru takich, którzy w niej jeszcze tkwią/ czy trzymali się zawsze od niej z daleka.

W KRĘGU OŻYWAJĄCYCH NADZIEI: KOMPROMIS I POROZUMIENIE

Przywidłe to nadzieje, zwłaszcza po 13 grudnia 1981, ale ciągle do nich wracamy i pewnie będziemy wracać: nawet marne porozumienie lepsze jest od wzajemnego wyniszczenia, nawet najgorsza ewolucja lepsza jest od najpiękniejszej rewolucji. Biblioteka daremnych choć słusznych tekstów o porozumieniu, napisanych w tym nieszczęsnym i cofniętym ze swej naturalnej drogi kraju, jest wyjątkowo rozległa i w swym nikłym zastosowaniu wyjątkowo nie pocieszająca. Ale chociaż dotąd nie ma porozumienia żadnego, chociaż dotąd nie ma jeszcze warunków - w skali ogólnospołecznej - na zwyczajne porozumiewanie, które przecież musi wyprzedzać porozumienie jakiegokolwiek, to już teraz trzeba sobie po wiedzieć, że nie ma porozumienia we wszystkim i za każdą cenę, choćby nawet zaistniała taka zachęta ze strony przeciwnej. Sam napisałem kiedyś lekkożylnie o "froncie sił lewicowych" jako podstawie owego porozumienia. Podobne głosy słychać coraz częściej ostentacyjnie, stąd właśnie te zachęty do pojednania się komunizmu z romantycznym i rozwichrzonym "rewizjonizmem", uśmiechy pod adresem "synów marnotrawnych", którzy przecież nie wyrzekli się swej lewicowości, tym więcej, że i "ojciec" w czasach gorbaczowskiej "pieriestrojki" gotów jest może na jakiś krok odejścia od swego betonowego tronu.

Jakiż byłby to "front"? Jakaż wspólnota tych, którzy są za podmiotowością osób, grup i społeczeństwa z tymi, którzy podmiotowość ograniczali i ograniczają ustępując tylko pod presją buntujących się mas? Nic tu nie pomoże lewicowa frazeologia, sprzeczność jest nieusuwalna. I przeciw komu byłby ten "front"? Przeciw innym siłom i grupom, inaczej nazywającym swe korzenie i zawierzenia lecz też - mimo mylącej "lewicowo-prawicowej" frazeologii - opowiadającym się za postępnymi podmiotowością? Czy przeciw nielicznym w dzisiejszej Polsce antydemokratycznym autorytarystom, których zresztą spora część od dawna doskonale porozumiała się z autorytaryzmem nomenklaturowym?

Więc jakiż to byłby - pozał się Boże - front?

Chyba, żeby strona komunistyczna okazała się po prostu zatroskanymi o stan państwa pragmatykami władzy, którzy zdają sobie sprawę z niemożności utrzymywania w ryzach społecznych żądań i nadziei. Owszem, wielu jest takich w tym obozie, może nawet i sam Gorbaczow, ale wtedy trzeba byłoby jakoś stopniowo "rozmiękczyć" ideologiczny pancerny, tracąc tym samym jedyne i ciągle przywoływane uzasadnienie sprawowania władzy. Albo gdyby zaproszona do takiego porozumienia lewica niekomunistyczna okazała się właśnie "idealistycznymi rewizjonistami" z felietonu Toepplitza, dziećmi megle, które po raz tam któryś z rządu wzięły za dobrą monetę zapewnienia wilka z bajki, że jest tylko dobrą i bezębną babcia.

Te nadzieje odżywają w czasach Gorbaczowa i trzeba je potraktować poważnie, nawet nie ze względu na szansę ziszczenia, ale już tylko dlatego, że istnieją i są wyrazem jakichś faktycznych postaw. Sam jestem tu sceptykiem, choć wolałbym się mylić. Ale może właśnie teraz, kiedy pojawiają się tylko uśmiechy i nadzieje, trzeba poważnie zastanowić się nad tym z czym można pójść do ewentualnego stołu? Jeśli nawet nigdy nie pojawi się takie zaproszenie będzie z tego przynajmniej oczywiście korzyść niezbednych przemysła i rozwiania mgły niejasności. A więc: czy do tego ewentualnego stołu wystarczy przynieść tylko pragmatyzm polityki realnej czy jednak także te wartości, które motywowały pokolenia tak wytrwale dobijające się o podmiotowość? Niezależnie od tego, czy były to ideały chrześcijańskie czy tylko humanistyczno-ogólnoludzkie bez nadprzyrodzonej sankcji. I niezależnie od tego czy ci bojownicy, rewolucjoniści, reformatorzy i szeregowi ludzie szarej organizacji określają się jako socjaliści, jako lewica czy jakkolwiek inaczej, może prawicowo, a może zupełnie apolitycznie. Wartości nadają ponadczasowy sens ludzkiemu życiu i działaniu, ale przeskadzają podobno w polityce. Ale gdybyśmy tutaj, przy tak rozumianym stole rozmów, zapomnieli o wartościach, oznaczaliby, że sprzeniewierzamy się nie im samym, ale całkiem wielkiemu nurtowi rozszerzającej się podmiotowości, który znowu usiłuje zawrócić kolejną oligarchia.

Oto po raz któryś z rządu okazuje się, że w ostatecznym rachunku polityka nie ukorzeniona w wartościach staje się niemożliwa, a przynajmniej nieskuteczna. Albo przekształca się w tyleż efektywne, co mylące harcownictwo na przedpolu. Dlatego opowiadał się za pamięcią o wartościach, za przypomnianiem sobie i obroną tego, w co każdy wierzy i co ceni.

Oczywiście inni ludzie, o innym rodowodzie i innych zawierzeniach inaczej będą patrzeć na problem porozumienia. Na przykład ludzie określający się jako prawica. Jest to

ich sprawa, ich dyskusja. Ja piszę od siebie.

Porozumieć się można i trzeba z każdym. Z Jaruzelskim, z Urbanem, z Gorbaczowem, z Wierzbickim, z Moczulskim, ze Stomą; z "Trybuną Ludu", "Prawdą", "Tygodnikiem Powszechnym", "Niepodległością". Porozumienie jest dialogiem, a więc i sporem - przezszkadamy nie różnicą poglądów, lecz cenzura. Dopiero wtedy, kiedy możliwe jest porozumiewanie, może nastąpić porozumienie, na przykład w kwestii tego co nas dzieli, zwykle też zarazem w kwestii tego, co wspólne i nadrzędne. Dopiero wówczas może być mowa o kompromisie, coś za coś, ale nigdy - coś za nic. Niewzajemność ustępstw oznacza podporządkowanie lub - co na jedno wychodzi - naiwność. Profesor Andriej Sacharow popierając w niektórych sprawach Gorbaczowa, a zachowując jednocześnie prawo do swych poglądów, popiera kogoś, kto jednak powiędza straszliwie dotąd ograniczoną podmiotowość radzieckiego społeczeństwa, być może nawet powiędza w sposób - jak na tamte standardy - niebywały. Polskie nadzieje i polskie żądania są - nie tylko ze względu na niedawny okres "Solidarności", ale też ze względu na wspomnianą wcześniej tradycję demokratyczną - znacznie większe. O tym nade wszystko trzeba byłoby przypomnieć rządzącym, gdy mowa o kompromisie.

Dlatego ci wszyscy - wcale nie tak nieliczni w PFL - których ci światlejsi i pewnie skłonniejsi do jakiegoś porozumiewania /bo gdzież tu jeszcze mówić o porozumieniu?/ z rządzącymi siskoni są uważać za "romantycznych rewizjonistów", powinni zgodnie ze swą tradycją, ze swymi ideowymi korzeniami, domagać się po prostu więcej wolności i uważać za swych sojuszników wszystkich, którzy się również wolności domagają. Obojętnie czy odrzucają zużyte pojęcia lewicy i prawicy; czy jeszcze się nimi usiłują posługiwać.

To, co tu piszę na pewno nie wzbudzi przychylności tych, ostatnio nagle rozmnożonych i nagle odważniejszych - jak to zawsze na każdym politycznym zakręcie - partyjnych i przypartyjnych "liberałów"; rozkwitają przecież na pogrudniowej czerwonej pustyni pod ożywczym deszczem gorbaczowskiej "pieriestrojki", a ja - zamiast chuchać i dmuchać - przypominam to, co nas dzieli, choć sam jeszcze niedawno byłem jednym z nich. Nie gryzie się przecież wyciągniętej ręki! Niestety, to już nie ten zakręt, nie te czasy, nie ta Polska, nie ta świadomość. Nie wstępuje się dwa razy do tej samej rzeki. Maskowanie głębokiej przepaści między komunizmem a lewicą może służyć tylko fasadowej fikcji; takiej samej jak "lewicowość" warszawskiej "Polityki" albo - pozał się Boże - "Krakowskiej Kuźnicy" i usychającego w niej beznadziejnie rzekomo "organu lewicy" miesięcznika "Zdanie". Trzeba bez złudzeń i do końca powiedzieć sobie o tym, co nas dzieli, aby ewentualnie zawrzeć kompromis w imię umożliwienia realizacji uzgodnionych celów i wartości, na przykład przybliżających wolność reform. Inaczej "romantyczni rewizjoniści" okazały się tylko kolejnymi "popuczkami" wartymi co najwyżej poklepania po ramieniu przez lepiej wiedzających "realistów", użytecznymi tylko o tyle, o ile można ich chwilowo przywołać dla wsparcia oligarchii siabnącej w czasach, gdy "jak trwoga to do Boga". Ci zaś, którzy uważają się za "liberałów" w obozie dziś w Polsce rządzącym, niech też spróbują przypomnieć sobie jakich wartości bronią, za czym są i o co im chodzi, prócz pozostawiania w światłach politycznej sceny? Bogata tradycja polityczna związana z samym pojęciem "liberalizmu" mogłaby być im w tym pomocna. Ale ja nie przeprowadzę za nich tego niezbędnego rachunku sumienia.

Jestem oczywiście głęboko wdzięczny im wszystkim za te - sformułowane coraz częściej mimo czujności cenzora i politycznego nadzorca - uśmiechy, obietnice, a nawet zaproszenia. Już sama pamięć jest kluczem do sumienia. Dziękuję Toeplitzowi i Kleerowi z "Polityki", dziękuję prof. Kozakiewiczowi, który wcześniej na łamach "Życia Warszawy" przypomniał tę oczywistą prawdę, że cenzura to złowrogi i absurdalny anachronizm. Dziękuję wszystkim... Trzeba życzliwie i ze zrozumieniem przyjąć nawet takie zaproszenie do dialogu, które byłoby sformułowane w języku partyjnej nowomowy i trzeba rozumieć, że nawet reformy osłaniane skompromitowanym do cna panczerem ideologicznych sloganów mogą przybliżać wolnościowy cel. Ale odpowiedzi na te zaproszenia i głosy w dialogu - którzy się jeszcze nawet nie zaczęli - musimy sformułować we własnym języku.

Nie wiem czy kiedykolwiek dojdzie w Polsce Jaruzelskiej do porozumiewania, a potem porozumienia i jakiegoś kompromisu wzajemnych ustępstw. Jak powiedziałem, jestem sceptykiem... Raczej dochodzi do cichego ustępowania pod presją, do przejmowania niektórych dążeń i postulatów opozycji przy potępieniu jej samej. Dialog zaś ma - i pewnie będzie miał dalej - formę taką, jak niniejszy, drukowany w podziemiu /a więc dostępny tylko wąskiemu kręgowi/ tekst i z drugiej strony, jak pokrętne i zamaskowane /a więc też półjawne/ uśmiechy i obietnice autorów "Polityki". Dialog okaleczony, od początku zmarniały i bez szerszych perspektyw, jak wszystko w tej Polsce Jaruzelskiej...

Tym bardziej jednak musimy głośno i bez lęku mówić kim jesteśmy i jakich wartości broniemy.

JERZY SURDYKOWSKI

RYSZARD HOLZER

Masło, kubek...

masło, prawie białe w porcelanie,
fajansowy kubek z utraconym uchem
- w kwiatki, szerszy u spodu, jakich się dziś nie robi,
jajecznicą, miód, rzodkiewki,
obrus z cerą ukrytą pod niebieskim wazonem,
ptak za szybą, deszcz jakby mniejszy
mowa przejrzysta jak szyba, jak deszcz, jak powietrze

x x x x

na wzgórzu stary koń
czekał przy załadowanym wozie

przechylone lustro wpatrywało się w ziemię

przed gankiem ciemnowłosa kobieta

wrzucając w ogień listy
płakała

plącząc wrzucała w ognisko
martwe listy

RYSZARD HOLZER

NASZE DZIECI,

czyli trzecie pokolenie PRL

- To co wiemy:
1. Dzieciom trzeba mówić prawdę.
 2. Dzieciom trzeba zapewnić bezpieczeństwo.
 3. Dziecku trzeba wpoić poczucie autorytetu, zaufanie do otoczenia.
 4. Dziecko powinno być szczęśliwe.

O co pytamy: Czy możliwe jest w ogóle połączenie elementów wymienionych powyżej. Czy element pierwszy da się połączyć w koniungcji z którymkolwiek z pozostałych?

Rozwiązujemy: Nieustannie, moźolnie od drugiego, trzeciego roku życia dziecka.

Wynik: Nieznany

W podobny sposób rozwiązuje się zadania matematyczne w pierwszych klasach szkół podstawowych. Poza rozwiązywaniem zadań, poza wszelkimi obowiązkami edukacyjnymi, a właściwie przede wszystkim, dziecko w tym wieku zadaje pytania. Im jest młodsze, tym bardziej zadaje je nam, z wiekiem, daj Boże, żeby kolegom, książkom, a nie samemu sobie.

Ale czy my w ogóle możemy dać odpowiedzi zadowalające dziecko? Spróbujmy: Czy kapitan Kloss jest Ruski? To z kim my w końcu biliśmy się, my z nimi, czy razem z Niemcami? Dlaczego śmiejesz się do pani Krysi? Przecież ona jest partyjna, jak Jaruzelski, on też jest partyjny, prawda? Czy jak Ruskie nie wierzą w Boga, to całe pójdą do piekła?

Pytania zalewają nas szeroką falą i staramy się odpowiedzieć na nie. Na ogół, trzeba przyznać, bardzo uczciwie, aczkolwiek zadziwiająco niekonsekwentnie i bez wprawy, zważymy, że z niewielką przerwą, od dwóch stuleci problem jest niezmiernie aktualny.

Podejście rodziców do sprawy edukacji politycznej i społecznej dzieci ze względu na przyjętą przez nie skalę nadrzędnych wartości, możemy podzielić na: 1. kościelne, 2. narodowe, 3. materialne, 4. negatywistyczne, 5. lojalistyczne.

Generalnie zaś trudność polega na tym, że pewien lojalizm z konieczności przenika wszelkie propozycje rozwiązań.

Dwa pierwsze sposoby rozwiązań należy uznać za pokrewne. Posiadają one potężną tradycję w historii wychowania. Polegają na wybraniu silnej, uniwersalnej normy etycznej i podporządkowaniu jej w całości poglądów wpajanych dziecku. W historii Polski, kraju przedmurza, edukację religijną i narodową traktowano zazwyczaj komplementarnie. Na plus metod stosowanych przez Kościół i przynależnych wychowaniu religijnemu zapisać należy połączenie silnych elementów emocjonalnych z intelektualnymi myśli Kościoła. Różni to poważnie ten model wychowania od modelu wychowania narodowego. Ten ostatni bowiem cierpi ostatnio na zatrważający upadek intelektualnej treści, która nigdy nie była zresztą jego mocną stroną. Egzegezowanie "Myśli nowoczesnego Polaka" Dmowskiego w latach osiemdziesiątych, próby odnajdywania porozumienia między Kościołem a reżimem w oparciu o ich polskosć, są w świetle współczesnej wiedzy politologicznej, do której przyjęcia musimy dziecko przygotować, szalenie uproszczone, naiwne. Poza tym nic już chyba nie zmaże z nacjonalizmem, także i polskiego, opozycyjnego, który mianuje się chrześcijańskim i liberalnym, piętna doktryny formowanej przede wszystkim nie "za" pewnymi wartościami, lecz "przeciw" czemuś - w historii nacjonalizmu elementy polemiczne bowiem przerastają znacznie programowe. Także względy konieczności wypracowania krytycznej postawy dziecka w stosunku do ojczyzny, co zrodziło pojęcie konieczności zmian, dyskwalifikuje stawianie wartości narodowych na pierwszym planie. Pierwsze przykazanie przy tym brzmić powinno - starać się nie uczyć oderwanych faktów. Nie doprowadzać do sytuacji, gdy powstały w świadomości dziecka ścisły sojuszek pomiędzy reprezentantami narodowych interesów - Stasiem Tarkowskim i Księżciem Pepi, panem Zagłobą i Jankiem Kosem, przesłonił analizę myśli i motywów. Nacjonalisci głównie bowiem cierpią na brak kontekstu dla swoich rozważań. Tkwí także w nacjonalizmie pewna nieuczciwa konieczność odwoływania się do uczuć irracjonalnych - w niedobrej tego słowa tradycji - kiedy nie formułujemy sądów poza analizą rozumową, lecz wbrew jej oczy-

wistym wskazaniem - w sytuacji, gdy leżąc na dnie we wszelkich dziedzinach udajemy, że położyliśmy się tam tylko na chwilę przykryci bojowym sztandarem, odpoczywając przed kolejnym narodziwym zrywem.

Odwoływanie się do Kościoła, jak już powiedziałem, w sferze intelektualnej i emocjonalnej przynosi zespół wartości nieporównanie wyższych, jednak niepokojąca wydawać się musi, także i samemu Kościołowi w jego najwyższych władzach, tendencja do regulowania za pomocą wskazówek wiary wszelkich poczyniń i ustaleń światopoglądowych w każdym przejawie życia społecznego i politycznego. Już św. Tomasz z Akwinu uznał istnienie w sferze państwa i prawa pewnych dziedzin z punktu widzenia wiary objawionej obywateli i sądzę, że nie powinniśmy powracać do średniowiecznych w tej mierze uniwersalnych funkcji religii. Kościół i jego wpływ na wychowanie dziecka może być także odbierany w kilku wymiarach. Pierwszy, niekwestionowany - to zespół wartości etycznych. Poza jednak rolę ich propagatora, Kościół w dzisiejszej Polsce w wyobrażeniu dzieci odgrywa rolę dysponenta dóbr czysto materialnych, elitarnego stowarzyszenia potrosze zaspokajającego snobistyczne dążenia, ostoi opozycji w sensie nie tylko duchowym. Często są więc przypadki, gdy Kościół jako miejsce, gdzie można obejrzeć video, dostać mandarynki i uczestniczyć w elitarnym spotkaniu towarzyskim, czy imprezie artystycznej, przerastać zaczyna dla młodego człowieka treści duchowe religii / w końcu wiara i przynależność do Kościoła to kwestia łatki, a nie racjonalnej decyzji/, choć najdalej jestem od negowania potrzeby pewnego elitaryzmu w zespole wartości wpajanych dziecku. Sądzę jednak, że akurat Kościół powinien być szkołą egalitaryzmu /jeżeli już zaciążyć taką dychotomię/ opartego na miłości bliźniego. Stąd odezwanie się małolata - "Ja chodzę na religię do Karmelitów, bo tam jest taka religia, że po wszystkie dzieciaki rodzice przyjeżdżają samochodami", kwestionuje sens chodzenia przez niego na religię w ogóle. Jest także zauważalne, że powyższy sposób myślenia oparował także niektórych spośród księży, którzy odczuwają głęboką satysfakcję z przynależności do elity towarzyskiej i opozycyjnej, i lubią się otaczać "dworem" harcnersko-oazowym. Także wpajanie dziecku przekonania o możliwości stawiania pełnego znaku równości pomiędzy pojęciami Kościół i Solidarność prowadzić musi nieuchronnie do rozczarowań. Kościół może być oparciem, ostoją, ale o życiu w jego wymiarze społecznym i politycznym trzeba myśleć poza jego organizacją nie rezygnując w żadnym wypadku z myśli społecznej Kościoła. Któż jej jednak i gdzie, i kogo naucza? Nie mówię już o duszpasterskim szkolnym i akademickim - nawet na Papieskiej Akademii Teologicznej jest zepchnięta na margines.

Wychowywanie dziecka w uznaniu za pierwszoplanowe walorów materialnych jest metodą wychowawczą najpowszechniejszą, choć w większości przypadków nie wprowadzaną świadomie. Każde jednak odezwanie typu: "Weź te angielskie kredki, to ci się nie będzie tak rozmazywać"; ewentualnie: "Psiakrew, że też u nas nie potrafią normalnego suwaka wyprodukować" - potwierdza i ugruntowuje w dziecku to, co ono i tak widzi na co dzień, mianowicie, że angielskie kredki się nie rozmazują a polskie z reguły tak. Z tego tak jasnego i wyraźnego elementu świata, bardzo w innych rejonach dla dziecka niejednoznaczego i skomplikowanego, robi sobie onowyznanie wiary i punkt oparcia. To co zagraniczne, peweksowskie, z paczki stanie się synonimem tego, co dobre, ładne, mądre. Drugi etap polega na powiązaniu tych informacji z tym, że przyczyną powszechnej bylejakości jest fakt, że rzeczy wykonane zostały pod rządami "komuchów". W zasadzie zgadza się to z prawdą, jest tylko coraz trudniej wytłumaczyć dziecku, że robienie dobrych rzeczy jest także kwestią pewnego etosu pracy, o który walczymy. Tylko, że intelektualny, zdaniem wielu, rodowód tej konstrukcji nie posiadającej naturalnych źródeł /co zresztą jest dyskusyjne, szczególnie w świetle encykliki Laborem Exercens Jana Pawła II/ ustępuje bardzo łatwo przed naturalnym dla dzieci pojęciem własności prywatnej, zarówno jako pełnego władztwa nad rzeczami, jak i jako służby społecznej. Dziecko przyjmuje za oczywisty fakt, że "zagraniczne" przedmioty są dobre i dostępne dla wszystkich "zagranicznych" dzieci, bo są produkowane przez prywatnego wytwórcę, którego można zidentyfikować jako "wujka", który rzeczy dziecku daje, bo je lubi. Problemu nie ma tu większego, dzieciak wcześniej odczytuje się apoteozą gospodarki wolnorynkowej, a przekonanie o związku własności z odpowiedzialnością pozostanie. Lecz w tym materialistycznym typie wychowania tkwi zagrożenie bardzo istotne i powszechne. W końcu każde dziecko dzierżące w dłoni francuską lalkę musi się popatrzeć z wyższością na drugie, które ma rodzimą zgrzebaną potworę i poczuć się kimś lepszym wyłącznie dzięki rzeczy posiadanej, nie poprzez własny wysiłek i pracę.

Postawę negatywistyczną dorośli przyjmują zazwyczaj wtedy, gdy mają już wszystkiego dosyć, zgorzknieją, nie mają zaś tyle dobrej woli i uczciwości intelektualnej oraz nawyku myślenia wartościującego i systematyzującego, by w danym zjawisku pracowicie

klasyfikować jego plusy i minusy. O ile jednak dorośli przyzwyczaili się do relatywizmu ocen i rzadko wpadają w krańcowy negatywizm, o tyle dziecko, którego edukacja rozpoczyna się od prawd jednoznacznych "mamusia jest dobra", "tataś ma rację", ocenia znacznie bardziej krańcowo, przyjmuje postawę określaną popularnym określeniem: "Znowu nam Ruskie pogodę spieprzyły". Dziecko bowiem wiadomo, że komuna kłamie, więc - we wszystkim. Z tym, że jeżeli rzeczywistość reżimowa ukaże się kiedyś dziecku od sympatycznej strony, jako organizatorka modelarni czy obozu letniego, wtedy możemy się spokoić z przerezuceniem się dziecka w drugą skrajność - mały ludowy harcerzyk uwierzy, że pogodę spieprzają raczej jego kłamliwi rodzice. I wbrew pozorom jest to szlachetniejsza reakcja, niż uznanie, że rację mają trochę ci, a trochę ci, że są różne wartości i kwestie proporcji. Tak myśleć przed dwudziestką nie ma potrzeby. W końcu pogodzenie akceptacji państwa, jako podmiotu rysującego zęby na jezdnii /aczkolwiek i to nie zawsze z sensem/ z jego zasadniczą negacją da się dziecku wpoić. Ale jak wytłumaczyć, że jeden wujek z drugim kićca się okropnie i nie rozmawiają ze sobą, chociaż każdy z nich ma na ścianie Matkę Boską i portret pana Lecha i dlaczego jedna pani była w kościele a potem na wyborach, a druga ani tu ani tam, i która lepsza? Dziecko dąży do wrysowania zachowania dorosłych w czarno-białe schemat oceny, a my nie możemy mu tego komfortu zapewnić.

Z tego, co opiliśmy powyżej wynika, że trudności wychowawcze nie leżą po stronie dziecka, lecz po stronie naszej zagmatwanej rzeczywistości. Dziecko bowiem dąży do posiadania nadrzędnej normy moralnej wskazującej kierunek postępowania, chce widzieć otoczenie postępujące zgodnie z tą normą, chce być otoczone przez rzeczy dobre i ładne, ma poczucie sprawiedliwości wskazujące mu na konieczność uregulowania stosunków własnościowych i uczynienia z własności nagrody za dobre godpodarowanie i narzędzia ku niemu.

Dziecko prezentuje naturalną ufność do otoczenia. Marzeniem wielu wychowujących dzieci jest użycie tej ufności w celach dyscyplinujących. Uczą więc dzieci poszanowania dla władzy. Założeniem jest, że dziecko ma przede wszystkim słuchać, a dopiero potem nauczyć się lub raczej zostanie mu powiedziane, kogo mianowicie słuchać warto i należy. Czyli: "Rób smarkaczu jak ci pani w szkole mówiła" i na tym samym oddechu: "Popatrz Józek, co oni dziecku w tej szkole wkisają za głupoty".

Wychowanie na własnym przykładzie, preferowane przez wielu jako najbardziej naturalne i właściwa emocjonalnie metoda, komplikuje rodzicom brak zaufania do innych rodziców. Boją się chować dziecko na obraz wszelkich cnót, bo przewidują, że inne dzieci w podobny sposób chowane nie będą. Ich niełatwoi przyda się więc przede wszystkim pewna zdolność obrony i ataku czyli: "W zasadzie powinieneś oddać Jasiowi tę naklejkę, ale on by ci pewnie nie oddał, więc i ty nie musisz" - mówimy uważając, że obowiązek wychowawczy wykonaliśmy dając do zrozumienia, że tego typu zachowanie jest wyjątkowe, nie mieści się w normach. Lecz w ten sposób pokazaliśmy, że normę niekoniecznie trzeba, w celu uzyskania kompromisu, przeciwstawić kontrnormie, lecz można ją traktować instrumentalnie i w obliczu nawet minimalnego zagrożenia rezygnować z niej.

Wydaje się, że padło tu ważne słowo, którym podsumować można nasze rozważania. Zagrożenie. Strach. On znajduje się u początków błędów wychowawczych. Strach, żeby nas nie wzięli za słabszych, biedniejszych, gorzej poinformowanych, ustosunkowanych, mniej opoczytych, bardziej wyrotowych i w ogóle gorszych. Ale pamiętajmy, że nasze dzieci są od nas lepsze i nie musimy im sprzedawać własnego strachu. Nie sposób jednak pominąć racjonalnych korzeni naszego strachu - strachu, który towarzyszy nam od stuleci. Strachu, by dziecko nie wygadało się w szkole, przed kolegami, przed facetem, który zaczepi je na ulicy. Żeby mu nie wpadło do głowy poszanować przed kolegami, jakie to tataś ma znajomości, książki itp. "Nie mów matole, co się dzieje w szkole" i na odwrót. Tego strachu nie możemy uknąć, nauk dla dzieci jak być dyskretnym, pominąć. Całe szczęście dzieci lubią spiski i tajemnice. Najważniejsze, aby nie wychować dziecka na 1/ ponurego konspiratora, który do końca życia nawet zęby będzie mył tajnie, 2/ człowieka przekonanego o wszechwładzy i wszechobecnoci komuny, który nastawiony będzie tylko na przetrwanie, 3/ oddanego sprawie bojowca, dla którego dyktatura Robespierre'a a i czerezwycząjka to niedościgły wzór oczyszczenia szeregów.

Sądzę, że z dokonanego wyżej pobieżnego przeglądu problemów, które napotykają co dnia wychowawcy własnych dzieci, zalatani, ciężko zapracowani, zupełnie nieprzygotowani i pełni dobrej woli, można wysunąć jeden wniosek. Nie stawiać dzieciom siebie za przykład, nie sprzedawać im własnych wyborów. Dlaczego? Każdy przeciw chce dziecku oddać najmniejszą część swojej osobowości, a w niej mieści się dokonany, często w niesłychanym trudzie i wyrzeczeniach, ten jedyny wybór drogi życiowej, który uważamy za słuszny, właściwy i z którego jesteśmy dumni. A jednak przyuczyny, dla których będą

broniła swej tezy są przynajmniej dwie.

Po pierwsze, nasze życiowe problemy są anachroniczne. My myślimy o nich, że są uniwersalne. Tak, są, ale dla Basków, Kurdów, części Irlandczyków, Palestyńczyków i Polaków. Nie chcę uderzać tu w tzw. imponderabilia, ale zawsze murtowało mnie pytanie które i P.T. czytelnikom pod uwagę przedstawiam: czy problemów, które mamy nie pogłębiamy sobie sami myśleniem w kategoriach szczególnych wyborów dla sprawy polskiej. Jeżeli zakładamy, że nikt nas nie rozumie do głębi, ryzykujemy po prostu; że nikt nam też i nie potrafi pomóc. W każdym razie nie ma potrzeby wkładać na dziecko od najmześniejszych lat całego balastu polskich kompleksów. Dla kogoś z zewnątrz - dziecka czy cudzoziemca - są one śmieszne. Po prostu obrzędy tubylców w okresie przesilenia dnia i nocy na wyspach Hula-Gula.

Po drugie, znana jest powszechnie reakcja fizyczna, która polega na tym, że materiał o pewnej elastyczności /może to być z pewnością i dziecko/, kiedy zostanie przeciągnięty zbyt mocno w jedną stronę, gwałtownie odskakuje z równym odchyleniem w przeciwną. To się nazywa "przebiegnięcie pały". Jakiś stary Anglik /czy nie Churchill?/, a starzy Anglicy znają się na tym, czym grozi brak umiaru bodaj najlepiej, powiedział, że kto za młodu nie był socjalistą, ten na starość będzie świnią. Coś w tym jest. Zawsze największą przekorą podważamy ideały naszych rodziców - od stu lat ruch terrorystyczny wszelkiej maści zasilany jest obficie panienkami z bardzo dobrych domów. W świetnej i ważnej książce "Rubikon 81", o grudniowych postawach w środowisku dziennikarzy, przeczytałam z przerażeniem wyznanie jednego pana, że po odejściu od zawodu koncentruje się na edukacji swojego nieletniego potomka w zakresie zakrętów historii, które musiał w swym życiu pokonać. Ciekawe, co chłopakowi z tego w głowie pozostanie. Zdaje się, że jedynie ogólne wrażenie totalnego przynębnienia, z którego oby nie zapragnął otrząsnąć się w radosnych i postępowych szeregach.

I taka jest moja propozycja, co do pedagogiki stanu wyjątkowego, który trwa od kilku, kilkadziesiąt, kilkaset - jak kto liczy - lat, by uczyć dzieci życia na wzorcach najbardziej uniwersalnych i zupełnie właśnie nie wyjątkowych. Niech się uczą z katechizmu i czarownika Oza, Dzieci z Bullerbyn i kapitana Nemo. A na pytanie, co to takiego "Solidarność" - odpowiadać, że to związek nas po to, żebyśmy mieli parlament jak w Anglii, wolność słowa jak w Ameryce, wybory jak w RFN, prawo do kontroli władzy jak w Kanadzie, socjalizm jak w Szwecji, a choćby i drugą Japonię /na przykład/ - a nie po to, aby Polska była Polską. Bo co to właściwie znaczy, poza tym dwuznacznym ciepełkiem w serduszkach, które ten frazes wywołuje i którego osobiście wolałabym swojej dziecinie oszczędzić.

BARBARA BARYŁA

ZA TYCH CO NA MORZU -

reportaż z RFN

- No, za dwa dni trzeba jechać - odpowiedziałem.

Marian mieszka we Frankfurcie. Od 5 lat. Ostatni raz widzieliśmy się w 1981 roku. Był wtedy członkiem Komisji Krajowej, dziennikarzem jednego z solidarnościowych pism na Śląsku, autorem dwóch niezłych tomików wierszy. Właśnie się ożenił, właśnie się spieszył, wypełniony pomysłami jak winem, które lubił pić. Wpadł wcześniej rano, siadł na brzegu łóżka, w kurtce z podniesionym kołnierzem, relacjonował ostatnie nowiny. Nie żegnaliśmy się wylewnie. Chyba w ogóle nie pożegnaliśmy się. Kilka miesięcy później przysłał kartkę. Już stamtąd. Wkrótce dowiedziałem się o rozwodzie.

- Wiesz - powie pięć lat później - mieszkaliśmy w wohnheimie, w dodatku na samym dole, po prostu w suterynach. Głową dotykałeś okratowanej ziemi. Przez te kraty w lecie zagłądały szczury, a ona bała się nawet myszy. Próbowaliśmy je truć, ale to nic nie pomagało. Ilekroć widziałem w jej oczach te szczury, chodziłem na wódkę. Wódka wciąga o wiele bardziej niż rozpecz, poczucie przegranej. Kiedy wysiedliśmy na lotnisko miałem 50 DM i nikt na nas nie czekał. 20 DM zapłaciłem za taksówkę. Nocą słyszeliśmy awantury pijanych Turków. Nie mogłem zrozumieć co mówią, podejrzewałem, że śmieją się ze mnie, że myślą o dupie mojej żony. Ale zanim zacząłem uczyć się języka, zacząłem pić. Piłem dwa lata. Nie mogłem jeść, lekarka przepisała mi banany, bo tuczące i łatwe do przeżłknięcia. Jadłem banany i piłem wódkę, ale którejś nocy obudziłem się i pomyślałem, że to już koniec, no, że umarłem. A to tylko żona odeszła. Powiedziałem sobie: to nic, lepiej że poszła. Słabe było. I piłem dalej. Z Polski przywoziłem Biblię. Piłem wódkę, jadłem banany i czytałem Biblię. Obraz kabotyńca. Trwałem. Zarejestrowali mnie jako bezrobotnego dziennikarza. Nauczyłem się języka. Dostałem mieszkanie. Czasami było tak cicho, że słyszałem wasz śpiew ze SPATIF-u. Pisałem. Zacząłem drukować. Ale były to krótkie przerwy w picie, potem wracałem. Z flaszka w kieszeni, przekonany o wyjątkowości swojego losu. - Redaktor przyszedł - sztydziły pijaczki pod trinkhalą.

Po pierwszej zapaszi trzymałem się dość długo. Po drugiej przestałem pić. Spłaciłem długi, urządziłem mieszkanie. Teraz robię prawo jazdy, kupię samochód. Myślę o założeniu wydawnictwa. Takiego dla Polaków. Nawet nie solidarnościowego, ale takiego normalnego. Jeżeli starczy mi siła, przebiję się.

Do pokoju wchodzi dziewczyna. Marian wstaje:

- To jest Andrzej, mój kolega z Polski - przedstawia. Dziewczyna niechętnie wyciąga rękę. - Dla niego lepiej, żeby już nie było Polski - mówi - ani tu, ani gdziekolwiek indziej.

- Którejś nocy obudziłem się i ona już była. To nie ma nic wspólnego z miłością. Po prostu odłączyła się od wycieczki - śmieje się.

Księgarnia nosi nazwę "Dialog". Jest rzeczywiście dialogiem polsko-czeskim. Część czeska zajmuje zresztą zdecydowanie więcej miejsca. Polska wciśnięta między regały, To i tak wystarczy.

- Oni nie chcą czytać, a co dopiero kupować. Może dlatego, że tutaj właściwie nie ma emigracji politycznej, jest jedynie ekonomiczna,

a i ona - mówiąc delikatnie - budzi poważne zastrzeżenia. - Niech pan pójdzie na polską mszę - proponuje pani Anna - potem wpadnie pan do mnie.

We Frankfurcie nie ma polskiego kościoła. Raz na tydzień Polacy mogą skorzystać z niemieckiego kościoła św. Antoniego. Na długo przed rozpoczęciem mszy na placu przed kościołem zaczynają grupować się ludzie. Podjeżdżają ciężarówki firm transportowych zajmujących się przewozem paczek do Polski. W otwartym bagażniku mercedesa widzę równo poukładane kiełbasy. Przeważają odmiany salami. Nad nimi kartka: "Tylko tu kupisz prawdziwą, polską kiełbasę". Obok facet w jesionce /w prawdziwej jesionce w jodełkę, w takiej, jaką noszą już tylko chłopci na białostoczczyźnie/ oferuje in blanco podpisane przez ambasadę formularze zaproszeń do RFN. Prosty pomysł kserograficzny za 50 DM. W ubiegłym tygodniu były tu podobno dywany.

Ogólnie podkościelną społeczność można podzielić na pięć zasadniczych grup:

Grupa I: Robotnicy - zwykle szukają pracy lub informacji o niej. Młodzi, silni, sprawiający wrażenie zaradnych. Chociaż znalazł się wśród nich 60-letni rolnik spod Kielc. Przyjechał do Niemiec z teczką, w starej pelisie, pamiętając z młodości tylko dwa słowa: Hende hoch i halt. Przez trzy tygodnie wędrował w swojej pelisie ulicami Frankfurtu szukając legendarnego Zachodu. Później słuch o nim zaginął.

Większość z nich posiada jakieś zajęcie, co nie przeszkadza im szukać innego, lepszego. Typowi gastarbeiterzy. Część z nich wróci do Polski. Przywiozą pieniądze, które oczarują sąsiadów, zsuroczą dziewczyny. Będą opowiadać cuda o Zachodzie. Steną się jego pievcami. Po prostu zapomną. Najwyższa lokata w hierarchii podkościelnej społeczności.

Grupa II: Kierownicy - dzielą się na naciągaczy i takich, którzy rzeczywiście próbują coś załatwić. Przedstawicielem pierwszej z nich jest pan Zenek - ojciec dwóch synów, wzorowy mąż. Pomysł, według którego żyje pan Zenek, jest prosty. Niemiec, właściciel małej firmy budowlanej, zleca panu Zenkowi zaangażowanie grupy Polaków. Obydwaj wiedzą, że żaden z zatrudnionych nie ujrzy ani feniga za swoją pracę. Pan Zenek dostaje 500 DM, w zamian za co przez miesiąc zwozi swoich współziomków. Po miesiącu rozkłada ręce w teatralnym geście:

- No cóż, chłopcy, firma splajtowała. Ja też jestem goły.

Najzabawniejsze, że pan Zenek angażuje czasem tych samych - którzy nie mając żadnej alternatywy - zgadzają się.

W ten oto sposób część Polaków pracuje w Niemczech zupełnie bezinteresownie.

Grupa III: Cmy - dostają pracę na kilka dni, czysem tygodni. Zostają na następne licząc, że uda im się zarobić więcej. W tym czasie zwykle tracą pracę, a zarobione pieniądze wydają szukając nowej. Przyjechali na miesiąc, najwyżej dwa. Zostają po kilks lat. Spią w przypadkowych mieszkaniach, tracą orientację gdzie są, kiedy wyjechali. Zschowują się jak cmy, zawisłszy nad ogniem dobrowolnie godzą się na śmierć. Wybawieniem dla nich jest konflikt z policją /z reguły nie posiadają ważnych wiz/ i deportacja do Polski.

Reprezentantem tej grupy jest Marek, który zapomniał, że ma dziecko. Po prostu nie wierzy w to. Na pytanie jak długo chce pozostać w Niemczech spuszcza zaczerwienione oczy.

Grupa IV: Tradycyjna - kurwy i złodzieje. Większości powodzi się dobrze. Ubierają się ekstrawagancko, jeżdżą drogami samochodami. Pracują w swoim zawodzie.

Grupa V: Klienci. Bez przydzisłu. Tworzą osobną grupę silnie zatomizowaną, krążącą pomiędzy grupami w nadziei na zaczepienie się. Zwykle są to nowoprzybyli z Polski. Wbrew pozorom nie jest to grupa tymczasowa. Klientem można zostać do końca.

Jeżeli ktoś sądziłby, że podkościelne życie zamiera z chwilą rozpoczęcia mszy, bardzo by się pomylił. Po prostu do kościoła idą zupełnie inni ludzie.

W ten oto sposób w niedzielne południe odbywają się tutaj dwie, alternatywne ceremonie religijne. Jedni i drudzy odchodzą stąd z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Zapraszamy na kolację - mówi Marysia. Wsiadamy do jej opla i jedziemy za miasto, gdzie kilka lat temu kupili niewielki domek. Świetnie prosperująca firma poligraficzna zapewnia im dostatnie życie.

Eberharda poznała w Poznaniu, budował jakiś hotel. - Potem przyjechaliśmy tutaj - zaczyna opowiadać nie przerywając rozstewianie półmisków. Polska gościnność. Tak się tutaj nie traktuje gości. Czuję narastający głód. Jest i polski spirytus. - Mąż nie mówi po polsku, ale lubi słuchać języka. Mówi, że wtedy zbliża się do Polski, do mnie... 13 grudnia wrócili nas z granicy. Śnieg - kurcze - po kolene, jadę do konsulatu w Koln. Nie wyjdę stąd - informuję jakiegoś ciecie - dopóki nie dostanę zezwolenia na wjazd do Polski. No i dali. Mogłam pojechać bez męża, dzieci, samochodu. Przed granicą wszyscy wysiedli. Zostałam sama. Jak wysiadałam na dworcu w Warszawie to ludzie przerywali rozmowy.

Po raz pierwszy w życiu widziałam czołgi. Mówią, że sowieckie, ale ja myślę, że to jednak byli Polacy. Ludzie sobie życie pomernowali. Cholerny czas. Dla nich i dla nas.

Dzwonię do Jana. Na kilka dni przed wyjazdem do Niemiec spotkał się w teatrze na wieczorne pożegnaniu. Jan optymistyczny, buzujący energią. Po kilkuletnich staraniach otrzymał zgodę na wyjazd. Ma nadzieję, że po pewnym czasie uda mu się pracować w swoim zawodzie - jako socjolog. Zna język. Jest bardzo inteligentny, czytany. Był jedną z ciekawszych osobowości młodoliterackiego życia. Dziennikarz, krytyk, poeta. Kierownik literacki jednego ze znaczących teatrów studenckich. Wyjeżdża. Nie ma wątpliwości.

Słuchawkę podnosi jakaś kobieta mówiąca po niemiecku. Proszę Jana. I pierwsze zaskoczenie, że wcale mu się głos nie zmienił. Ma kłopoty. Co pewien czas kupuje kwiaty i jedzie do szpitala psychiatrycznego. Próbuje tam rozmawiać ze swoją żoną, ale ona mówi tylko o samolocie do Polski. Za kilka tygodni opuszcza Niemcy. Zabiera dziecko.

Jan dorabiasz jako kelner. Szuka kontaktów. Próbuje czytać. Planujemy wspólny wyjazd do Paryża, ale wiem, że nie pojedzie. Że to tylko tak. Aby zachować pozory normalności.

Wychodzę z budki i idę do bistra na przeciw. Zamawiam gin i kawę. Zapalam papierosa. Obok przy stoliku tleniona blondynka podnosi kieliszek - Na zdrowie - mówi. Odwracam głowę - Pani z Polski? Bitte? - pyta nie rozumiejąc. - Nic, nic - czerwienię się. Pospiesznie płacę i wychodzę. W metrze zastanawiam się, czy Jan ma brodę.

- Czy on ma brodę? - powtarzam w myślach, jakby to miało jakieś znaczenie.

Robert tryska humorem, zadowolony. Opowiada o swojej nowej książce, którą zresztą widziałem na Targach. Mówi o płycie, którą łaźnia dzień mają mu przysłać z Australii. Pracuje w radiu. Ale na jego koncerty nie przychodzą już tłumy. Do ponownego spotkania nie dochodzi.

Andrzej wydaje jeden z najbardziej cenionych miesięczników w Niemczech w Polsce prawie nieznanymi. Proszę go o zwrot nie wykorzystanych materiałów. - Tak, tak - mówi z roztergnięciem - gdzieś je mam, o ile sekre-

tarka nie wyrzuciła.

Pytam go, czy zdaje sobie sprawę, że za wysłanie tych artykułów mógłbym mieć kłopoty. - No cóż - odpowiada znudzony.

Jego kolega, zapytany o paryskie wydawnictwa jest jeszcze bardziej szczerzy. - Nie interesuję się tym, tu jest moja działka - wskazuje na leżącą przed nim gazetę.

- Większość wartościowych ludzi wyjechała do USA i Australii - mówi pani Anna - zostali nieudacznicy, albo tacy, którzy trafili w odpowiedni czas i stanęli na nogi. Teraz by im się to już nie udało. To właściwie zamknięte koło. Kraj mogą opuszczać ludzie, którzy są silni, mają siłę przebicia, potrafią walczyć. Tylko tacy mają pewną szansę zrealizowania się. Ale wiemy przecież oboje, że właśnie tacy ludzie nie chcą wyjeżdżać. Może to jest jakieś wytłumaczenie. Ale tak naprawdę nie ma na to odpowiedzi. To jakby pytać człowieka, dlaczego mu się nie udało. To są pytania retoryczne. Pozostaje tylko nieokreślony żal.

Podaję paszport. - Już pan wrócił? - uśmiecha się urzędniczka.
- Już - odpowiadam.

ANDRZEJ WIERNIKOWSKI

LIST

Wąski księżyc rozcina mgłę. Rozcina mi serce. Krew się leje, dom się burzy, czerwony gruz. Uciekaj, teraz właśnie uciekaj, nigdy nie wracaj. To naprawdę ostatnia chwila, bo już ruszyła rzeka. A raczej mętna, trująca fala, która się przelewa dawanym korytem Wisły.

Ojczyzna, słowo studnia, słowo smok o stu głowach. Potrafi się zmieścić w jednej małej ramce a czasem przerasta świat i przesłania Boga. Nasz słodki zarazek, który przetrwał stulecia. Nasza kochana Ojczyzna, na nieszczęście jedyna, matka, której sobie nikt nie wybrał. Wiecznie chora, wiecznie ją coś boli. Pijana po nocy bez pieniędzy. Naga pierś, skrzydła i czerwone, nieprzytomne oczka. Muza poetów, którzy ją raz widzieli. Wróciły same serca

Kochany J!

Nigdy nie będziesz Francuzem. Nie będziesz małym, czarnym dupcyngierkiem, nie będziesz miał ruchliwego języczka do wysysania krewetek. Nie będziesz jadł na sześciu talerzykach jednej pieprzonej sałatki.

Może będziesz kupował żaby, złopał wino, będziesz pluł na Arabów i Murzynów, będziesz jechał w sierpniu autostradą na południe. Będziesz myślał po francusku, jadł po francusku, będziesz robił francuskie kupy, ale nigdy nie będziesz Francuzem.

Straszny przeciągły żal, trucizna nocna. Że już dawno nie jesteś Polakiem, ale nigdy nie będziesz Francuzem.

Zamknij oczy i wyobraź sobie zimę. Dziurawienie świeżego śniegu, który napadał w nocy. Milczenie zimnej ziemi. Pierwszy ślad ludzkiej stopy na drodze do wychodka. Niebo jest lodowato niebieskie, lecisz spowrotem pod pierznię oślepiiony śniegiem. A wieczorem ciemność jest jak miękkie, czarne futro. Pomyśl o tym goniąc po jakimś wielkim huczającym mieście, które nigdy nie zasypia.

Murawy, maciejki, łąny, kosy, białe plebanie, zamiecie, roztopy. Te nasze głuche wsie, zadupia żaświatów, miasteczka bez gazet, bez ulic, bezdroża, rozstaje. Zmarznięte baby w chustkach, w grubych gałganach z zimnymi nosami. Strasznie śmierdzące restauracje z ceratowymi krzesłami.

Wielkie łąpy trzaskające piwem o stół. Włoką się w nocy pijani do chałup, na polach wiosna, lato, jesień, zima.

Srodek Europy, koniec dwudziestego wieku, kury zasypiają na grzędach, w ciemnościach szeleszczą sienniki, diabeł mówi dobranoc.

Niech moje myśli przejdą szybko przez głupotę dojrzewania, niech się nie potkną na żadnej pożyczonej modzie, przeczekają czasy buntu i kult biota, niech wreszcie ostygną nieco w przesadnej pokucie, byle nie za długo, byle znaleźć okno, z którego dobrze widać świat.

Księżyc jest teraz właśnie nad moim oknem. Patrzą jak odpiywa.

Za oknem płynie księżyc i płynie czas. Czas się przesuwą w nieruchomym oknie. Kiedy się przesunie cały? Przecież musi być jakiś port, do którego dopływa czas.

Och, kochana, nie wyobrażaj sobie, że jesteśmy narodem wybranym.

Że polski papież ma dla nas klucze do nieba, że w ogóle Pan Bóg jest Polskiem. Że cierpimy za miliony burżujów, za ich jachty, banany i procenty. Że jesteśmy skazani, wgnani na tę ziemię jak kiedyś biblijne stado, przypadkiem sobie tego nie wyobrażaj. Ale nie wyjeżdżaj stąd na zawsze. Nie wyjeżdżaj, bo nie udźwigniesz duszy. Dusza Polaka to nie żaden lekki balon unoszący się nad głową. To ciężki kamień, który trudno ruszyć

Och, proszę państwa, dusza Polaka to prawdziwa kula u jego nogi.

Kochary J!

Nigdy nie gaś światła. W ciemnościach pamięć grasuje po pokoju, pamięć spod kamie ni, jak mała, zwinna jaszczurka, lekko po schodach w dół, na ulicę, na dworzec, lotnisko, na Kopiec Kościuszki.

Znowu jesteś w brzuchu wieloryba. Znowu przebiegasz znajome ulice, poznajesz odrapane narożniki, szary bar mleczny, czerwony mur, pan już stąd nie wyjedzie, panie J. Proszę nam oddać paszport i te papierki, i niech pan teraz idzie do domu. Tam już nie ma mojego domu, nawet szczotka do zębów została w Paryżu. Więc niech pan wraca do mamy. Niech pan łąpie autobus. Pański bilet. Pański tekturowy, brzydki bilet.

Mieszkałam w Paryżu, mam windę wybitą pluszem, mam telefon z automatyczną sekretarką, mam konto we frankach.

Wracaliśmy po nocy taksówką, była mgła i znalazł każdy zakręt, każdy zakręt aż do samego miasta. Nad Rożnowem płynęła gęsta chmura jak szal, były pierwsze dni listopada. A na tym przystanku leciałaś sikać, a w tej rzece kiedyś zerwało ci majtki, a pod mostem złapałaś rybę. Szukałam po sklepach kremu Gracja, sąsiad miał Franek na nazwisko. Były cztery kubły na śmieci za domem. Na klatce napis "Tu są myszy". Marlboro kosztowały 40 złotych. W łazience stał plastikowy hipopotam. A w telewizji leciał

film o facecie, który znalazł źródło wody na pustyni i założył tam knajpę. Przybijał talerze gwoździami do stołu i spłukiwał wiadrem.

Potem do trzeciej w nocy szyjeś sobie czapkę.

Nie ma już tej czapki. Miałam tam zostać?

Miałeś tam wrócić.

Twój dom umiera bez ciebie.

Twój dom już umarł.

Zostałeś sam na świecie.

Ci tutaj potrafią tylko śmierdzieć na przekór prakom, chodzić na przekór samochodom i myśla, że to wystarczy, żeby być artystą.

Potrafią kupować rysunki Picassa zamiast Mercedesów i myśla, że wystarczy tej miłości dla sztuki.

Wieczorami pogryzają myśląc i popijają mówiąc a ich zapal stygnie, kiedy wjeżdżają lody.

Potrafią łyknąć kieliszek wódki, którego nie potrzebowali.

Kto nie siedzi w środku biota, nie jest błotnym pająkiem.

Mój dziadek był błotnym pająkiem, moja babcia nim była, więc ja też będą tutaj siedzieć w środku biota.

Będę patrzeć jak sobie wrywają kiełbasy i ofiarowują życie.

Jak ryczą na koncertach i w kościołach.

Jak obrażają Boga i jak Bóg ich obraża.

Jak rodzą się dla sprawy, umierają dla sprawy i jak sprawa umiera.

Być Polakiem - to już jest szaleństwo.

Urodzić się i umrzeć w tej samej kałuży.

Ja wiem, że ja w niej zostaną i utoną.

Polska ziemia pochłonie mnie łapczywie, jak wszystkich zasłużonych.

Jestem przecieź zasłużona! Kocham kraj, który wszyscy chcą opuścić.

Przez siedem wieków i siedem pokoleń słyszę jego serce jak dzwon.

JOANNA WINNICKA

MOSKWA, 1986 rok po narodzeniu Chrystusa, 69 rok władzy sowieckiej

W Moskwie - odwilż.¹ Czym kończą się takie odwilże, wiemy doskonale; inna sprawa, że nie zawsze wiemy, kiedy to nastąpi.

Rządy Chruszczowa, w ich najbardziej humorystycznym wymiarze, zyskały sobie miano "odwilży kukurydzianej". Okres Gorbaczowa można by nazwać odwilżą "antyalkoholową".

"Kukurydzianej odwilży" towarzyszyło zwolnienie milionów niewinnych ludzi. "Antyalkoholowa" zaczęła się od przedłużenia wyroku na pobyt w łagrze dla Siergieja Chodo-

¹ /publikowane w: Russkaja Mysl; no 3698, 7 listopada 1986

rowicza. Potem jednak, jak wiadomo, nastąpiła seria zwolnień /.../.

Nowa odwilż nie przyniosła jeszcze wydarzenia na miarę "Jednego dnia Iwana Deni-sowicza". Lecz ma już, jak mi się wydaje, własne epizody w stylu "Nie samym chlebem", choć zliczyć je można na palcach jednej ręki. Za najwcześniejszą i najbardziej znaczą-cą jaskółkę "fali" literackiej uznałbym "Smutny kryminal" W. Astafiewa, drukowany w styczniowym numerze "Oktiabra" /nie "Pożar" W. Rasputina, publikowany wcześniej przez "Nasz Sowremiennik"/.

"Kukurudziana" odwilż przywróciła rosyjskim czytelnikom Michaiła Bułhakowa, obecna przywraca Gumilowa i Nabokowa.

Prasę sowiecką czyta się teraz ze sporym zainteresowaniem. Ogłoszona została jaw-ność i swoboda krytyki. Prawda, w pewnych kwestiach swoboda ова nadal nie istnieje /polityka zagraniczna/, bądź jest minimalna /kierownicza rola partii, przywileje no-menklatury/ - lecz w całym szeregu innych, rzecz można, panuje niemal zupełna wolność. Na przykład niespodziewanie poddana została pod otwartą dyskusję sprawa ochrony pomni-ków naszego dziedzictwa kulturowego, czy ściślej mówiąc, braku takiej ochrony.

Wolność słowa udostępniono nie wszystkim wprawdzie, lecz jednak znalazło się miej-sce dla wielu i to różnych stanowisk. Pogrobowcy stalinizmu wyśławiają w prasie nie tylko żdanowa /co nigdy nie było zakazane/, lecz również Mołotowa /co jednak przez długi czas było niedozwolone/. Niezliczona sfera pochlebców zmarłego L. I. Breżniewa poplesnie się "odnowiła" i pieje dytyramby ku chwale "odnowy". W tymże czasie na łamach prasy sowieckiej toczy się walka idei, nie mających wcześniej możliwości szer-rokiego oddziaływania na opinię publiczną. Dotychczas owe idee istniały jakby załóż-kowo, jako suma poglądów i opcji kilku mniej lub bardziej znanych osób, a przy tym op-cji nie tyle artykułowanych ile raczej pozostających w dymyśle odbiorców. Teraz nato-miast niektóre z nich zostały wypowiedziane otwarcie, bądź zgoła wydrukowane, zyskały aktywnych propagatorów i względnie masowe poparcie. A nawet w pernym stopniu przybra-ły formy organizacyjne.

IDEOLOGIA "NACJONAL-BOLSZEWIZMU"

Jeden z tych nurtów zyskał sobie miano /za sprawą zręcznego pomysłu M. Agurskiego/"narodowego bolszewizmu" /przez analogię do niemieckiego narodowego socjalizmu/. Nac-jonal-bolszewizm powstał jeszcze w latach dwudziestych, jednocześnie w ZSRR i na emi-gracji. Odrodziwszy się na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych funkcjo-nował wszelako raczej w ukryciu. I oto teraz, mniej więcej rok temu, ideologia "nac-jonal-bolszewicka" wypłynęła na stronie gazet i dynamicznie zdobywa wciąż nowych zwolenników. Dzisiejszy "nacjonal-bolszewizm" jest próbą połączenia starego rosyjskie-go imperializmu mocarstwowego z komunizmem, oddawszy drugi w służbę pierwszemu. /Bol-szewizm, od Stalina po Andropowa i Czernienkę, zmusił jednak pierwszy do podporządko-wania się drugiemu/. Wśród propagatorów "nacjonal-bolszewizmu" znaleźli się pisarze Pikul i Prochanow, poeta Jurij Kuzniecowa, literaturoznawca Piotr Palijewski, artysta plastyk Ilja Głazunow i wielu innych.

Aleksander Prochanow, kiepski literat, ojciec sowieckiej powieści egzotycznej jest jednym z głównych ideologów tego kierunku. Karierę zrobił jeszcze za Breżniewa, co w końcu nie dziwi, gdyż Prochanow specjalizuje się w opiewaniu sowieckiej agresji w Af-ganistanie i innych rejonach świata. Wysoko płatnych apologetów afgańskiej awantury wojennej znaleźć by można, niestety, dość sporo i Prochanow nie jest tu wyjątkiem. Lecz jego szczególna pozycja polega na tym, iż niemal zupełnie obywa się bez starych komunistycznych sloganów dla uzasadnienia agresywnej polityki międzynarodowej ZSRR - jego argumentami są bowiem "próżnia", którą wypełnić mogą wrogowie, "przestrzeń ży-ciowa" i szkoła bojowego patriotyzmu dla młodzieży. Spekulując na "wartościach tra-dycyjnych" nieprzestaje też troskać się o prawostawie. Legitymacja partyjna nie przeszkodziła mu we wzięciu udziału w uroczystościach religijnych z okazji trzechsetle-cia śmierci patriarchy Nikona. /Ponoć innym uczestnikom tej "nielegalnej" imprezy, bezpartyjnym, z lekka się dostało - czyżby donos samego Prochanowa?/.

Każdego roku Prochanow wydaje co najmniej jedną powieść wojenno-patriotyczną. Naj-nowszą z nich, "Zapiski batalisty", redaktor magazynu "Moskwa" uznał za kolejny suk-ces epoki "jawności", na równi z "Obroną Łużyna" Nabokowa. Sowiecki Kipling jest jed-nak pisarzem dość nudnym i czytają go przeważnie podobni mu funkcjonariusze partyjni.

W odróżnieniu od Prochanowa walentin Pikul autor niezliczonych, głupawych lecz ekscytujących powieści pseudohistorycznych jest jednym z najpopularniejszych w kraju

autorów. Dążenie do popularności w swoim czasie spowodowało, że Pikul stał się obiektem krytyki ze strony partyjnego ideologa ery breżniewowskiej M. Susiowa, lecz w ostatecznym rachunku ta "nagonka" wyszła mu tylko na korzyść. Obecnie został w pełni zrehabilitowany i znalazł dostęp do telewizji.

Jeszcze jedno "prześladowane" bożyszcze - to siawetry Ilja Głazunow. Tłumy ludzi po raz kolejny /trzeci, jeśli się nie myłę/ obległy moskiewski Maneż tego lata. "Le piej by było, gdyby jak ongiś zaczęto ujeżdżać tam konie" - stwierdził znany reżyser filmów animowanych J. Norsztejn, twórca "Bajki bajek" i "Jeżyka we mgle", odpowiadając na pytanie, co sądzi o tej wystawie /w chwili obecnej przeniesiono ją już do salonu leningradzkiego/.

Obok dawnych przywódców nurtu "nacjonal-bolszewickiego" pojawili się też nowi, jeśli nie wdzowie to - by tak rzec za Nietzschem - "przewodnie barany" /"każda partia prócz pastucha winna też mieć swego przewodniego barana, by w razie czego pastuch nie musiał pełnić roli barana"/. Nieoczekiwaną sławę zaożył profesor Jewgienij Merkuriewicz Paszkin, kompetentny specjalista w dziedzinie teorii poznania, poza tym szczerzy entuzjasta i obrońca zabytków przeszłości. Nie ma oczywiście cienia wątpliwości, że zabytki potrzebują dziś obrony. Jednakże głównego wroga starorosijskiej architektury dostrzegł profesor bynajmniej nie w polityce partii, lecz w międzynarodowym syjonizmie, który uwił sobie gniazdo w Głównym Urzędzie Planowania i Architektury miasta Moskwy /GłAWAPU/. Występując z prelekcjami podczas wieczorów historyczno-patriotycznych Paszkin zbiera rześiste brawa za jeden i ten sam cytat ze słownika Dala: "asfalt - żydowska bryja" /Dal, notabene, mówił o "żydowskiej smole", a poza tym w jego czasach słowo "żyd" nie miało zabarwienia pejoratywnego/. We współczesnym języku rosyjskim neutralny charakter ma słowo "jewrej", "żid" zaś ma wyraźny odcień lekceważąco-pogardliwy - przyp. tłum. "Asfaltowe place wypierające ogrody i cerkwie są zabójcze dla ekologii Moskwy i zdrowia ludu rosyjskiego. Komuż to może przynosić korzyść? Szukajcie odpowiedzi w słowniku Dala!" - prawi profesor Paszkin.

Rywalizuje z nim dziennikarz i fotograf Dmitrij Wasiliew, demaskator żydowskiego spisku przeciw kulturze rosyjskiej. Z trybuny tłumnego zebrania w Patriotycznym Towarzystwie Historyczno-Literackim "Pamięć" Wasiliew śmiało relacjonuje wydaną na Zachodzie książkę o zburzonych i zbeszczeszczonych kościołach w Moskwie i Rosji centralnej - z lekka przekraczając jej treści i oskarżając o wszystko Żyda Kaganowicza /bynajmniej nie Stalina/ oraz masonów z GłAWAPU. Dużo werniej, choć z niedomowieniami streszcza opublikowaną w Paryżu antysemitką pracę "Desyjonizacja" /autor której, niejaki profesor Jemielianow, ponoć zarabiał siekierą swą żoną, bądź też wyładował w domu wariatów - a chyba jedno i drugie/. "Wrogowie oskarżają nas o nacjonalizm, nawet o antysowietyzm. A przecież my popieramy politykę Komitetu Centralnego i M.S. Gorbaczowa, wrogów zaś sami możemy oskarżyć o wszelkiego rodzaju izmy. Niech żyją obrońcy rosyjskiej przeszłości! Precz z burzycielami Moskwy!" - oto wzór deklaracji D. Wasiliewa, niemal dosłownie spisany z taśmy magnetofonowej /nagranej w trakcie posiedzenia towarzystwa "Pamięć"/.

Patriotyczne Towarzystwo Historyczno-Literackie "Pamięć" jest w pewnym sensie załącznikiem struktury organizacyjnej "nacjonal-bolszewizmu" jako ruchu masowego. Nie wiem czy kierownictwo towarzystwa wierzy w spisek żydo-masoński, lecz z pewnością koncepcja takiego spisku przyciąga do towarzystwa rzesze zwolenników. Nawet w Taganrogu spotkałem architekta, "zdzioczonego inteligenta z dziada pradziada" /jak mi go scharakteryzowano/, lokalnego bojownika w walce z masonami - okazało się, że słyszał wiele o towarzystwie "Pamięć", o Jewgieniju Paszkinie, znał z drugiej ręki idee profesora Jemielianowa. W kręgach bliskich towarzystwu "Pamięć" powstał, jak się uważa, ubiegłoroczny bestseller samizdatu, tzw. "Wykład antyalkoholowy", rzekomo autorstwa "nowosybirskiego Żdanowa" /nie ma takiego matematyka w Sybirskim Oddziale Akademii Nauk/.

Sami "nacjonal-bolszewicy" lubią nazywać się "Partią rosyjską". Rozpowszechniony jest pogląd, że magazyn "Nasz Sowremiennik" jest organem "Partii rosyjskiej". Niezupełnie odpowiada to prawdzie. Po pierwsze, w warunkach sowieckich żaden organ prasowy nie może w pełni konsekwentnie wyrażać linii istotnie sprzecznej z oficjalnym stanowiskiem KPZS. A KPZS, póki co, nie jest Partią rosyjską i chyba się nią nie stanie. Skutkiem czego część materiałów "Naszego Sowremiennika" nie posiada własnego oblicza /przywdziałwszy szaty ogólnosowieckiej doktryny komunistycznej/. Po drugie, najlepsze teksty literackie drukowane przez "Nasz Sowremiennik" wyszły spod pióra pisarzy nurtu wiejskiego, nie podzielających bynajmniej antysemitkiej fobii Paszkina czy Głazunowa. Nie wierzę także, by literaci owi popierali zagarnięcie niepotrzebnego wszak ludowi rosyjskiemu Afganistanu, choć oczywiście nie mogą mówić o tym otwarcie. Acz z drugiej strony co poniektorzy spośród nich, ulubieńców "Naszego Sowremiennika",

pozwalają sobie na składanie oświadczeń - mówiąc delikatnie - co najmniej dziwnych. Cieszący się powszechnym szacunkiem Wiktor Astafiew potrafi z całą powagą oskarżać "amerykańskich imperialistów" o zrzucaanie stonki na rosyjskie plantacje ziemniaków. To znów Wasilij Biełow napoważniejsze zagrożenie dla kraju widzi w rosnącej popularności dyskoteek, dżinsów i zachodnich koszulek trykotowych. Walentin Rasputin, niestety, na swój udział w reklamowaniu Ilji Głazunowa w telewizji. Mimo to jednak - nie są oni "nacjonal-bolszewikami".

"Nacjonal-bolszewicy" szczególnie się umocnili w dziale krytyki literackiej "Nasze go Sowiernienika", gdzie ton nadają wyjątkowo marni, lecz agresywni grafomani w rodzaju Stanisława Kuniajewa, znanego z oszczerczych napaści na Okudźawę i Wysockiego.

Za twierdząc "nacjonal-bolszewizmu" uważano dawniej Wszechrosyjskie Towarzystwo Ochrony Zabytków Historii i Kultury /WOOPIK/. Lecz w istocie WOOPIK był zwyczajną sewiecką instytucją, nie bardziej "nacjonal-bolszewicką" czy "masońską", niż jakakolwiek inna - dajmy na to Ministerstwo Kultury, Agroprom czy Komitet Sportu. W radzie najwyższej WOOPIK jest kilku znanych antysemitów, trochę ludzi uczciwych i przyzwoitych, lecz opinię kształtują w pierwszym rzędzie bezideowi biurokraci typu obecnego kierownika, byłego architekta Peterzburcewa. Formalnie do WOOPIK należy niemal pół kraju. Temat "ochrony zabytków" jest jednym z najgoręcej dziś dyskutowanych, co na pierwszy rzut oka wyglądać musi dość osobliwie. W Afganistanie toczy się krwawa wojna, a tu sowieccy pisarze i działacze kultury kłócą się na łamach prasy o zasady restauracji cerkwi. Jednakże dyskusja owa dotyczy w rzeczy samej nie tyle problemów odnowy zabytków, ile rozumienia patriotyzmu: czy należy widzieć w nim solidarność z agresywnymi dążeniami państwa, czy raczej troskę o zachowanie wartości kultury. Znamienne więc, że dla "nacjonal-bolszewików" odbudowa pomników przeszłości jest przede wszystkim środkiem służącym rozkwitowi "ducha narodowego". Wyszuli na przykład pomysły zbudowania na nowo Baszty Sułcharewskiej, zburzonej jeszcze w czasach stalinowskich, choć jasne jest, iż owa budowla nie będzie miała żadnej wartości ani historycznej, ani estetycznej /planują wnieść ją z betonu, na dodatek w nieco innym miejscu, niż stała poprzednio/.

Nurt "nacjonal-bolszewicki" ma niewątpliwie spore możliwości i powiązania z górą. Wśród możliwych protektorów wymienia się partyjnego ideologa Jegora Kuzmicza Ligaczewa, a nawet Raisę Maksimowną Gorbaczową. Prawdę powiedziawszy, nie można tu ustalić nic konkretnego, jako że brak po temu ostatecznych przesłanek. Rosyjski nacjonalizm mógłby nieco podleczyć zgrzybiałą ideologię sowiecką, ale zamienić "patriotyzm sowieckiego" na rosyjski jednak się nie da: zbyt by to było niebezpieczne dla wielonarodowego imperium. Sympatie sympatiami, a polityka polityką.

Liczni działacze "nacjonal-bolszewicy" brali udział w walce przeciwko projektowi zawrócenia biegu rzek syberyjskich i nie wykluczone, że ich powiązania z otoczeniem Gorbaczowa odegrały pewną rolę w pozytywnym rozstrzygnięciu tego problemu. Jeśli tak, należy to policzyć "nacjonal-bolszewikom" w poczet zasług.

NACJONAL-LIBERAŁOWIE

Drugi kierunek społeczny, od wiosny tego roku szeroko prezentujący się w prasie sowieckiej i nie mniej aktywnie grupujący zwolenników, w przeciwieństwie do "nacjonal-bolszewizmu" nie posiada na razie powszechnie przyjętej nazwy. Określa się go jako "lewicowe skrzydło Partii rosyjskiej", "umiarkowanych rusofilów", "partię odrodzenia narodowego". Nazwałbym ich - przez analogię do "nacjonal-bolszewików" - "nacjonal-liberałami".

Powszechnie uznanym przywódcą tego kierunku jest akademik Dmitrij Sergiejewicz Lichaczew. Właśnie do niego, jako do rzeczownika interesów społecznych napływają dziś listy ze wszystkich stron kraju - z powodu zawracania rzek, burzenia świątyń i opiekane go stanu obiektów muzealnych, łajdactw aparaczków do spraw kultury, knebłowania utalentowanych pisarzy. Lichaczew i jego zwolennicy zaczęli od tego, że z powodzeniem przeprowadzili niemal bezprecedensową w skali sowieckiej kampanię petycyjną przeciw projektom zawrócenia rzek syberyjskich. Nie wiadomo, co było głównym powodem wycofania się kierownictwa sowieckiego z tych szaleńczych planów. Lecz sam już fakt, że po raz pierwszy od szeregu lat doszło w kraju do masowej kampanii nie inspirowanej a n e j o d g ó r n i e, niechby nawet w sprawie dość wyjątkowej, posiada ogromne znaczenie społeczne. Następnym celem, który jak widać postawił sobie Lichaczew,

było korzystając ze sprzyjającego momentu doprowadzić do publikacji możliwie największej liczby dzieł literackich uprzednio zakazanych. Władze nie obiecuja na razie "Doktóra Żiwoga", lecz pewien zwrot już nastąpił. Walcząc o pełną rehabilitację Gumilowa czy Pasternaka D.S. Lichaczew zmuszony jest iść na konieczne ustępstwa w stosunku do ideologii. Śmieszne więc musi się wydać i smutne zarazem, że broniąc Gumilowa używa argumentu, iż w dorobku tego poety "nie ma ani jednego wiersza antysowieckiego". Mimo to jednak, po tym jak władze rozgromiły ruch dysydencki, Lichaczew stał się najbardziej znaczącą postacią na horyzoncie życia społecznego w naszym kraju.

Prócz D.S. Lichaczewa do nurtu "nacjonal-liberalnego" zaliczyć by można autorytety literackie - jednego z najlepszych pisarzy nurtu wiejskiego Borysa Możajewa, filozofa Sergieja Awierincewa, nowego redaktora magazynu "Nowyj Mir" Sergieja Zaiygina i innych. W przeciwieństwie do działaczy kierunku "nacjonal-bolszewickiego" kultura nie jest dla tych ludzi środkiem, lecz celem. Wielu z nich, jak przypuszczam, życzyliby sobie w głębi duszy tego, co czasem określa się jako "prawo Rosji do wyjścia ze struktury ZSRR". Uważają, że rosyjski naród i rosyjska kultura są naszym własnym narodem i kulturą, zaś imperium sowieckie jest czymś obcym. Nie jest to nacjonalizm agresywny a raczej zbliżony do obronnego nacjonalizmu Sołżenicyna. Być może Sergiej Zaiygin całkiem poważnie zachwyca się ideami komunizmu lat dwudziestych, przeciwstawiając ich "liberalność" i "szczerłość" niebywałemu okrucieństwu czasów stalinowskich i cynizmowi ery breżniewowskiej. Władza sowiecka jest dlań - a nie jest w tym względzie odosobniony - władzą ojczystą. Zaś dla działaczy nurtu "nacjonal-liberalnego" reżim sowiecki jest smutną rzeczywistością, z którą jednak nie można się nie liczyć. Do tego kierunku przyłączają się też /i są w nim aktywni/ ludzie "żyjący w cieniu art.70 kodeksu karnego", których istotnym fragmentem życia stało się przepisywanie i kolportowanie samizdatu i wydawnictw emigracyjnych.

W pewnym sensie nacjonal-liberalowie są częścią "opozycji społecznej" wewnątrz ustroju sowieckiego, o której pisał Aleksander Zinowiew w "Kontinencie" /w szkicu "Nie wszyscy jesteśmy dysydentami"/. Polityka kulturalna jest zaś tym aspektem ich oporu przeciw panującym porządkom, w ramach którego znów można sobie pozwolić na jawność wystąpień. Zinowiew na chyba rację w tym również, iż nacjonalizm owej opozycji jest "kamufażem i zniekształconą formą czegoś zupełnie innego", choć myślę, że nie zawsze i nie do końca.

Ostatnimi laty zwolennicy nurtu "nacjonal-liberalnego" brali udział w walce o uratowanie miejsc pamięci związanych z życiem B.Pasternaka i K.Czukowskiego - do likwidacji owych miejsc dążyło poprzednie kierownictwo Związku Pisarzy i Funduszu Literackiego /Litfondu/, uważając je za "gniazda dysydenckie" i "centra syjonistyczne". Latem tego roku problem Pieriedielkina udało się postawić na łamach prasy. Utworzenie muzeum w dawnej willi Pasternaka zostało już chyba postanowione, bezpośrednią zaś groźbę zniszczenia "nielegalnego" domu-muzeum K.I.Czukowskiego przynajmniej na jakiś czas zażegnano.

Mówiłem już, że nader popularny stał się temat ochrony zabytków dziedzictwa kulturalnego. Artykuł Olgi Czajkowskiej "Zwrot", dotyczący tragicznego stanu budynku Biblioteki im.Lerina /wraz z kamienicą Paszkowa/, drukowany wiosną bieżącego roku w "Literaturnoj Gazietie" ponad wszelką wątpliwość spowodował efekt porównywalny z wybuchem bomby. W ślad za nim pojawiły się prasowe i telewizyjne wystąpienia Sergieja Zaiygina, reżysera filmowego Nikity Michalkowa, historyków sztuki Sawelija Jamszczikowa i Władimira Jeniszertowa. 13 lipca w gazecie "Moskowskij Komsomolec" zamieszczono duży artykuł A.Klimerko i A.Akowej "W domach naszej pamięci" - przedstawiający "cztery rodzaje niszczenia zabytków kultury", jakie praktykuje się w sowieckiej Moskwie. Należy tylko żałować, że artykuł ów opublikowano w gazecie o niezbyt dużym nakładzie, bowiem jest to chyba najodważniejsze i najuczciwsze wystąpienie poświęcone temu problemowi, jakie pojawiło się w naszej prasie "okresu jawności".

Walka o zabytki przeszłości toczy się nie tylko w prasie. Przez całą wiosnę r.1986 grupa młodych aktywistów WOOPIK, przeważnie studentów Instytutu Baumańskiego, pikietowała bez przerwy, całodobowo, jedną z najstarszych moskiewskich budowli - gmach Szczerbakowych w rejonie byłej Niemieckiej Słobody - dom przy ulicy Bakunińskiej nr 24. W swym postanowieniu obrony budowli studenci nie wahali się ponoć dokonywać nocą drobnych uszkodzeń buldożera, który został tam skierowany celem wyburzenia budynku. Oczywiście Główny dysponuje nie jednym buldożerem, a i takich obiektów na Niemieckiej Słobodzie znalazło się немало. Sprawa jednak zyskała rozgłos, w obronie domu wystąpiła "Sowiecka Kultura", nowy zaś partyjny przywódca Moskwy B.Jelcyń postanowił zmienić decyzję.

Realnych rezultatów w obronie zabytków przeszłości osiągnięto na razie bardzo nie-

wiele. Uratowano kilka moskiewskich kamienic. Zwiększono środki przeznaczone na konserwację. Lecz środków tych i tak nie starcza, główny zaś problem leży w bezsensownych formach ich wykorzystania, wynikających z ogólnych zasad sowieckiej polityki gospodarczej. Przywrócono stare nazwy kilku moskiewskich ulic. I to już właściwie wszystko. Chyba że sam fakt jawnych wystąpień przeciwko tym skandalom uznamy za największy sukces...

Dla działaczy kultury i specjalistów-konserwatorów związanych z nurtem "nacjonal-liberalnym" ważny jest nie tyle fakt orestaurowania kościoła czy pałacu, ile naukowe zasady dochowania wierności historycznemu kształtowi obiektu. Nieprzypadkowo Awierincew podnosi problem "autentyczności" i "smaku autentyczności" - w wywiadzie dla czasopisma "Ogoniok". "Nacjonal-bolszewicy" zabawiają się pomysłem odbudowania Baszty Sucharewskiej, a tymczasem w Moskwie i na Podmoskwiu niszczą dziesiątki i setki oryginalnych zabytków, które można by jeszcze uratować. Pisze o tym w "Architekturdzie" /niskonakiadowy dodatek do "Stroitielnoj Gaziety"/ dziennikarz Igor Niekrasow: w podmoskiewskim mieście Istra architekt tyleż ignoranci, co przebojowy Borys Maichasow który już rok oszpeca Bazylikę Zmartwychwstania monasteru Nowo-Jeruzalemskiego. Popierają Maichasowa nie tylko urzędnicy WOOPIK i obu ministerstw/federacyjnej republiki rosyjskiej i wszechwiązkowego/, lecz także "działacze społeczni" w rodzaju kosmonauty Sewastianowa. Grupa "nacjonal-bolszewików" imponuje oświadczenie Maichasowa, iż w krótkim terminie gotów jest odbudować wszystkie cerkwie na Podmoskwiu, byle by "koryfeusze" konserwacji oraz pracownicy nauki Muzeum Nowo-Jeruzalemskiego i innych nie rzucali mu kłód pod nogi. Na jeden jedyny artykuł Niekrasowa w "Architekturdzie" wypada wszak z pół tuzina panegiryków sławiących "ofiarnego" i "szczerego patriotę" Maichasowa, drukowanych w innych czasopismach: w "Moskowskiej Prawdzie", w sowiecko-bułgarskim magazynie "Družba" itp. A równocześnie, na razie tylko w rozmowach przyjaciele Maichasowa rozpowszechniają wersję, iż restauracji Nowego Jeruzalem sprzeciwiają się "syjoniści", bo niby jedna tylko Jerozolima może być na ziemi...

Ruch "nacjonal-liberalny" nie ma własnego centrum na kształt "nacjonal-bolszewickiego" towarzystwa "Pamięć", jest jednak kilka klubów, powstałych dawniej bądź nieco otwartych, zdominowanych przez zwolenników "nacjonal-liberalizmu". Największym chyba z nich /i jednym z najstarszych/ jest klub "Moskwa" przy Bibliotece Niekrasowa.

Ruch nacjonalistyczny w Rosji nie kończy się na obu opisanych tu formacjach. Za pośrednictwem publikacji emigracyjnych przenikają też idee nacjonalistycznego skrzydła ruchu dysydenckiego, lecz ów nurt ze zrozumiałych względów nie może się ujawnić na powierzchni życia publicznego ZSRR i występuje z otwartą przybitością tylko na emigracji /"Wiestnik RChD", "Russkaja Mysl", "Kontinent"/. Leonid Borodin, pisarz i działacz społeczny, odsiaduje w łagrze kolejny już wyrok.

Istnieje poza tym kierunek nacjonal-prawosławny, czy może "narodowo-chrześcijański", znany dzięki wydawanemu jakiś czas temu podziemnemu czasopismu "Mnogaja leta" "Wiele lat"/. Tym ludziom władze właściwie nie czynią przeszkód, choć i trybuny póki co nie udostępniają. Jak "nacjonal-bolszewicy" również "nacjonal-chrześcijaństwo" nie wyobrażają sobie przyszłości kraju bez władzy sowieckiej, pragną tylko zastąpić ideologię komunistyczną państwem-administracyjnym chrześcijaństwem Wielkiego Inkwizytora.

"KOSMOPOLICI"

Rosja jest krajem wielonarodowym, Moskwa zaś i Leningrad od dawna nie są miastami wyłącznie rosyjskimi. Kierunek liberalno-internacjonalistyczny, czy może "kosmopolityczny" jest dziś szeroko znany na arenie życia społecznego. Reputacja jednak wielu jego przedstawicieli, takich jak Jewgienij Jewtuszenko czy Andriej Wozniesiński mocno już wyblakła. Niektórzy ze swych wystąpień /przykładem - artykuł "Opinia prywatna" w "Litieraturnoj Gazietie"/ Jewtuszenko z pewnością popiera dobrą sprawę, lecz ich rezonans społeczny nie jest duży. Natomiast Arkadij i Borys Strugacy zachowali dawny swój urok, lecz w żadnym stopniu nie są to "przywódcy" w części choćby dorównujący D.S.Lichaczewowi, nie skupiają wokół siebie jakichkolwiek grup społecznych.

Fale "kosmopolityzmu" początek swój znajdują dziś w zgłębiających źródła; brak im wszelkich powiazań z autoritetami lat sześćdziesiątych. W centrum ich nurtu pozostaje młodzieżowy ruch "rockersów", silny szczególnie w Leningradzie. Na czele zaś ruchu, bazą którego są legalne rock-kluby w dużych miastach, stoi popularna grupa "Akwarium", kierowana przez Borysa Grebiesznikowa. "Akwarium", działalność którego jeszcze niedawno była na polu zakazana, teraz reklamowana jest na kartach magazynu "Awrora", zdjęcie podstrzyżonego modnie Grebiesznikowa z gitarą w ręce pojawiło się niedawno w gazecie "Knižnoje Obozrieniye" - w rubryce "Człowiek z książką" /?/. Teatr na Tagan-

ce wystawia spektakl "Serso" z muzyką Grebiesznikowa. Ministerstwo Kultury ZSRR obiecuje wydać płytę "Akwarium" jeszcze w tym roku. Sam Grebiesznikow jest osobowością bardzo wszechstronną - kompozytorem, instrumentalistą i poetą w jednej osobie. Jego wiersze utrzymywane w poetyce absurdu tylko z pozoru są poezją "o niczym". Starczy na przykład wczytać się w te oto wersy, publikowane prawie jednocześnie w "Kontinencie" i sowieckiej "Litieraturnoj Uczōbie":

Oto ujarzmiam miasta.
Wrzaskiem donośnym idioty.
Cieszę się z tej roboty -
Niech pionie, pionie ma gwiazda!

W słowach tej piosenki wielu usłyszało "marsz ograniczonego kontyngentu". A oto apologia samizdatu, z lekką tylko okraszona nonsensem:

Są książki na pokaz -
i książki niczym pistolet.
Usiądź przy oknie -
usłyszysz szum wielkich idei.
Lecz jeśliś młody, wściekłym
wrogiem będzie ci świat.
I to jest następny plus
dla pieśni wyczerpujących ludzi.

I jeszcze ten aforyzm - nie trudno się domyślić, o co w nim chodzi: "Ciemno tu, jak w sztolni, odeszli jednak wszyscy, którzy mogliby coś drażyć..."

"Akwarium" Grebiesznikowa i inne leningradzkie grupy rockowe kontynuują funkcje społeczne, jakie wcześniej wypadło spełniać B.Okudźzawie i W.Wysockiemu, choć niektóre z tych grup odrzucają jakiegokolwiek pokrewieństwo z twórczością bardów z gitarą.

"Idea rosyjska" we wszelkiej postaci jest oczywiście czymś obcym dla B.Grebiesznikowa, a w każdym razie nie stanowi dlań wartości ani pierwszo-, ani drugorzędnej. Twórca sowieckiej muzyki rockowej /jakim bez wątpienia jest Grebiesznikow, obok znaczącego nie mniej utalentowanego, lecz wcześniej debiutującego Andrieja Makarewicza z "Masziny Wriemieni"/ - źródła inspiracji szuka w tradycjach muzycznych Zachodu i filozofii Wschodu. Wszystko to w większym jeszcze stopniu dotyczy bardzo licznych naśladowców, kontynuatorów i młodych gorących fanów zespołu "Akwarium". Grebiesznikow, jeśli się nie myli, ma lat ponad trzydzieści, większość jego entuzjastów jest o 10 - 15 lat młodsza. Ich fascynacja dla wzorców kultury nie narodowej, lecz kosmopolitycznej jest być może zjawiskiem tylko chwilowym. W końcu dla obu poprzednich pokoleń młodzieży również przez czas jakiś Hemingway, Beatlesi i rock-opera "Jesus Christ-Superstar" znały więcej, niż "Sirwo o pułku Igora"...

Wrzesień - październik 1986
Moskwa

B.P.
tłumaczył Lesław Maleszka

A jednak się rusza?*

Ze Związku Radzieckiego nadchodzą ciągle wiadomości dobre lub niezłe, co już samo w sobie jest istotnym novum. Życie społeczne najwyraźniej drga, rysują się pęknięcia, słychać tektoniczne pomruki. A więc jeszcze raz coś w rodzaju nowej chruszczowskiej odwilży? Otóż nie należy się spieszyć z analogiami. To co obserwujemy dzisiaj niesie w sobie, jako istotną część składową, świadomość zmarnowanej szansy czasów Chruszczowa. Tamto doświadczenie, choć urwane, przydało się; zostawiło wyraźny ślad w społecznej psychice. Ćwiczenia odwilżowa młodzież ma już dziś po pięćdziesiątce; znaczna jej część to cyniczni lawiranci i oportuniści, tak jadowicie portretowani w książkach Zinowiewa; inni zgorzkniali i zwątpili w sensowność jakichkolwiek działań; są

* Ale nie u nas, na Wschodzie.

jednak i tacy, którzy podejmują nową próbę z pasją i determinacją.

Jakie to wszystko ma szanse? Póki nie rozpoznamy tego co się dzieje, możliwe są tylko przypuszczenia. A dla rozpoznania należałoby pobyc na miejscu, pochodzić po ulicach, pojeździć taksówkami /taksowkarze są tradycyjnie precezyjnym barometrem nastrojów/, porozmawiać z ludźmi różnych stanów. Na razie wemyt tyle, że główny reformator nie ma najśliskiej pozycji. Dość rozpowszechnione jest w Związku przekonanie, że zagrożona nomenklatura może mu skrócić kark. A co wtedy? Doświadczenie uczy sceptycyzmu: zmiany instytucjonalne mogą być przekreślone; trudniej na szczęście poradzić sobie z ezoteryczną materią ducha; to co przeczytane, przemyślane i przedyskutowane zostaje na dnie zbiorowej pamięci.

Wszystko na razie skłania do ostrożności. Nie wydaje się rozsądny tani optymizm, lansowany wieloma dziennikarskimi piórami Zachodu. Gorbaczowowi wystawia się tam nieograniczony kredyt zaufania, każde jego posunięcie rozstrawiane jest jako niebываły ewenement. Bardzo to chyba lekkomyślne. Z drugiej jednak strony trudno nie stwierdzić, że dzieje się naprawdę dużo i to na wielu obszarach na raz. Ma się wrażenie odkręcania różnych zaworów i wentyli, przesuwania dźwigni, uruchamiania zaklinowanych przekładni. Zapewne sporo pary idzie, według popularnego u nas powiedzenia, w gwizdek; ale bodaj i przenikliwy świst jest ważny, gdy wyrzyna z otępienia.

Rzućmy okiem, choćby pobieżnie. Wypuszczono grupę więźniów sumienia, zapowiedziane są zwolnienia dalsze. Wprowadza się elementarną kodyfikację prawną w sferę, gdzie od kilkudziesięciu lat istniało tylko widzimisię władzy. Demaskowani są, tu i ówdzie, rzecznicy łamania wszelkiej praworządności i to nawet wysokiego szczebla. Deklaruje się tajne wybory do różnych instancji, z wieloma kandydatami. Zjawiają się elementy samorządu gospodarczego. Proponuje się skromną, ale jednak prywatyzację w usługach i rolnictwie. Wygląda w ogóle na to, że - z konieczności! - zamyra reform gospodarczych są poważne. We wszystkich sferach słychać o "jawności", "przypieszeniu" i "przebudowie", przy czym nie są to puste słowa: starzy biurokraci różnych szczebli lecają z posad jak ulegalki z drzewa, całe obwody i republiki stają na dywaniku, ujawniając bezmiar korupcji, oszustwa, gwałtu i wszelkich form złodziejstwa. Dalibóg, jak na niespełna dwa lata, które minęły od intronizacji nowego władcy, to nie jest mało.

Szczególnie wielki ruch panuje w środkach przekazu i kulturze. Wezbrała wielka fala krytycyzmu; odnosi się wrażenie, że wszystko, co zaszło od śmierci Lenina jest dostępne przewartosciowicom. Bardzo ostro i gruntownie zabrano się do zbrodni i terroru czasów stalinowskich, nie stosując już kamufłujących prawdę określeń typu "błądy i wypaczenia". Równie bezwzględnie ocenia się uwiad starczy i stagnację epoki Breżniewa, wskutek których stracono dwadzieścia bezcennych lat. Bez osłonek, w czarnych barwach, przedstawiany jest katastrofalny dzisiejszy stan społeczeństwa; jego ducha degrengolada, atrofia wartości, zdżyczenie, zobojętnienie, zanik bodźców do twórczej pracy. Ujawnia się sprawy przedtem stanowiące zupełne tabu: ogromne zniszczenie środowiska, bandytyzm, narkomanie, fatalną sytuację zdrowotną, przytłaczający łańcuch katastrof, poczynając od Czarnobyla. Mówi się wiele i krytycznie o potrzebie poszanowania języków i kultur pozarosyjskich, wielonarodowych, w czym zawarta jest pośrednio krytyka przeprowadzanej do niedawna pełną parą rusyfikacji. Żąda się przywrócenia dawnych nazw ulicom i miastom /pierwsze kroki zostały już poczynione w Moskwie/, ochrony zabytków i miejsc narodowej pamięci, odbudowy tego co zostało z premedytacją zniszczone, zorganizowania muzeów ku czci wielkich twórców, do niedawna nie dość docenianych /na pierwszy ogień idzie Borys Pasternak; Związek Pisarzy wystąpił z propozycją by stulecie urodzin wielkiego twórcy, rok 1990 został oficjalnie ogłoszony przez UNESCO Rokiem Pasternakowskim/ i odpowiedniej prezentacji ich dorobku. Powracają, wskrzeszeni z niepamięci, mistrzowie słowa: Gumilow, Chodasiewicz, Zamiatin, Nabokov, Georgij Iwanow. Można już podnosić zasługi wielu emigrantów /zwłaszcza jednak nieżyjących; dzisiejsi są ciągle, w znacznej mierze, objekci nakazem przemilczania/. Osłabły zapędy antyrelijijne; wykonuje się nawet spektakularne gesty, w obrębie których mieści się też, bardzo rewerencyjny, wywiad z prymasem Glępem, zamieszczony w tygodniku "Literaturnaja Gazeta".

Skoro o czasopiśmiech mowa; wiele zmieniło się bardzo, a niektóre nie do poznania. Dotyczy to zwłaszcza tygodnika "Ogoniok" /półtora miliona nakładu!/ do niedawna twierdzą najskrajniejszego obskurantyzmu i czarnosecinnego sowietyzmu, który po objęciu redaktorstwa przez ukraińskiego poetę Witalija Korotycza - stał się piśmie żywym i nasyconym duchem spraw nowych. Bardzo ożywiła się, dawniej niemożliwa do oglądania, bo zastępyła w pompatycznej nudzie telewizja. Cytuję za "Tygodnikiem Mazowsze" fragment prywatnego listu z Moskwy: "Wiesz przecież jak odnosiłem się do telewizji i ga-

zet - a teraz dosłownie boję się wyłączyć telewizor. Takie ciekawe audycje!"

Ostro poszli naprzód filmowcy. Ich zeszłoroczny zjazd zmiótł doszczętnie dotychczasowe władze Związku. Władze nowe zaczęły m.in. od powołania komisji, która przeogląda przeszło 300 tzw. "półkowników", tj. filmów odciożonych od 1945 roku na półki. Rewelacją stał się film Gruzina, Tengiza Abuładze "Skrucha", poetycko-baśniowa wizja stalinizmu i beriozowszczyzny równie, jak słychać, silna w demaskacji, co w wyrazie artystycznym. Ogląda teraz "Skruchę" cały Związek; widziałem reporterską migawkę filmową: ludzie wychodzą po seansie zapiakani mówiąc: "Jednak doczekaliśmy się..." Duże wrażenie robią podobno filmy Aleksiego Germana. Filmy o tematyce młodzieżowej bez ostrości ujawniają drastyczne zjawisko formowania samowolnych bojówek /inspiratorami są często zdeprawowani przez niesprawiedliwą wojnę kombatanci z frontu afgańskiego/ terroryzujących otoczenie w imię swoiście pojmanego ładu i porządku.

Literatów zachęcono do podobnego radykalizmu, ale na swoim zjeździe zachowali się znacznie ostrożej. Kierownictwo Związku zmieniono połowicznie; natomiast nowi redaktorzy objęli dwa ważne pisma literackie: "Nowyj Mír" i "Znamia". Również inne miesięczniki bardzo się ożywiły. Efektom jest publikacja tekstów ważnych literacko i społecznie, a do niedawna obecnych tylko w obiegu nieoficjalnym, jak "Nominacja" Aleksandra Beka, "Morze młodości" Andrzeja Piatonowa, wiersze Gumilowa i Chodasiewicza, listy i fragmenty Buhakowa. Znaczny rezonans społeczny uzyskały utwory nowe: "Pożar" Rasputina, "Smutny kryminał" Astafiewa, "Wykop" Białorusina Wasyla Bykaua, "Szafot" Kirgiza Czynygiza Ajtmatowa. Są one różne, ale złączone wspólną konstatacją zniszczeń społecznych i ostrym krytycyzmem wobec przeszłości, przy czym z pokazanych obrazów wynika dobitnie krańc ideologii oficjalnej, zaś droga duchowego wyjścia wiązana jest zazwyczaj ze sferą etyki chrześcijańskiej. "Jezus Chrystus daje mi asumpt do powiedzenia współczesnemu człowiekowi czegoś bardzo ważnego. Dlatego ja, ateista, spotkałem go na swej drodze twórczej" - tak brzmi autokomentarz Czynygiza Ajtmatowa do "Szafotu".

Duże nadzieje budzą publikacje najświeższe, niektóre jeszcze niezakończone. Po trzydziestu latach od wydrukowania głośnej powieści "Nie samym chlebem", nazwisko Włodzimierza Dudincewa znnowo stało się głośne. Jego powieść "Białe stroje", oparta na sensacyjnej intrydze, dzieje się w czasach niszczącego ataku szralatana Trofima Eysenki na radziecką biologię, w roku 1948. Wybitny biolog Timofiejew-Resowski jest bohaterem opowieści-eseju Daniela Granina "Żubr". Losy bohatera składają do niejonej, melancholijnej refleksji; jako Rosjanin i posiadacz radzieckiego paszportu może bez przeszkód - także w czasie wojny!- pracować naukowo w hitlerowskich Niemczech natomiast rodacy zaraz po wkroczeniu pakują go do łagru, z którego tylko przypadkowo wychodzi żywy. Dla Polaków tekst Granina ma jeszcze jeden, dodatkowy walor; po raz pierwszy padają tam jednoznacznie gorzkie i sarkastyczne słowa na temat paktu Ribentrop-Mołotow oraz cytaty z wystąpień tego ostatniego, typu: "Zbrodnia jest prowadzenie wojny w imię zniszczenia hitleryzmu".

Wszystko to składa się na autentyczne przyspieszenie i dość wszechstronną przebudowę. Ale nic nie jest proste. Reformy gospodarcze torują sobie drogę z największym wysiłkiem. Różne oferty władzy grzęzną w marazmie lub nieufności; pobudzane inicjatywy oddolne rozbijają się albo o świadomy opór skostniałych struktur zarządzania, albo o zwykłą dezorientację i brak nawyków. Zagrożone sfery państwowej i partyjnej biurokracji bynajmniej nie dają za wygraną. Nie darmo Gorbaczow stwierdził na kongresie związków zawodowych, że przygotowanie wcześniejszego plenum KC w sprawach kadrowych "...okazało się rzeczą trudną. Dość powiedzieć, że trzykrotnie odkładaliśmy początek plenum, ponieważ nie mogliśmy nań iść nie mając jasności w sprawach zasadniczych". Ten brak "jasności" oznacza przecież, w tłumaczeniu na prostszy język, zasadnicze różnice zdań na najwyższym szczeblu władzy. Również w sferze kultury widać gołym okiem postawy zachowawcze. Mało kto ryzykuje wprowadzenie otwarte wystąpienie przeciw nowym tendencjom, ale ci, których Jewtuszenko nazwał kiedyś sarkastycznie "rycerzami bezwładu", iatwo stroją się w pódzka rzekomych odnowicieli, odbierając - w wielu oczach - sens i wiarygodność programowanym zmianom. Zresztą wprowadzane, z oporami, elementy demokracji nie muszą być wcale uniwersalnym lekarstwem na wszystkie niedomagania; słychać już sygnały, że statystyczna większość tych, którym zależy tylko na własnym spokoju, skutecznie blokuje - w demokratycznym głosowaniu, a jakże! - poczynienia reformatorów.

Choć więc wieści ze Wschodu są istotnie dobre, czasem wręcz rewelacyjne, to efekt prób i poruszeń zwiastowanych przez sąsiedzkie mass-media nie wydaje się bynajmniej przesądony. Wprawdzie oficjalne hasło brzmi: "Nie ma socjalizmu bez demokra-

cji", ale siedem dziesięcioleci tego systemu jest nauką rozbudzających i ciągle tłumaczonych społecznych nadziei. Jak słychać, w masie swojej ludzie są nieufni, nastroszeni, zubożeni, stępieli od długiego umysłowego wywalasania. Przybijają ich do ziemi. Trudności i niewagody życiowe, rozgorycza utrudniają dostęp do alkoholu będącego przedtem poręcznym środkiem relaksu i zapomnienia /Choć trzeba tu zrobić zastrzeżenie; katastrofa alkoholizmu przybrała takie rozmiary, iż wielu rozgoryczonych w głębi duszy przyznaje, że tak dalej być nie mogło.../ 0 stanie duchowym zbiorowości świadczą kaśliwe dźwięki. Oto nie najgłupszy z nich: dlaczego trzeba było złączyć początkowo bardziej drastyczne ograniczenia antyalkoholowe? Bo ludzie otrzeźwiali i żądali cara...

Słychać też pomruki lokalnych burz, w których wyładowują się nabrzmiałe konflikty narodowościowe; Ajma-Ata, niedawno Tadżykistan. Nietrudno przewidzieć, że na tym się nie skończy.

Jak wynika ze skąpych ciągle relacji nieoficjalnych inteligencja twórcza, naukowa i techniczna jest bardziej skora do popierania usiłowań Gorbaczowa. Działła tu, wspomniana na początku, świadomość szansy, która musi być podjęta. Uważa się, że gensek "chce dobrze" i umie się uczyć. Obawa przed jego upadkiem łączy się zazwyczaj z perspektywami krajnie pesymistycznymi: dyktatury typu neostalinowskiego, terroru, a nawet wojny. Także i tu działa jednak hamujaco wpajana przez dziesięciolecia nieufność, dezintegracja społeczna, obezwładnienie: "Mamy sytuację rewolucyjną, ale nie mamy rewolucjonistów" - stwierdził melancholijnie Bułat Okudźawa.

A rzetelny i bardzo zasłużony w latach chruszczowowskiej odwilży, choć u nas mniej znany pisarz Jelizar Malcew skonstatował w podobnym duchu: "Długo i uporczywie a często drastycznie przyuczano nas do norm istnienia nie mających nic wspólnego z ideałami socjalizmu. Oguszczano nas kłamstwem i demagogią, tak, że i dzisiaj jesteśmy przesadnie ostrożni".

Otóż to. Skoro tak wątpi się na miejscu - nie dziwota, że przy obserwacjach z polskiej perspektywy lęgną się również liczne wątpliwości.

A mimo to - taka jest moja propozycja - nie lekceważmy sytuacji i nie opędzajmy się przed poważniejszą refleksją przesadnie ułatwionymi analogiami. TO JUŻ NIE JEST TO SAMO co odwilż chruszczowska. Wszystko idzie szerzej i głębiej. Proponowałbym nie rozszepiać włoś na czworo w kwestiach, chętnie obracanych na językach, a mianowicie: czy Gorbaczow rzeczywiście chce dobrze i czy system jest w ogóle reformowalny. Reformy Gorbaczowa są najwyraźniej nie chciane i ofiarowywane z laski lecz wymuszone. Po breżniewowskiej stagnacji młody wiekiem przywódca musiał pod groźbą katastrofy zaproponować sobie i krajowi coś więcej niż znane hasło poprzednika: "Pozwólcie nam umrzeć spokojnie!" Reformy dyktuje katastrofalna sytuacja gospodarcza, przegrywany wyścig technologiczny i Zachodem, wyzwanie chińskie, spadek międzynarodowego znaczenia ZSRR. Intencje nie mają decydującego znaczenia. Może reformatorowi i gdzie wyłącznie o usprawnienie systemu, by stał się silniejszy i trwalszy. Musi jednak wypuścić z pudełka diabły demokratyzacji, liberalizacji i chrześcijańskiej etyki. I czarcie nasienie pozostanie. Nawet jeśli obecne przemiany zostaną jutro zastopowane - to, co się zakoiysało i nadkruszyło, nigdy nie będzie takie samo, odkładając się trwałym śladem w społecznej świadomości.

Co zaś dotyczy nie- lub reformowalności: odnosi się wrażenie, iż chodzi tym razem o coś bardziej elementarnego niż system: o próbę względnej NORMALNOŚCI istnienia. To, co stanowi w swej istocie wielką anomalię, siedemdziesięcioletnią nieprawidłowość rażąco sprzeczna ze wszystkim, co określa główne tendencje rozwojowe końca dwudziestego wieku - wydaje się instynktownie przeczyć ku normalizacji. W takiej sytuacji generalny sekretarz ukazuje się nie tyle jako sprawca, ile rodzaj medium, zbiegu okoliczności biograficznych, szczególnego przypadku losowego. Dzięki niemu nastąpiło tąpnięcie; statyczny układ drgnął. Ale teraz poruszone warstwy tektoniczne już peizną.

* Przepisuję na gorąco wyłowione z ostatniego numeru gazety "Sowietskaja Kultura" wyznanie inteligenta średniego pokolenia żyjącego świadomie poza czasem: "Teraz coś się ruszyło; mogą być jeszcze zrozumieć. Zaczęło się coś długo oczekiwanego - to o czym szepotaliśmy i marzyliśmy dziesięć-piętnaście lat temu... Ale widać przeczekaliśmy to. Czujemy, że wszystko dzieje się poza nami. Czujemy się starszankami u schyłku... Zaczęłam oglądać telewizję po wieloletniej przerwie. Nadają piosenki, po które kiedyś jeździliśmy do lasów, nie spali nocami. Ale dusza śpi i nic się nie rusza. Tylko raz, kiedy pokazali "Beatlesów"... Słowem: przepaliliśmy się. Nie wiem czy się odrodzimy. Tak to jest..." /"S.K." nr 41/1978/.

Możliwe jest oczywiście zarówno zatrzymanie jak i katastrofalne przyspieszenie. Wyobraźnia podsuwa szereg wariantów, z których bynajmniej nie wszystkie obiecują happy end. Zresztą wyobraźni może nie stracić: rzeczywistość potrafi się rozwijać nieliniarnie i analogie, które przywołujemy mogą spudłować; przyszłość po prostu je obserwować warto nie będzie już sporu, bo dla Polaków pod każdą szerokością geograficzną wrażliwych na los kraju - sprawa sąsiedzka nie może być obojętna. Zażądaliśmy - czy nam się to podoba czy nie - związani. O ile zaś to co się dzieje i co jedni nazywają ewolucją a inni - jak nasz przyjaciel Okudźwa - nawet rewolucją - będzie trwało, to musi przynieść korzyść całemu blokowi. Nie darmo w niektórych jego krajach czuje się już wyraźny niepokój władców i przypływ nadziei rządzonych. Także i u nas deklaruje się oficjalnie szczera radość i poparcie, ale sprawy radzieckie referuje ostrożnie, raczej przy pomocy wyważonych omówień niż bezpośrednich relacji. Widać tu uzasadnioną troskę o to, by rozmach reform i osobowość głównego reformatora nie ukazały się w sposób zbyt efektywny i skłaniający do porównań i refleksji nad naszą własną sytuacją. To ostatnie i tak zresztą ma miejsce; ale raz pierwszy od lat czterdziestu, z krótką przerwą na kulminację czasów chruszczowowskich, Związek Radziecki budzi u nas pozytywne zainteresowanie. I nie jest to raczej zasługa TPPR-u...

Kiedy to piszę zbliża się pierwszy maja, co jednak nie kojarzy mi się tym razem z oficjalną będącą efektem zawiaszenia pięknego, robotniczego święta. Wprost przeciwnie: właśnie od pierwszego wejdzie w Związek w życie ustawa o możliwościach prywatnych działań w pewnych dziedzinach usługowych. Czyż nie zabawna koincydencja? Paru klasyków marksizmu może przewrócić się w grobie, ale też nie darmo najwięźsza odpowiedź radia Jerewan na pytanie: co to jest socjalizm? - brzmi: jest to najdroższy sposób przejścia od kapitalizmu do kapitalizmu.

ANDRZEJ DRAWICZ

ZMIANA NAZWISK

Siedemset pięćdziesiąt tysięcy bułgarskich Turków zmuszonych jest przestać posługiwać się językiem tureckim w miejscach publicznych, przestać nosić tureckie spodnie /szarawary/, przestać używać tureckich nazwisk, praktykować religię muzułmańską i słuchać audycji radiowych nadawanych z Turcji. Opór karany jest aresztem, grzywnami, przesiedleniem lub innymi formami przemocy.

"Amnesty International zaniepokojona jest doniesieniami, że Turcy byli więzieni, przymusowo przesiedleni lub rozmyślnie zabijani podczas kampanii wymuszonej asymilacji etnicznej mniejszości tureckiej w Bułgarii".

Oświadczenie to odbiera ważny raport opublikowany przez Amnesty International w kwietniu 1986 r., który zawiera cenne i szokujące informacje na temat nadużyć praw człowieka, o zasięgu i rodzaju rzadko spotykanych we współczesnej Europie. Oto fragmenty owego raportu:

"Turcy zaczęli osiedlać się w Bułgarii pod koniec XIV w. i pozostają tam bez przerwy od tego czasu. Żyją głównie w ścisłych społecznościach na południu kraju w dolinie rzeki Arda i na północnym wschodzie w regionie Dobruża. Rozproszone grupy żyją także w centralnej i wschodniej Starej Planinie /Góry Bałkańskie/ i w Rodopach.

Aż do niedawnej kampanii asymilacyjnej, etniczni Turcy byli oficjalnie uznawani za "mniejszość narodową"... Jednakże oficjalne uznanie ograniczone jest przez ogólne ograniczenie samej idei mniejszości narodowej w Bułgarii oraz przez konstytucję z roku 1971, która odmiennie niż konstytucja z 1947 r., nie zawiera żadnych specyficznych sformułowań w odniesieniu do mniejszości narodowych, ale posługuje się określeniem "obywatele nie-bułgarskiego pochodzenia". W spisie powszechnym w roku 1965 odnotowano liczbę 746 755 etnicznych Turków, co oznaczało wzrost liczby z roku 1956 o około 90 000. Od tego czasu nie podawano żadnych oficjalnych liczb określających całkowitą ilość członków mniejszości narodowych w Bułgarii. W roku 1975 usunięto z dowodów stwierdzających tożsamość rubrykę dotyczącą narodowości".

TENDENCJE ASYMILACYJNE

W przeszłości Amnesty International otrzymywała wiele raportów na temat wymusza-

nej asymilacji etnicznych Turków, często w połączeniu z raportami o wymuszonej asymilacji bułgarskich mahometan. Etniczni Turcy i bułgarscy mahometanie byli często myleni, rozmyślnie lub nie. Raporty stwierdzają, że w wielu przypadkach etniczni Turcy poddani byli podobnym naciskom co bułgarscy mahometanie, szczególnie jeżeli zamieszkiwali te same wsie, w celu zmiany nazwisk muzułmańskich na bułgarskie i, w rezultacie, wyrzeczenia się swojej religii i tożsamości narodowej. Obstawianiem przy religii islamu uważane było przez władze za główny czynnik przeciwdziałający lojalności dla komunistycznego rządu. Było to wyraźnie przedstawione w roku 1977, w artykule zamieszczonym w Filozofska Mislul - oficjalnej publikacji wydanej w Sofii: "Walka z islamskim fanatyzmem w Rodopach i wywodząca się z niego tendencja do alienacji od wszystkich co bułgarskie, nie jest żądaniem subiektywnym, ale obiektywną formą walki klasowej i ideologicznej i odbiciem obiektywnego historycznego prawa konsolidacji zislamszowanych Bułgarów w ramach socjalistycznego narodu bułgarskiego. Ateistyczna walka w Rodopach równocześnie zakłada istnienie jak i obejmuje problem przełamania kompleksu etno-politycznego w umysłach, zachowaniu i stylu życia pewnej części ludności Bułgarii i spleciona jest z jej klasowo-partijną, patriotyczną i internacjonalistyczną edukacją. Charakterystyczną cechą walki o ateizm w Rodopach jest nie tylko jej zaangażowanie w walkę z islamem, ale i jej powiązanie z walką o narodowość bułgarską i o rozwój nowej świadomości, sposobu życia, obyczaju i tradycji. Zkłada to oczyszczenie tych wartości z narosłych wpływów islamsko-tureckich". Podczas manewrów wojskowych na początku roku 1984 wieś Dolni Woden w pobliżu Asenowgradu w obwodzie Flowski została, według doniesień, otoczona przez oddziały a mieszkańcy, etniczni Turcy i bułgarscy mahometanie, zostali zmuszeni do zmiany nazwisk.

W latach siedemdziesiątych Amnesty International otrzymywała raporty o więzieniu nauczycieli tureckich za protest przeciwko zamykaniu szkół z językiem tureckim oraz o aresztowaniach znaczących osobistości ze społeczności tureckiej, zwłaszcza pisarzy i poetów, za protesty przeciw asymilacji bułgarskich mahometan. Zdarzały się przypadki, że Turków oskarżano o szpiegostwo, chociaż dostępne informacje wskazywały, że istotnym powodem ich uwięzienia była raczej opozycja wobec oficjalnej polityki w stosunku do etnicznych Turków.

Amnesty International posiada kopię oficjalnego dokumentu z 3 sierpnia 1984 roku, dotyczącego miasta i okręgu Stambolovo, na południe od Haskowa. Dokument zabrania noszenia szarawarów - tradycyjnych spodni tureckich - oraz posługiwania się językiem tureckim na ulicy, w miejscach publicznych i instytucjach. Zarządzenie, podpisane przez burmistrza, stwierdza, że obywatele noszący szarawary lub mówiący po turecku nie będą obsługiwani w sklepach i że tylko bułgarski jest językiem, którym wolno się posługiwać w przedszkolach. W świetle ostatnich oficjalnych stwierdzeń, zaprzeczających istnieniu mniejszości tureckiej w Bułgarii, znamienne jest, że zarządzenie odnosi się do "noszenia spodni przez ludność turecką". Jednak aż do roku 1984, chociaż zdarzały się przypadki wymuszania asymilacji mniejszości tureckiej, które czasem dotyczyły całych wsi, wysiłki te nie były czynione przez władze bułgarskie na skalę całego kraju.

KAMPANIA ZMIANY NAZWISK

Pod koniec roku 1984 władze zainicjowały ogólnokrajową kampanię przymusowej zmiany nazwisk wszystkich etnicznych Turków w Bułgarii. Na podstawie stwierdzeń, że drogi zostały zablokowane na skutek trudnych warunków atmosferycznych, zabroniono obcym obserwatorom i turystom wstępu do regionów zamieszkiwanych przez mniejszość turecką i doniesienia wskazują, że dostęp tam nadal nie jest możliwy.

Po wstępnym okresie całkowitego milczenia na ten temat, który trwał do momentu, kiedy doniesienia o kampanii zaczęły pojawiać się w środkach masowego przekazu poza Bułgarią na początku 1985 r., władze bułgarskie oświadczyły, że etniczni Turcy są w istocie potomkami słowiańskich Bułgarów, którzy zostali przymusowo nawróceni na Islam pod rządami otomańskimi. Władze oświadczyły także, że ci "słowiańscy Bułgarzy" "dobrowolnie i spontanicznie" prosili o nowe bułgarskie nazwiska na znak swojego "odrodzenia w ramach narodu bułgarskiego". Kampanię zmiany nazwisk określono jako "rekonstrukcję nazwisk bułgarskich" i wielokrotnie zaprzeczano użyciu siły.

W rzeczywistości, wieś zamieszkała w większości przez Turków, były otaczane przez policję z psami i oddziałami wojskowe z czołgami, często we wczesnych godzinach rannych. Urzędnicy z nowymi dowodami tożsamości, lub, w innych opisywanych przypadkach, z listami "oficjalnych" nazwisk do wyboru, odwiedzali każdy dom, a mieszkańcy byli zmuszani, w niektórych przypadkach podobno pod groźbą użycia broni, do przyjęcia nowych dowodów i do podpisania "dobrowolnych" podań o nowe nazwisko. W innych przypadkach

mieszkańcy wsi etnicznie tureckich byli zbierani na centralnym placu wsi, gdzie zmuszono ich do przyjęcia nowych dowodów. Aresztowania, zabójstwa, przesiedlenia.

23 grudnia 1984 roku policja z psami i oddziały wojskowe z czolgami otoczyły etnicznie turecką wieś Gorski Izvor w obwodzie Kardżali o godzinie pierwszej w nocy. Następnie urzędniczy przychodzili do każdego domu z nowymi dowodami wyrobionymi na nowe bułgarskie nazwiska /na przykład Jusuf Bilalow otrzymał nazwisko Jcsif Angelow, a Berhiye Mestanowa na Borislawa Mladenowa/. Trzech mężczyzn aresztowano za odmowę przyjęcia nowych dowodów. Byli to Aptula Mustafaow Yemerow, budowniczy, lat 44, żonaty, troje dzieci; Myumyun-Hasanow Tasimow, kierowa cieżarówki, lat 26, żonaty, dwoje dzieci i Hasan Tasimow, robotnik leśny, lat 50, żonaty, siedmioro dzieci. Czwarty mężczyzna Hasan Dżemilow Durakow, budowniczy, lat 32, żonaty, posiadający dwoje dzieci, został aresztowany następnego dnia, jak twierdzi raport, z tego samego powodu.

W innych przypadkach Turcy, którzy usiłowali protestować w sposób spokojny przeciwko tej kampanii, zostali aresztowani i uwięzieni. Na przykład Rasim Reżebow, Salim Salimow i Ismet Abdulow zostali postawieni przed sądem na początku roku 1985, wraz z dwoma młodymi kobietami, Hasine Mustafaową i Ferdiye Saliową, w sądzie okręgowym w Kardżali, po tym jak usiłowali zorganizować manifestację na znak protestu przeciwko kampanii. Amnesty International posiada wykaz ponad 250 Turków aresztowanych i uwięzionych w związku z tym, większość z nich uwięziono wyraźnie za odmowę przyjęcia nowego dowodu tożsamości. W większości przypadków jednakże okoliczności ich aresztowania są jeszcze nie wyjaśnione i, ponieważ Amnesty International otrzymała raporty na temat czynnego oporu Turków, organizacja ta poszukuje dalszych informacji u władz bułgarskich na temat natury zarzutów i ich obecnego statusu prawnego. Jest także wiele doniesień na temat Turków, którzy zostali aresztowani i zatrzymani w tym okresie i uwolnieni dopiero po zaakceptowaniu nowych nazwisk albo dla siebie, albo dla swojej rodziny.

Amnesty International otrzymała wykaz ponad 100 etnicznych Turków podobno zabitych przez siły bezpieczeństwa w czasie trwania kampanii. Niektóre doniesienia mówią o użyciu siły, czasami zakończonym śmiercią, przez siły bezpieczeństwa przeciwko manifestacjom pokojowym. W innych przypadkach Turcy zostali zabici przez siły bezpieczeństwa za odmowę przyjęcia nowych nazwisk, a jeszcze inne doniesienia mówią o czynnym oporze Turków przeciwko kampanii, co prowadziło do starć z policją i oddziałami wojska.

Na podstawie Ustawy o Milicji Ludowej z roku 1976, do której wprowadzono poprawkę 12 sierpnia 1983 r., władze mogą, oprócz innych środków, zastosować bez wyroku sądowego "prewencyjny nakaz administracyjny" obowiązkowego osiedlenia się w innym miejscu na okres od jednego do trzech lat". Nakaz ten można ponawiać, i chociaż nie może on zostać zastosowany wobec osób poniżej 18 roku życia, Amnesty International otrzymała raporty, które wskazują, że przesiedlano całe rodziny, łącznie z małymi dziećmi. Przykładem tego jest przypadek rodziny 65-letniego Hasana Husejnowa Kodżaliewa. Został on aresztowany w grudniu 1984 r. za odmowę przyjęcia swojego nowego nazwiska, lecz zwołano go po dwóch miesiącach. Jednak po powrocie do domu stwierdził, że cała jego najbliższa rodzina, składająca się z żony, syna, synowej i wnuka wyjechała; według doniesienia, zostali oni przymusowo przesiedleni w inny rejon Bułgarii.

Te wewnętrzne zesłania stawiających opór Turków zostały milcząco potwierdzone przez władze bułgarskie. W swojej mowie ogłoszonej 28 marca 1985 r. Stanko Todorow, po kategorycznym stwierdzeniu, że nie będzie żadnej możliwości emigracji do Turcji, powiedział, że wszyscy ci, "którzy tańczą tak, jak im dyktuje propaganda Ankary i jej nacjonalistyczni agenci w Bułgarii" i "którzy nie chcą żyć w swoich rodzinnych miastach i wioskach mogą się wyprowadzić". Dodał, że odpowiednim organom bułgarskim zostały wydane instrukcje dotyczące takich przypadków, aby zapewnić szybkie przeniesienie "nie do Turcji, ale do innych regionów Bułgarii, gdzie ludzie ci będą mogli żyć spokojnie i szczęśliwie".

Nauczanie w szkołach w języku tureckim zostało przerwane w połowie lat siedemdziesiątych. Na 23 sesji Zgromadzenia Generalnego UNESCO, 14 października 1985 r. akademia Błagowest Sendow, odpowiadając na oświadczenie złożone przez członka delegacji tu reckiej, stwierdził, że emigracja do Turcji "obiektywnie wyeliminowała potrzebę nauki w języku /tureckim/, który jest Bułgarom obcy". Jednakże było kilka oficjalnych wydawnictw w języku tureckim, które zlikwidowano podczas kampanii zmiany nazwisk. Na przykład dwujęzyczna publikacja Nowa Świetlina /j.bułgarski/ lub Yeni Asik /j.turecki/ po styczniu 1985 jest osiągalna tylko w języku bułgarskim.

Amnesty International otrzymała doniesienia, że Turcy, którzy nie zmienili "dobrowolnie" swoich nazwisk nie mogą pracować w przedsiębiorstwach państwowych i organizacja ta posiada kopię dokumentu, który potwierdza te doniesienia.

Są także liczne doniesienia z terenu całego kraju, że każdy, kto mówi po turecku w miejscu publicznym podlega grzywnie w wysokości 5 lewa. Inne raporty stwierdzają,

że ponieważ Turcy słuchali audycji radiowych nadawanych z Turcji, zabroniono im posiadać w domach odbiorniki radiowe.

Tylko kilku dziennikarzy wpuszczono na tereny, gdzie mieszkają etniczni Turcy i to tylko pod oficjalnym nadzorem. Trzech zagranicznych dziennikarzy wydalono z Bułgarii na początku lutego 1985 r. za usiłowanie dostania się na objęte ograniczeniami tereny bez zezwolenia, a w marcu odmówiono wjazdu do Bułgarii dziennikarzowi francuskiemu pod pretekstem "szkodzenia reputacji kraju" poprzez pisanie artykułów na temat kampanii zmiany nazwisk.

W kilku przypadkach, kiedy zagranicznym dziennikarzom udało się zdobyć nagrania wywiadów z Turkami na temat naruszania praw człowieka, władze bułgarskie szybko reagowały nadając wiadomości lub publikując wywiady, w których zainteresowane osoby odwoływały część lub całość swoich poprzednich stwierdzeń. Na przykład 8 maja 1985 r. Turecka Stacja Nadawcza nadała wywiad telewizyjny nagrany w tajemnicy w Budapeszcie z bułgarskim zapaśnikiem Buryamin /jego nowe imię brzmi Binyo/ Maczewem, podczas międzynarodowego turnieju, w którym brał on udział. Maczew, najwyraźniej nieświadomy tego, że był potajemnie filmowany, opisał w jaki sposób on i jego rodzina zostali zmuszeni do zmiany imion i twierdził, że Turcy, włącznie z małymi dziećmi, byli zabijani podczas tej kampanii przez siły bezpieczeństwa. Jednak 22 maja ETA - oficjalna bułgarska agencja informacyjna - wydała oświadczenie, że wywiad z Maczewem został sfałszowany, a także stwierdziła, że w liście do ETA napisał on, że powtarzał jedynie plotki, które usłyszał w Wolnej Europie.

Z drugiej strony, w niektórych przypadkach prasa zagraniczna i stowarzyszenia emigracyjne Turków z Bułgarii mieszkających obecnie w Turcji w sposób nieuzasadniony donosiły o śmierci wielu osób, które w czasie konferencji prasowych zwoływanych przez władze bułgarskie, z udziałem rzekomych ofiar, zaprzeczają podobnym twierdzeniom. Jednak niektóre z oficjalnych reakcji zostały z kolei zakwestionowane. Jeden taki przypadek dotyczy Imama z Podaywa pod Razgradem, na północnym wschodzie kraju. Turecka gazeta Milliyet opublikowała artykuł stwierdzający, że Imam Enbiya Cmerow Mahmudow został zabity przez siły bezpieczeństwa 28 lub 29 stycznia 1985 r. Bułgarskie wydawnictwo Nowa Swetlina 11 czerwca 1985 r. opublikowało artykuł mający na celu zaprzeczenie temu stwierdzeniu wraz ze zdjęciem człowieka nazwiskiem Biser Albenow, który twierdził, że był on Imamem w miejscowości Podaywa od 15 lub 20 lat i zaprzeczał, aby jakiegokolwiek naruszenia praw człowieka zdarzyły się w związku z kampanią zmiany nazwisk. Amnesty International została później poinformowana przez krewnego Enbiya-Mahmudowa, który również mieszkał w Podaywa przed emigracją do Turcji, że człowiek na fotografii nazwiskiem Biser Albenow nie był Imamem w tej miejscowości, ale jej mieszkańcem, którego nazwisko przed kampanią zmiany nazwisk brzmiało Basri Ahmedow Mollahmedow.

Władze bułgarskie nie wydawały żadnych oficjalnych oświadczeń na temat kampanii aż do czasu, kiedy w prasie zagranicznej zaczęły ukazywać się doniesienia na jej temat na początku 1985 roku. Od tego czasu zaprzeczały one istnieniu w Bułgarii etnicznej mniejszości tureckiej a także temu, jakoby kampania nie miała charakteru dobrowolnego i spontanicznego. Władze twierdziły także, że doniesienia stwierdzające co innego są świadomym usiłowaniem zdyskredytowania socjalistycznej Bułgarii.

Mimo tego, oświadczenia składane przez wiodące osobistości bułgarskie, implícite uznają, że kampania zmiany nazwisk spotkała się z oporem. Na przykład Stojan Stojanow sekretarz okręgowego komitetu partyjnego w Haskowie, oświadczył w publicznym wystąpieniu w roku 1985, że niektórzy Turcy "nie dojrżeli politycznie w wystarczającym stopniu do tego, by zaakceptować nowe nazwiska" i że byli "sporadyczne przykłady antyspołecznych zebrań", a także mówił o ludziach "kultywujących przestarzałe tradycje, takie jak religijne potrzeby, obrzezanie i uczęszczanie do meczetu". Inne osobistości również składały oświadczenia odnoszące się do przymusowych przesiedleń ludzi stawiających opór i do kar za obrzezanie.

REALIZM I ALEGORIA

Na wstępie chciałbym ujawnić kilka ograniczeń jakie wprowadziłem do tematu.¹ Po pierwsze będę mówił o alegorii i realizmie jako dwóch stronach tej samej monety. Realizm i alegoria zarówno mogą być formą przedstawianego świata /np. "rzeczywistość zalegoryzowana" - termin Stefana Chwina/ jak i formą samej literatury. Przy czym nie będę się tutaj zajmował homologicznością tych struktur. Wbrew oczywistościom rozdzielał to o czym od tego jak się mówi nie ze względu na teoretycznoliterackie upodobania, lecz z punktu widzenia powieściowego bohatera. Czynię tak nie tylko dlatego, że to on - bohater najczęściej samopowiada we współczesnej prozie, lecz dlatego, że w przemianie relacji między bohaterem a formą opowiadanego świata i formą wypowiedzi upatruję najważniejsze zmiany w prozie lat ostatnich... I wreszcie ograniczenie trzecie - mówić będę o polskiej prozie ostatniego dziesięciolecia ze szczególnym uwzględnieniem Sierpniowej eszury, bez względu na to, czy teksty pojawiły się w kraju, poza nim, legalnie lub podziemnie. Rzecz jest bowiem o literaturze nie zaś o jej obiegach, o społecznych sensach, nie zaś o literackich sytuacjach. Co więcej, mówić tu będę o literaturze i jej sensach tylko w kontekście pewnej, różnie rozumianej, ich polityczności. Przy tym ograniczeniu kieruję się bliskim mi przekonaniem Andrzeja Kijowskiego, że "ośrodkiem prawdy" literatury polskiej jest "prawda polityczna". Tak patrząc pytać można co najwyżej, jaka z literackich form prawdę ową najpewniej ujawnia, kształtuje i hierarchizuje; czyli jaka forma najlepiej prawdzie tej służy. W ten sposób szkicowo nakreśliłem przestrzeń mego wystąpienia - są to cztery relacje między formą świata - formą wypowiedzi - bohaterem - polityką. Schemat ten być może pozwala opisywać konkretne teksty, ja jednak prouwał będę zobaczący tylko pewne tendencje, pozostawiając sobie na kiedy indziej przyjemność wewnątrztekstowych analiz. Mówiąc to, choć podkreślić, że książki, do których się odwołuję, są niepomierne bogatsze niż zaświadcza to moje odwołania do nich.

Samo związanie alegorii z realizmem wydaje się być faktem szczególnego rodzaju, wykracza poza teorię literatury pokazując pewną mechanikę przechodzenia ideologii w literaturę i na odwrót. Myślę tu o ideologiach upraktycznionych, dwudziestowiecznych, rozumianych jako język formowania się mas społecznych. Język mocno skonwencjonalizowany, budowany z elementów retorycznych, będący wzorem mówienia o rzeczywistości przy pomocy ograniczonego rejestru spójnych alegorii. Alegorii dwójakiego rodzaju - obrazujących absolutne Dobre i absolutne Zło. W tych językach nie ma sfer pośredniczących, nie ma mediacji, nie ma porozumień. Świat alegoryczny tych ideologii jest światem jednorodnym. Tak patrząc pomijam powieściową tradycję alegoryczną - powieści fantystyczne, gotyckie czy utopie powieściowe. Pomijam nie dlatego, że tradycja jest tu nieistotna, lecz dlatego, że i ona została zmagoryzowana przez ideologię. W efekcie ideologie sfunkcjonalizowały pewne literatury w dwu obszarach:

- form społecznych, czyli tego, co ma być przedmiotem literackiej penetracji, i
- form literackich, czyli tego, jak i po co owe rzeczywistości mają być przedstawiane.

Spójność i homologiczność tych form nie była wymysłem jakiegoś żdanowa - była twardą koniecznością totalitarnych ideologii. Dekretowały one bowiem nie tylko i nie przede wszystkim, jakie mają być literackie przedstawienia świata, ale jakim świat jest tak w swych syntezach jak i kształtach elementarnych. Postępując się Gombrowiczem można by powiedzieć, że totalitaryzm stworzył modelową sytuację, w której świat alegoryczny odbijał się w realistycznej literaturze, literatura zaś alegoryczna skutecznie pokazywała to, co realne. Dobrym tego przykładem są "Folwark zwierzęcy" i "Rok 1984" George'a Orwell'a konfrontowane z jego reportażem "Jak umierają biedni" /z 1929 r./ lub autobiograficznym szkicem "Takie były radości" /z 1950 r./. Wszystkie te teksty przedstawiają problem przedmiotowania jednostki przez System - w przypadku reportażu jest to system szpitalny, w przypadku autobiografii - system szkolny. Dwa ostatnie teksty są w moim przekonaniu niepomierne głębszą i subtelniejszą analizą totalitarnej mechaniki niż "Folwark" i "1984". Rzecz jednak nie w tym, lecz w samej literackiej materii przedstawiania - reportaży i autobiografia opowiadają pewną realność, "Folwark" i "1984" rekonstruują ideologiczną alegoryczność. Mówią o światach wymyślonych w dwójaki sposób - przez ideowych doktrynerów i ich literackich naśladowców. I dopiero na tym poziomie - na poziomie wymyślonych znaczeń, bohaterów i gęb, jakie zostały im przypisane, udaje się

¹ Zapis referatu wygłoszonego na sesji Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza poświęconej "dwóm końcom wieku". Warszawa, grudzień 1986

Orwellowi pokazać całą potworność totalitarnego dziania się.

Oczywiście sytuacja Orwella pisarza była nieporównywalna z sytuacjami pisarzy polskich ostatniej dekady. Reportaż, autobiografia i powieściowa utopia polityczna były wszak formami najsilniej reglamentowanymi przez system. Można by rzec, że dwa poziomy literackich wypowiedzi poddane są najsurowszej presji - poziom elementarny, rejestracji faktów, tego co i jak się stało oraz - właśnie poziom alegoryczny, symbolika i emblematyka polityczna, ziemia rodzinna totalitarnych ideologii.

Dobrze tę właściwość totalitaryzmu obrazuje konsekwentnie "zła obecność" pisarstwa Józefa Mackiewicza w PRL. Pisał o tym Jan Zieliński, tu wypada powtórzyć tylko, iż materia "Drogi donikąd", "Kontry" i "Nie trzeba głośno mówić" jest zarówno dokument historyczny i reportaż, ale także konsekwentna konfrontacja ideologiczna. W tym sensie każda z wielkich powieści Mackiewicza jest nieocenuralna podwójnie. Fakt, że reportaż, dokument historyczny, studium polityczne tworzą fascynującą powieściowość o cechach epopeicznych nie może dziwić żadnego czytelnika "Archipelagu Gułag".

Tę dwupoziomową totalitarną awersję dokładniej zobaczyć można dopiero analizując powieściowego bohatera, który "działając się" w jakiejś rzeczywistości elementarnej jednocześnie próbuje i owemu "dzianiu się" i samej rzeczywistości przypisać sensy wyższe. Próbuje zrozumieć siebie w relacji do ogólnie przyjętych wersji rozumienia świata. I czyni to w świecie, w którym wszelkie "wersje ogólne" są zdmonowane przez system. Oficjalna przestrzeń swobody ostatniej dekady ograniczona jest do jednostkowego, prywatnego wnętrza. Świat wolności to przestrzeń autokomunikacji - tu wolne są i formy i wewnątrzsobowe rzeczywistości. Tu rzeczywistość może być absurdalna, groteskowa, może być nierzeczywistością, nadrzeczywistością lub metafizyką nawet. Tu świat jest nieskończoną ilością kombinacji i wyborów - zawsze jednak od "ja" do "ja", od wnętrza do wnętrza, od osoby do osoby. Przy czym w tej, wolnościowej przestrzeni sama kategoria "osoby" okrojona została o całą prawdę "społecznej perspektywy". Człowiek wolny mógł być tylko człowiekiem całkowicie wyizolowanym z niewoli innych.

Dobrze zdawał sobie sprawę z tej właściwości PRLowskiego świata Jan Komolka pisząc "Ucieczkę do nieba" - powieść, jak wiadomo, konsekwentnie podwójną. W części pierwszej opowiada się zwyczajną historię, która na poziomie realistycznym w żaden sposób nie dała się wpisać w sensy ogólne, czyli polityczne właśnie. Koniec "realistycznej" opowieści o wychowanku Plewie jest początkiem alegorycznej spowiedzi Wychowawcy. Spowiedzi o walce Dobra ze Złem, o walce Normy z tym, co podporządkować jej się nie chce. System o działaniu zostaje skonfrontowany ze swoją ideologią, dom poprawczy okazuje się być metaforą Domu - Państwa. Państwo jest wielką Dobrą Rodziną - ludzie w owej wielkiej Rodzinie pełnią tylko dwójakie role, wychowywanych i wychowujących. Nad nimi zaś niepodzielnie panuje Norma - ludzie są tylko jej funkcjonariuszami i narzędziami.

Dramatycznie, bardziej ekspresyjnie ten sam dramat buntu przeciwko Normie pokazał Esden-Tempski w noweli "Człowiek, który udawał psa".

Pisarski sukces Komolki, który najwcześniej dostrzegli cenzorzy zatrzymując powieść na pięć lat w "Czytelnikowskim" składzie, zobaczyć trzeba na tle równieśniczych prób opowiedzenia o spotkaniach z władzą. Spotka nas jednak zawód - w świecie władzy totalnej, w świecie władzy codziennie realizującej swoje uprawnienia, w świecie prerogatyw państwa i delegacji władzy do najniższego szczebla każdej instytucji i każdego urzędu - otóż w takim świecie, gdyby sądzić po jego artefaktach literackich musielibyśmy orzec, że władzy żadnej nie ma. Nie istnieje, wyparowała wraz z dziejowym procesem budowania Nowego Wspaniałego Świata. Świat powieściowy okazuje się być obrazem wiecznego i bezkresnego tu i teraz, z którego wymigrowały groźne Urzędy i jakiegokolwiek daty. Nigdy bodaj - w powojennej historii polskiej literatury rozdziew między Gazetą i Powieścią nie był aż tak wielki. Z perspektywy 1982 roku można by rzec, iż udany bojkot władzy odbył się w prozie polskiej kilka lat wcześniej.

Piszę o władzy, a przecież chodzi o coś więcej - o cały obszar egzystencjalnych realizacji "ja" - obywatelskiego, "ja" - publicznego. Tego nie było. Nie znaczy to jednak, że w prozie końca lat 70 o władzy zapomniano. Sytuowano ją jednak nie w świecie otaczającym bohaterów, lecz poza nim - aura stałego śledzenia w obu powieściach Janusza Andermana, język władzy i język zniwolornych w "Pantokratorze", opiekuńczość normalnych nad bohaterem "Dobranoc" Pastuszka. Władza wyrzucona poza poziom rzeczywistości stawała się elementem powieściowej metafizyki. Była groźna, gdyż nie można jej było opowiedzieć, była wszechobecna, gdyż - o ironio - nigdzie jej nie było. Siabością tej prozy nie był więc ów brak realnego przedstawiania świata polityki - jeżeli uznać, że był to brak centralny tylko - lecz zaniechanie analiz jej metafizycznej natury. Bohaterowie uciekali w codzienność pozbawioną polityki, ale uciekali także przed paraliżującą ich metafizy-

ką systemu. Zło i Dobro, prawda i fałsz, wolność i niewola zostały zredukowane do poziomu izolowanej osoby i świata małych, prywatnych wnętrzy. Analiza metafizyki systemu pojawia się dopiero w "Moim wieku" Aleksandra Wata i w prozie pisanej już z perspektywy stanu wojennego: "Rozpad" Marii Janoty, "ABC" Krzysztofa Czabańskiego i "Brak tchu" Janusza Andermana.

Szczególnie proza Andermana, będąca w pewnym stopniu zamierzonym uzupełnieniem obu wcześniej wydanych powieści, dobrze ilustruje przedmiotowe i podmiotowe przesunięcie między realnością i metafizyką systemu. Więzienna cela, służba bezpieczeństwa, ZOMO - świat obserwowany jest już wydawałoby się pełny, kompletny. Bohater jest więziony, przesłuchiwany, atakowany jako uczestnik ulicznej demonstracji. To co w "Grze na zwłokę" było tajne teraz jest jawne, to, co było nieobecne jest już realne. A mimo to bohater jest tak samo bezsilny, ograniczony, wewnętrznie sparaliżowany. W "Czerwonej Gwieździe Pióhun" aresztowanemu milicjanci nie założą kajdanek, on nie ucieknie, nie ma gdzie. Świat realny jest przecież światem spacyfikowanym, siłę nie można przeciwstawić siły, czołgom - czołgów. W zamian poszerza się przestrzeń metafizyki - zło zostaje nazwane, zlokalizowane i obrażone. W "Braku tchu" Anderman okazuje się moralistą w conradowskim sensie tego słowa. Podobnie jak z drugiej strony granicznego muru Włodzimierz Odojewski - by wspomnieć opowiadanie "Nie mogąc uwierzyć" z 28 nr Pulsu. "Polityczność" nie jest cechą zewnętrzną świata, tego co było dzieje historycznie, lecz istotą moralnej potrzeby osądzania świata przez bohatera. To, że "zło" nazywa "ziem" - przywraca mu podmiotowość moralną, uczuciową, ludzką.

Próba przejścia od realizmu do konfrontacji z alegoryczną istotą systemu nie była jedyną propozycją pisarską końca lat 70. Bardziej naturalną i początkowo wydawało się bardziej skuteczną były propozycje pisarsko odmienne - myślę tu przede wszystkim o "Małej apokalipsie" Tadeusza Konwickiego. Próba opisaną realnej utopii z konieczności odwoływała się do języka, w jakim owa utopia funkcjonowała. Języka alegorii ideologicznych i politycznych, egzystencjalnych i metafizycznych. Świat lawinowo tracił swoją wymierną wartość - wszystko stawało się symbolem, w efekcie i bunt bohatera mógł mieć wymiar wyłącznie symboliczny. To, co z perspektywy przedsierniowej wydawało się i ważne, i poznawczo płodne poniosło pisarską klęskę po grudniu. Apokryf Aleksandra Dalca "Umarli i zmartwychwstali" i "Tunel" Tomasza Minory /NOWA 84/ są przykładami skrajnymi, jak każde, nawet patriotyczne grafomanstwo. Rzecz jednak nie w pojedynczych niepowodzeniach pisarskich, do których zaliczyć trzeba i "Sceny myśliwskie z Dolnego Śląska" Józefa Łozińskiego, i "Okręt" Stanisława Tyma, i "Przechowalnię" Kazimierza Orłowskiego, i "X-666. Operacja Kartagina" Andrzeja Mandaliana i wspomniane już "ABC" Czabańskiego. Rzecz w pewnej niemożności samego sposobu alegorycznego dialogowania ze światem brutalnej siły. Dopóki system trwał w swej alegorycznej codzienności, dopóki ideologiczność była samą esencją rzeczywistości świata, dopóki obraz propagandowy był skuteczną zasłoną dla rzeczywistości niesfasadowej - groteska, absurd i utopia skutecznie kompromitowały iżę-prawdy. Bohater był przecież tylko figurą wymyślonego świata i jako figura mógł się mierzyć z równie nieprawdziwymi systemowymi wymysłami. Po 13 grudnia świat powrócił do normy - doktrynę zastąpiła pałka, propagandę - tajna policja, a alegorie pojawiły się na ulicach, tłum manifestującego 1 maja 1982 na Starym Mieście nie wyjaśnił się obrazem ulatującej do nieba kolejki /jak to czyni Mandalian/. Co więcej - alegorie wprawdzie wyrażają to, co wspólne i w ten sposób stają się znakami rozpoczęcia grup społecznych, nie potrafią jednak objaśnić samej mechaniki społecznego działania się. Nie potrafią wyjaśnić /a chyba i "zobrazować"/ relacji między alegorycznym i realnym, nawet jeżeli te ostatnie są konwencjami tylko.

Jest jeszcze jeden nurt w prozie polskiej tych lat, który wydawałoby się, w najbardziej zwyczajny sposób potrafi opowiedzieć społeczną przemianę.

Przypadek, lub nieznanzy zamiar sprawiły, że rok 1980 i następny przyniosły zaskakująco wiele tekstów krypto lub otwarcie socrealistycznych. "Codzienne sprawy" Ryszarda Wojciecha Kowalskiego, "Dźwign" Bohdana Drozdowskiego, Jana Łysakowskiego "I wszystko w tym jednym życiu", wznowione "Osty" Jana Marii Gigsesa. Fakt, że są to powieści co najwyżej drugorzędne nic tutaj nie zmienia, gdyż socrealizm nigdy nie wydał z siebie nic więcej. Rzecz w czym innym - w pewnym renesansie form wydawało się doszczętnie skompromitowanych. A przecież w końcu lat 70 pisano o "neoprodukcjach" z aprobatą. Marian Stepien wieścił "Zwrot do realizmu", Henryk Markiewicz proponował "Poprawną rekonstrukcję tzw. wymowy ideologicznej dzieła literackiego...", pisano o zaangażowanej poezji /jakby nie wystarczył poprzedni konkurs w Gdańsku/. Wymienione powieści poprzedzały teksty Lothamera, Harnego, Michała Jagieli "Hotel klasy Lux" i Mariana Pilotta "Jednorożec" /by już nie wspominać o Zdzisławie Morawskim "Wyznaniach Alojzego Ko-

twy" lub prozie Jana Kasaka, Gaworskiego i Wawrzaka/. Tekstów było więcej - rzecz jednak nie w ilości, ale w trwałości. Można bowiem wierzyć, że system animuje i nagradza pewne formy z jakichś powodów w nich właśnie upatrując pozaliterackie profity. Co jednak zrobić z tekstami, które gęszszak mniej lub bardziej śmiałą słowną krytyką systemu formę swą czerpią z tego samego wzoru? Z wzoru fragmentaryzacji znaczeń politycznych.

Po sierpniu zwolniony przez cenzurę tom reportaży "Jedno polskie życie" /plon konkursu z 1976 roku/ okazał się zbudowany głównie z delikatnych aluzji. Pozorne problemy, niereczywista rzeczywistość, świat, w którym, jak bez zbędnego skrupowania wyznaje młody "produjący" kierownik budowy - "wszystko zależy od skali przyłożenia". Od skali na jakiej chce się dostrzec wartości - bo jest "wolność" i "wolność" /ta pierwsza wywala bohatera z dominacji żony, ta druga nakazuje mu na partyjnym zebraniu powiedzieć "nie", jest "szczęście" i "szczęście" /w tym pierwszym bohater realizuje się posiadając małego fiata, w tym drugim odkrywa żywioł własnej podmiotowości politycznej/. Odkryciu tej prawdy przeciwstawia się wielki mechanizm półprawd ćwierćproblemów, ułamków własnych sądów. Nawet jednak owe cienie prawd rodzą nagłe odkrycia, że za cyzelowaną w marmurze fasadą kryje się rumowisko. I wtedy dopiero reporterce, którą szkolono na odpowiedzialnego pracownika frontu ideowego, wyrwa się zdanie - "Więc już zaszczyliśmy tak daleko, że to, co nienormalne, uważamy za normalne..." Takie są oczywistości części prozy lat osiemdziesiątych. "Oczywistości" poprzedzone półprawdami, które społecznie bywają zazwyczaj całymi kłamstwami. W efekcie reportaże okazują się być quasi-reportażami - dalekie od realizmu obserwacji zbliżają się do literatury. Nie mogą mówić wprost zaczynają mówić formą, konstrukcją, niedopowiedzeniem, aluzją. Odwołują się do pewnych konwencji, budują znaczenia metaforyczne, wpisują się w strukturę alegorii. Ponieważ świat zła i świat dobra nie mogą być opisane w języku faktów reporter buduje wielopoziomowe obrazy omowne, oboczne, alegoryczne.

Rejestrując ów renesans socrealistycznego pisarstwa zgodzić się muszę z Krzysztofem Wolińskim uznającym w "Nie obrodziło latoś, panie Żyglu" socrealistyczną poetykę za ideologiczną wiedzę władzy komunistycznej. Mówiąc inaczej, socrealizm nie jest przygodą tylko, historycznym epizodem lub drobną omyłką w próbie budowy nowego świata - lecz jest światem tego fundamentem. W tym sensie ani sam temat pracy, ani schematyczno-propagandowa forma literackiej wypowiedzi, ani nawet ton dworskiego entuzjazmu /o którym pisał Andrzej Sinlowski/ nie są faktycznym spoiwem literatury tego typu. Tym czymś jest: akceptacja ograniczonej wolności. "Jedną z właściwości tego systemu - mówił w "Rozterkach Polaków" Andrzej Kijowski - jest to, że wśród wielu wymusza postanawia człowiekowi coś, co mu się wydaje jego wolnym wyborem. Odbarżony wolnością w jednej ograniczonej dziedzinie, człowiek ulega złudzeniu, że innych wolności zrzekł się dobrowolnie. I nie stawia oporu. W praktyce politycznej polega to na ciągłym poszukiwaniu przez aparat władzy punktów stycznych z wrogiem, niechętną czy tylko bierną większością". Przedmioty i formy tych styczności - lub inaczej: co i jak akceptuje się ową ograniczoność - ewoluują wraz z całym systemem. Obszary wolności poszerzają się lub zawężają, niezmienny pozostaje fundament: to jest najlepszy ustrój, najlepsze państwo, najlepsza władza /termiry Jana Strzeleckiego/. Te alegorie wyznaczają dogmatyczną przestrzeń czerni i bieli. Powtórzmy - ideologiczne alegorie nie tylko reglamentują rzeczywistość, wyznaczając to o czym wolno i to jak wolno pisać, one przede wszystkim hierarchizują i mitologizują świat. Przechował to już w 1946 roku Jan Kott pisząc "Mitologię i realizm".

Literaturze niezbędna jest mitologia - zła lub dobra, w pewnym sensie jest to bez znaczenia, chodzi bowiem o to, by sensy literackie odnajdywały się w sensach społecznych. Mitologia jest tutaj elementarnym językiem porozumienia między tekstem i odbiorcą. Jest tak nawet jeżeli autorzy częstokroć cały swój wysiłek skupiają na demontażu pola owych wspólnych ustaleń. Zbyt radykalne literacko kwestionowanie tego, co wspólne kończy się zazwyczaj społecznym ostracyzmem. Zbyt wierne trzymanie się tego obszaru grzeszy literacką oczywistością. Inny jednak proces zachodzi kiedy z jakichś powodów społeczeństwo traci swoją mitologię. Dzieje literatury popaździernikowej dobrze pokazują fenomen utraty mitologii wprawdzie fałszywej, ale dającej gwarancje porzucenia. Nieprzypadkowo po Październiku 56 rodzi się owa hybryda zwana "małym realizmem", o którym Tomasz Burek pisał, iż "nie jest zólony -jako metoda twórcza - do ujęcia głębszych i zarazem podstawowych struktur współczesnej historii; nie jest też w stanie zaproponować żadnego rzeczywistego odkrywczego modelu życia, żadnego pociągającego wzoru działania". Oczywiście te "niemożności" miały swoje źródła poza samą li-

teraturą. Faktem jest jednak, że światopogląd "małego realizmu" został przyjęty i zaakceptowany. Tak silnie wrosł w literaturę polską, że pierwsze literackie reakcje na Sierpień pisane były według tego właśnie wzoru. "Ładny, spokojny wieczór" Ireneusza Iredyńskiego, "Choinka strachu" Janusza Głowackiego czy "Przypadek" Krzysztofa Kieślowskiego był jednocześnie próbą złamania konwencji poprzez budowę świata alternatywnego, to jednak podstawowym problemem dla tych propozycji było opisanie sytuacji wyboru jakiegoś bohatera. Wyboru między Filiztrem i Prometeuszem - by jeszcze raz odwołać się tutaj do "Zamiast powieści" Tomasza Burka. Krytyk pisał jednak o wyborze nieosobowym, pisał o wyborze jakiegoś dokonać musi realizm - jako sposób pisarskiego uczestniczenia w świecie.

I wybór taki się dokonał. Zilustrowały go strajkowe napisy będące powrotem do samej materii społecznego działania się. Zapis strajku gdańskiego opublikowany w specjalnym numerze "Punktu" odbudowuje elementarny poziom rzeczywistości. Faktem jest, że jest to tylko rzeczywistość słowna, ale i ona posiada moc bezwzględnej demistyfikacji PRLowskiej "niereczywistości". W tym sensie najcenniejsze literacko wydają się dwie książki - jedna, z początku lat 70 to "Trenta tre" Ryszarda Schuberta, druga, do dziś nie wydana, a złożona w wydawnictwie w 1981 r., to "Frutti di mare" Czesława Dziekanowskiego. W formalnym sensie obie te powieści są właściwie magnetofonowymi rejestracjami robotniczych rozmów. Schubert pokazuje zniwolenie, Dziekanowski wyzwalanie się - w części pierwszej pisząc o gdańskim, ulicznym buncie roku 1970, w części drugiej - o powstawaniu Wolnych Związków Zawodowych po 1976 roku, w części trzeciej - o strajku sierpniowym. Obaj pisarze relacjonują rodzenie się i umiowanie wspólnoty - Schubert wspólnoty małej, środowiskowej, Dziekanowski wspólnoty wielkiej, społecznej. Obaj też pokazują pewną propolityczność ludzi, którzy działają w świecie stacjonarym. Świat ów, w językowej rejestracji traci swą ideologiczną alegoryczność, nie uzyskuje jednak innej identyfikacji. Słowa mają wprawdzie swoje społeczne podmioty, nie znaczą to jednak, że ludzie odzyskali swoją polityczną samoświadomość. Alegoryczny koniec "Człowieka z żelaza" - pragnę to mocno podkreślić - okazał się prawdziwszy, niż dokumentarne sekwencje strajkowego entuzjazmu. Podobnie metaforycznie można czytać fakt, że znakomity kwartalnik "Zapis" nie odrodził się już po stanie wojennym.

Nie Sierpień bowiem, ale dopiero Grudzień 1981 roku zmusił literaturę polską do powrotu w sferę polityki rozumianej już nie tylko jako konfrontację z władzą, ale jako budowanie wspólnot nowych - związanych nie emblematyką lecz poglądami, związanych nie sytuacyjnym przymusem lub totalitarnym uwikłaniem, lecz politycznym wyborem. Po Grudniu sprawa naistotniejszą staje się odbudowa elementarnego poziomu wspólnoty - poziomu faktów, zdarzeń, osób, zachowań, postaw, ocen i nieodłącznych im wartości. Formą tej odbudowy jest przede wszystkim historyczny dokument. Magnetofonowe zapisy rozmów milicjantów rozpędzających pierwszą i trzeciomajowe demonstracje roku 82 i 83 wraz z zapisami doświadczeń rozpędzanych uczestników obrazują społeczne grupy w dramatycznym akcie bezpośredniej konfrontacji. Świat wraca do naturalnej normy - zwykli, codzienni, niebohaterscy ludzie są przeciwko sobie. Najsilniej ów zwyczajny dramatyzm zwykłej społecznej gry obrazują reportaże z Lubina, w których protestujący tłum masakrowany jest przez anonimowych ojców i braci. Inną formą rejestracji faktów podstawowych, a jednocześnie ilustracją totalitarnej mechaniki, są zapisy - stenogramy sądowych rozpraw po 13 grudnia. Proces Radia "Solidarność", proces Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu "Solidarności" /Nowa 85/, Notatki z dwóch posiedzeń Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego w procesie przeciwko Jackowi Kuroniowi, Adamowi Michnikowi, Zbyszku Romaszewskiemu i Henrykowi Wujcowi /"Wzwanie" nr 8/ - to gotowe scenariusze teatralnych, filmowych lub telewizyjnych spektakli. Ujawniają się wszelkie role - bohaterów i zdrajców, silnych i słabych, ludzi władzy i ludzi oporu, sądowej procedury wreszcie, będącej odwzorowaniem procedury generalnej dla totalitarnej logiki, która przede wszystkim stara się wyrzucić poza społeczną pamięć fakty w to miejsce wstawiając ideologiczne formuły typu "próba obalenia ustroju siłą". Jawny faisz konfrontowany jest z jawną prawdą, instrumentalność z etyką, funkcjonalność z godnością. A jednocześnie stale przeżywamy w świecie najprostszych postaw i uczuć - sądowa opowieść dziewczyny zakochanej w agencie SB /proces MRK/S/ jest bardziej literacka niż wszelkie znane mi świadectwa powieściowe. Podobnie tekst "Trzy rozmowy z Danutą Wałęsą" /"Spectator" nr 3/ będący relacją ze spotkań z konkretnymi funkcjonariuszami Służby Bezpieczeństwa żony interwionowanego przywódcy Związku okazują się alegoryczną opowieścią o matce broniącej rodziny. Stale nieufna, stale kontrolująca się - zarówno przed ludźmi wrogimi jak i bliskimi - broni tego, co podstawowe i najważniejsze. Podobne znaczenie, choć w innej przestrzeni, ma stenogram z "Nadzwyczajnego posiedzenia Senatu Uniwersytetu Gdańskiego" /"Kultura Niezależna" nr 18/, na którym to posie-

dzeniu "zwolniono z funkcji rektora" profesora Taylora. Oto zwykli, porządni ludzie, szantażowani przez będących w znakomitej mniejszości politycznych funkcjonariuszy nauki, demokratycznie ulegają presji systemu. W kilkunastu dniach posiedzeniu powtarza się - rok Referendum i rok wyborów, lata 1946 i 1947. W podtekście całej sprawy czytając historię śmierci Marcina Antonowicza, Grzegorza Przemyska i ks. Jerzego Popiełuszki. Homilie wygłaszane przez ks. Jerzego nieprzypadkowo stają się zresztą podziemnym wydawniczym bestsellerem. Decydują o tym i skala społecznej trwogi, po śmierci kapłana, który konsekwentnie od pierwszych dni stanu wojennego budował wspólnotę prawdy i sam proces toruński /powielony w podziemiu, w prasie katolickiej, państwowej, w radiu i w telewizji/ będący zapisem tej najbardziej skrywanej strony funkcjonowania systemu, jaką jest funkcjonowanie tajnej policji.

Krok kolejny w tym procesie odzyskiwania rzeczywistości i budowania rzeczywistości nowej - także poprzez tworzenie nowych alegorii - to relacje więzienne: Edwarda Palińskiego "Póki żyjemy" /Oficyna "Czas Przyszły", Warszawa 1986/, Jerzego Kropiwnickiego "Zapis protestu" /"Słowo", Warszawa 1986/ i Janiny Jankowskiej "Bez mikrofonu" /Nowa 1986/. Oto bohater będący jednocześnie reprezentantem politycznej wspólnoty sam prowadzi wielką grę z Systemem. Mniej istotne, że jest to gra więzienna, bardziej, że jest to gra podmiotów równouprawnionych, w sensie ontologicznym tożsamych. System - mimo więzienia - jest już obrazem konkretnych ludzi /surowszych - łagodniejszych, zwykłych wykonawców i diabolicznych Reżyserów Gry, wreszcie Judaszów - znakomita literacko sylwetka "kapusia" w relacji Jankowskiej/, którym przeciwstawiają się inni, równie realni ludzie /postacie współgłodujących w zapisie Kropiwnickiego to cała gama postaw i zachowań/.

Te "gry" policyjne, więzienne, sądowe to przykłady odzyskiwania przez Jednostkę mocy poznawczej i sprawczej - oto "ja" rozumie świat przeciwko systemowi "rozumieniu"; oto "ja" upraktycznia swoje rozumienie świata przeciwko praktyce systemu. Patrząc poprzez literaturę, nawet literaturę polską, małe są to zdobycze. Bez nich jednak niemożliwe jest odbudowanie pewnego etosu - osoby i literatury. Nie myślę, by miał to być wyłącznie lub przede wszystkim etos polityczny. Jeżeli jednak, a zgadzam się tu z Józefem Tischnerem, etos jest "składnikiem naszego sumienia", jest "naszym światłem wewnętrznym, które pozwala na odczytywanie istotnego sensu dziejącego się wokół nas dramatu..." ; to nie można go okrawać z polityczności - codziennej i wyjątkowej, uległej i heroicznej, z żadnej jakkolwiek by nie była. W tym też sensie proces przywracania literaturze mocy nazywania i sądzenia musi być zwieńczony wydarzeniem systemowi tej najpilniej strzeżonej przestrzeni decydowania, jaką jest polityka. I w tej perspektywie tylko przywołałem owe "zapisy", jako fundament świata literacko /artystycznie/ jeszcze nieobecnego. W tych tekstach bowiem odbija się fragmentaryczność - literacka także - obu tomów "Raportu o stanie wojennym" Marka Nowakowskiego. To na ich tle demistyfikować można mitologię "Kamienia na kamieniu". To one dopiero pozwalają zrozumieć wagę pisarskich propozycji "Sublokatorów" Hanny Krall i "Rozmów pplszych latem roku 1983" Jarosława Marka Rymkiewicza. Dopiero bowiem poprzez odbudowę podstawowych zanczów polityki rozumianej po Arystotelesowsku /człowiek jest obywatelem - człowiek jest "polityczny" lub nie jest człowiekiem/ literatura może odnaleźć swój język prawdy.

Oczywiście literatura nie odbuduje nawet fragmentu rzeczywistości, to zrobić mogą tylko zorganizowani wyzwoleni ludzie. Literatura co najwyżej może ów proces wspomagać lub hamować, może stawiać trafne lub fałszywe diagnozy, próbować formułować wiążące lub pozorne narzędzia, środki i cele odbudowy. Jak pisał anonimowy Autor w 15 numerze "Kultury Niezależnej": "wspólną społeczną czyli Ojczyznę funduje porozumienie nie językowe, powszechna obligacja moralna osób co do tego, by ze słowa czynić sprawiedliwy użytek". Literatura jest jednym z poziomów tego porozumienia i jest jednym ze sposobów odbudowy tego etosu, będącego "powszechną obligacją moralną osób". Nie da się tego zrobić bez odzyskania elementarnego poziomu prawdy życia codziennego i bez wieńczącego wszelką działalność poziomu wspólnotowej symboliki. Banalna to prawda, jak banalne są niedole literatury polskiej ostatnich lat. Dziękuję Państwu.

ANDRZEJ URBAŃSKI

PRAKTYKA CZYSTEGO ROZUMU

W wielu egzotycznych dla nas kulturach - bądź archaicznych, bądź też niezupełnie słusznie nazywanych prymitywnymi - wytworzyła się ongiś instytucja Starca. Funkcjonująca na marginesie aktualnych wydarzeń, niekiedy wręcz pozbawiony zmysłowego czy intelektualnego kontaktu z rzeczywistością, Starzec ów z racji wieku, doświadczenia i kontemplatywnego siłą rzeczy stylu życia, był dla swej grupy najwyższym autorytetem. Zasięgano jego rady w wielu publicznych i prywatnych sprawach, poddawano się opinii i wyrokowi posiadającym sankcję wielkiego umysłu, czasem wręcz płynącym za jego pośrednictwem od mądrości najwyższej, boskiej. W XX wieku instytucja Starca straciła swe znaczenie. Rzadko szukamy autorytetów, niechętnie poddajemy się opinii innych, najbardziej nawet doświadczonych ludzi. Ale i od tej reguły na szczęście bywają wyjątki. W dzisiejszej Polsce status wielkiego duchem i mądrością Starca zdobył sobie Stefan Kisielewski.

Choć stworzona przez niego swoista filozofia, zwana kisielizmem bądź w innej wersji kapitalizmem utopijnym, nie znalazła sobie jeszcze miejsca w słowniku nauk społecznych, jej twórca z roku na rok zdobywa coraz szersze kręgi wyznawców. Przeważają wśród nich ludzie młodzi, dla których wydaje się być jedyną rozsądną reakcją intelektu na postępującą absurdalność polskiej współczesności. Mimo dzielących Polaków różnic w kwestii praktycznych możliwości i sposobów walki z konkretnymi przejawami najszej "nierzeczywistości", zaczyna tworzyć się consensus obowiązujący w myśleniu. Spokój, dystans, a przede wszystkim wszechobejmująca ironia stają się jedynym lekarstwem mogącym ochronić nas przed szaleństwem, wyrastającym na podłożu bezsilności. Śmiejemy się, bo przypuszczalnie ten świat potrwa dłużej niż nasze życie - to naczelna zasada kształtująca światopogląd kisielizmu, systematycznie budowany w pozornie tak banalnej, nieuchwytnej i przemijającej formie jak felieton.

Kisiel jest przede wszystkim mistrzem tego gatunku - i chyba zdaje sobie z tego sprawę. Właśnie felietony budują jego autorytet, właśnie one tworzą jego specyficzną szkołę myślenia. W nich to in statu nascendi można prześledzić autokreację Kisielewskiego. Jego autointronizacja na stolec Starca była bowiem zabiegiem w dużej mierze świadomym, a dowodzi tego chociażby autorska kokieteria. Kisiel wiedział do czego dąży, uwodząc czytelnika pisaniem o swym wyobcowaniu, zdystansowaniu, braku czytelników i posłuchu - co widać zwłaszcza w tekstach z lat ostatnich. Tej samoświadomości dowodzi także zamysł jego najnowszej książki, zatytułowanej "Wszystko inaczej", którą - wedle autorskiej deklaracji - zaplanował jako sumę kisielizmu, dzieło ostatnie, wieńczące kilkadziesiąt lat bojów o zmiany w świadomości narodu.

W myśl założeń Kisielewskiego jego opus magnum przybrać miało formę powieści, jako że twórczość prozatorska jest najczulszym punktem tego ładu renesansowego pisarza i muzyka. Przez 40 lat Kisiel napisał kilkanaście powieści, z czego właściwie tylko jedna, "Sprzysiężenie", funkcjonuje w obiegu wartości literackich. Jeszcze tylko gdzieś gdzie pojawiają się wzmianki o dokonaniach krajowych pod pseudonimem Teodora Klona, zaś główne teksty prozatorskie, pięć bodajże książek wydanych "u Giedroycia" a dopisanych przez Tomasza Stalińskiego trwa gdzieś w intencjonalnej przestrzeni sztuki. To właśnie najbardziej boli autora, to właśnie sprawia, że powieść ma ukoronować jego ziemską wędrówkę. I trudno się Kisielowi dziwić, jego poczucie niedowartościowania nie płynie z minoterii. Powieści Stalińskiego nader rzadko trafiają do planów edytorskich wydawnictw krajowych, brakuje Stalińskim nawet wzmianki w "Małym słowniku pisarzy polskich" i "Przewodniku encyklopedycznym - Literatura Polska" /a jest tam sporo o Stefanie Kisielewskim/. Właściwie publiczność wie o istnieniu tych utworów od samego Kisielewskiego, który przyznając się do pseudonimu, jedynie własnym słowem ręczy za ich autorstwo. Można mu wierzyć lub nie, gdyż kiedyś równie dobrze może się okazać, że twórca "Cieni w pieczarze" czy "Widziane z góry" jest na przykład Władysław Machajek /O Jerum!/.

Ta niemożliwa sytuacja wywarła pośrednio swe piętno na książce ostatniej. Kisiel, w przeciwieństwie do pana Jourdain, nie potrafi lub nie chce już myśleć prozą. Pod jego piórem wszystko staje się felietonem. I nim właśnie okazuje się książka "Wszy-

stko inaczej", pomimo wpisania w nią nikłego wątku fabularnego, dziejów docenta Marcieja N., który za pomocą swego nowoczesnego komputera pragnie zreformować tzw. umownie system planowego zarządzania polską gospodarką. /Notabene - nie dostrzegając tego że wszechobecny centralnie sterowany system informatyczny zabrały nam nawet ten istniejący, niewielki margines wolności/. Ale nawet tej warstwie utworu Kisiel odbiera literackość, stwierdzając kilkakrotnie, że opisywane, a raczej mozolnie rekonstruowane wydarzenia, są autentyczne. Dlatego omówienie tej książki musi wyjść poza ramy krytyki literackiej, dając pole do popisu historykowi idei czy publicystyce. "Wyśli cenę znacznie bardziej od faktów" deklaruje autor w "powieści" i recenzent także pragnie pozostać wierny tej maksymie.

Felietonowe myślenie Kisiela koncentruje się jak zwykle na problemie komunizmu, którego istnienie historyczne wręcz uprawomocnia egzystencję pisarza. Jak sam autor stwierdza, nagła rekonstrukcja polskiego kapitalizmu, odebrałaby nam rację bytu. Panorama ewokowanych przez komunizm problemów, rozrzucona po dominujących w powieści dygresjach, rozciąga się od nader trafnych bon motów /rok 1944 - rok Powstania i Nastania; komunizm jako dyktatura księgowych; zamiana życia gospodarczego na urzędnicze/ po subtelne i głębokie przemyslenia. Pisząc o problemach ustrojowych Kisiel wdaje się przede wszystkim w polemiki z lewicującym stylem myślenia, dominującym w jednym z odłamów opozycji, oraz w krytykę działania "Solidarności", co skądinąd skwapliwie wydobyli recenzenci prasy oficjalnej, Krzysztof Majchrowski i Daniel Passent, wykazując się zresztą całkowitym niezrozumieniem konsekwencji Kisielowych diagnoz. Uważając za autorem tę kwestię za naczelną, zajmmy się jej eksplikacją.

Leitmotiv analiz jest w świetle felietonów z ostatnich lat oczywisty. Za opokę komunizmu Kisiel uważa, w zgodzie z Karolem Marksem, tzw. społeczną, czyli państwową własność środków produkcji. Tylko ten jest wolny, kto posiada środki produkcji - to podstawowe założenie Kisiela, skądinąd będące jedynym stwierdzeniem klasyka, z jakim bez reszty się zgadza, narzuca gospodarczą perspektywę polemik z ustrojem, pomijaną, zdaniem pisarza, przez całą patriotycznie i demokratycznie nastawioną opozycję.

Ten tok rozumowania przynosi zabawne konsekwencje w kontekście powojennego /po-grudniowego/ oficjalnego życia umysłowego. Jak być może niektórzy Czytelnicy pamiętają, naczelnym hasłem pierwszego miesiąca stanu wojennego, lansowanym przez prozodową publicystykę, było dążenie do upowszechnienia pozytywistycznych /w opozycji do romantycznych/ stylów myślenia o współczesności. Na przykład takim z ducha Świętochowskiego mającym płynąć pismem był początkowo "Przegląd Tygodniowy". Oczywiście cała sprawa jak zwykle u nas oparta była na nieporozumieniu. "Jaś nie przeczytał" - i szybko się z poronionej idei wycofał. Głównym założeniem polskiego pozytywizmu po klęsce Powstania Styczniowego było przeniesienie walki o wyzwolenie narodowe z piaski-czynny romantyczno-patriotyczno-powstańczej w sferę ekonomii. Emancypacja gospodar-cza, wypieranie Rosjan i Niemców z przemysłu, dążenie do utrzymania ziemi w polskich rękach działać miały - i w jakimś stopniu działały - na rzecz poszerzenia marginesu wolności u samych jego, w Marksa i Kisiela ujęciu, podstaw. Rzeczywiste działanie po-zytywistyczne w 1982 roku byłoby więc skierowane przeciw tym właśnie monopolistycznym włodarcom polskiej ekonomiki, którzy jego realizację postulowali, zakładając oczywiście, że np. podziemna produkcja - bo rolnictwo na pewno nie - jest w jakimkolwiek sensie możliwa /wykluczam problem działania drukarni/. Nowemu polskiemu pozytywizmowi szybkoitku ukrecono łeb, jednakże echa tegoż programu ujawniły się w inteligibilnej sferze działania niektórych odłamów liberalistycznej opozycji z samym Kisielom na czele.

Autor "Wszystkiego inaczej", daleki od wiary w moc sprawczą własnych przemysleń, upo-rczywie dąży do ich upowszechnienia. Prezentując podstawową zasadę zniewolenia, prze-ciw niej pragnie obrócić potencjał intelektualny całej opozycji, poruszającej się wciąż w obrębie rekwizytorni lewicowej, hasłowo utożsamianej z nazwiskiem Adama Mich-nika. W lewicowym etosie Kisiel dopatruje się także przyczyn klęski "Solidarności", która idąc za swymi doradcami /pięlny obraz J.Kuronia, śliniącego się na sam dźwięk słów: klasa robotnicza/, nie potrafiła wyjść poza piękne acz oderwane hasła wolno-ści, demokracji itp., itd. i wytworzyć programu walki z upaństwowioną, bezwładną, za-padającą się w sobie realnie socjalistyczną gospodarką. Jak Kisiel stwierdza wprost: Polacy nie umieją się wyzwolić z psychicznego uzależnienia od upaństwowienia wszyst-kiego. Faktem jest, że hasła lewicowe i patriotyczno-powstańcze zdominowały wydarzenia roku 1981 i następných. Oczywistymi przyczynami tego stanu rzeczy był po pierwsze robotniczy charakter buntu "Solidarności", nawiązującej do tradycji PPS-owskiej, po drugie zaś przyzwyczajenie, inercja myślowa skazująca wielu spośród jej przywódców

na zaciemniającą obraz rzeczywistości, narzuconą nam od 40 lat frazeologię. Nie bez znaczenia jest także odwyuczanie Polaków od myślenia w kategoriach społeczeństwa obywatelskiego i wyparcie ze świadomości poczucia odpowiedzialności jednostki za jej własny, także ekonomiczny, los. Z tych uwarunkowań wyrosła kolejna, nie nazywana przez Kisiela po imieniu przyczyna zaistniałych w sferze programowej niedomówień. Był nią strach, nie materialny a intelektualny lęk przed nazywaniem rzeczy wprost, przed zmianą języka społecznych i ekonomicznych analiz. Programowatwórcy balili się powiedzieć wprost społeczeństwu: że robotnik nie jest nikim wyjątkowym, a jedynie takim samym człowiekiem jak wszyscy; że ludzie nie są równi i równi być nie mogą; a wreszcie, że sam Lucyper czyli kapitalizm jest może nie tyle dobry, ile po prostu naturalny, konieczny i dla prawidłowego funkcjonowania gospodarki niezbędny. Pewną rolę odegrał też zapewne - zbyt daleko posunięty - kamuflaż językowy, mający odebrać władzy możliwość propagandowego wykorzystania wpajanych Polakom uprzedzeń do wszystkiego co nie socjalistyczne /np. wizji powrotu Huty im. Lenina w ręce niemieckiego czy brytyjskiego kapitału/. Stąd wynikała popularność haseł socjalistycznych czy spółdzielczych z ducha Pużaka czy Abramowiczów płynących.

Kisiel wierny - nie wiem na ile świadomie - pożytywizmowi, unika mówienia o wartościach. Piętnując cierpiętniczo-patriotyczny styl myślenia "Michników", stwierdza, że sfera wolności obywatelskich jest wtórna wobec wolności produkcji i handlu. Dopiero ich realizacja umożliwi powrót wolności politycznych. W swej polemice z tragizującym obrazem rzeczywistości XIX-wiecznej proveniencji, lansowanym przez wzięzionych działaczy opozycji, nie ogranicza się jednak tylko do sfery zjawisk ekonomicznych. Burząc iluzję patriotyczno-popowstarstwie, wyrastające z częściowo zrusyfikowanej świadomości wielu Polaków, stwierdza wprost, że nasz tragizm nie jest piękny a upokarzający. Nie męczeństwo narodu dominuje w naszej sytuacji, lecz bierność, pasywnizm, trywialne zniewolenie przez absurd świata, w którym każdy chcąc nie chcąc uczestniczy - jako pracownik, klient, urzędnik, petent itd. Rozbudowane struktury Państwa, owego hobbesowskiego Lewiatana, wciągają wszystkich w swe tryby, nie tylko jako ofiary, ale i drobne kółeczka maszyny, mielącej nasze życie na popiół. Maszyny, z której tylko nieliczne jednostki - jak Adam Michnik i jemu podobni - potrafią się wyzwolić. Ten właśnie bezwład, pat duchowy, grzech przez zaniedbanie, a nie pojedyncze przypadki terroru są dla Kisiela najważniejszym wyróżnikiem łagodnej dyktatury Pinokia, jak z nieukrywaną sympatią uporzeczywie określa premiera Jaruzelskiego. Uspienie dusz ludzkich to największa klęska narodu - stwierdza Kisiel i dlatego - nie zawsze w zgodzie z powszechnymi odczuciami - ceni sobie Polskę, jako "najweselszy barak w naszym Obozie", w przeciwieństwie do pogrążonych w katatonii Rumunii, Czechosłowacji czy Łotwy. Polski realny socjalizm jest dlań bowiem, w zgodzie zresztą z faktami, dyktaturą złągodzoną przez bałagan. I chociaż pisze: "Zniewalacze są tylko na pół przekonani, wobec czego ich ofiary bezzasadnie mniemają, że są na pół wolne", docenia w zrywie "Solidarności" fakt rozbudzenia znacznej części społeczeństwa do myślenia i prób zrozumienia własnej sytuacji. A tak na marginesie - podbudową Kisielowego zadowolenia może być samo ukazanie się inkryminowanej książki.

Kisiel bardziej ceni myśli niż fakty, dlatego jego analizy obracają się tylko w obszarze intelektu. Dając przenikliwą diagnozę rzeczywistości, wytyczając kierunki myślenia, nie podejmuje się przepisania terapii. Wie co trzeba zrobić, kwestuje ją k pomija milczeniem. "Pesymizm mnie krzepi, gdy wiadomo, że nic się nie da zrobić poza jedynie opisaniem tego co kłębi się dookoła" - pisze, pozostając w nieintencjonalnej zgodzie ze swym wielkim adwersarzem Józefem Mackiewiczem. Choć radykalnie różni ich opis świata i stosunek do niego, obaj Starcy zatrzymują się na granicy działań praktycznych. Ich analizy, niezwykle płodne, choć rozbieżne, nie posiadają mocy sprawczej. Ale nie taka jest rola Wielkich Starców. Nie działanie jest ich domeną, nie programowanie dróg zmiany sytuacji należy do ich zadań. Pomagając zrozumieć rzeczywistość wyznaczają swym czystym rozumem teoretycznym pole działania dla praktyków.

¹ Stefan Kisielewski "Wszystko inaczej", Oficyna Liberałów, Warszawa 1986, s.244
cena 57 000zł

INDYK BELTSVILLE

Przedmioty tkwiące w koronie drzewa toczą daremną walkę z mrocznymi siłami grawitacji. Przez gąszcz liści widzę emaliowany kubek, zardzewiały nóż stołowy i wiele innych rzeczy równie lekkich. Indyk na szczycie rozpościera skrzydła. Mogłoby się wydawać, że są to skrzydła obfitości i że z nich właśnie sypią się ku ziemi przypadkowe lecz istniejące dobra. Rozpościera skrzydła jakby chciał ruszyć dalej wzduż upatrzonego szlaku.

Z jego punktu widzenia stanowimy symetryczną i zagadkową grupę. Słomkowy kapelus z Dziadka Pustówki skupia na sobie dzienne światło. Kwiecista sukienka, jasne włosy i czeska biżuteria pani Herminy, ach pani Herminka poprawia uczesanie i śmieje się jak szalona. Krople śmiertelnego potu na czole stryja Józefa, on sam oparty o mur i poruszany przejmującymi dreszczami. Ciało Komendanta Kalety wewnątrz ciemnej i niesympetrycznej bryły willysa niczym organiczne centrum upału. Wreszcie Dr Folwarczny spoczywający w wysokiej, niekoszonej trawie, roje pszczoł i motyli pławiące się w zapachu jego martwej i leżącej jakby poza nim nogi.

Próbuję ogarnąć całość, odnaleźć właściwą perspektywę i odgadnąć początek historii która już się rozpoczęła. Poicki toną w listowiu, przekleństwa nie mają się pta, broń jest nieosiągalna i nieużyteczna. Szabla dryfuje przez labirynt ścian, a wśliwska strzelba zarasta kurzem i korozją. Sytuacja zmusza do stosowania środków perswazyjnych. Nie można dopuścić do poplątania wnętrzości, do zatraty siedmiu wiekustych smaków. Drzewo jest zbyt grube, aby nim potrząsnąć, zaś tam gdzie dotarł indyk zbyt wiotkie, aby się nań wspiąć.

Stryj Józef siedzi na trawie oparty o ścianę domu. Mimo to chwije się poruszany wiejącymi wewnątrz niego wiatrami. Wydobywa ukrytą w nogawce butelkę. Wódka przenika przez powietrze jego ciała tak łatwo jak pierwszy śnieg. Wstydzi się swojego nałogu. Błądzi mało uczęszczanymi ścieżkami i sypia gdzieś podnapdnie. Przed paroma tygodniami urządził sobie legowisko u boku indyka Beltsville. Sypiają razem w ostatniej graniczącej z zabudowaniami gospodarczymi izbie mieszkalnej. Stryj Józef wślizguje się tam co wieczór, kładzie na podłodze i zasypia pod troskliwymi wartswami nawozu. W kącie drży amorficzna głowa indyka. W domowym cieple, wśród ograniczających swobodę mebli jego anatomia nabiera świeższej obfitości. Oddech stryja miesza się z zapachem oddechów i w izbie panuje smród nie do opisania. Każdego dnia przed snem Józef przyrzeka sobie powrót do dawnego życia. Jest to jednak niemożliwe. Za bardzo oddalił się od wszystkiego co ludzkie i rzeczywiste. Trawa, w której tylekroć spał od dawna jest gotowa na jego przyjęcie. Okoliczna ziemia wchłoneła w siebie tyle jego oddechów, iż będzie się w niej czuł jak we własnej skórze. Ostatniej nocy stryj Józef dostał zawrotów głowy. Był monterem linii wysokiego napięcia. We śnie ujrzał ziemię z wysokości trakcyjnego słupa. Obok niego był Bóg, który czerwoną od mrozu ręką zaszywał ścieg dokonanego żywota. Lodowata igła chwiała się w Bożych palcach, niedługo runie na dół i przebije na wylot serce. Stryj Józef rozumiał wymowę tego obrazu bo płakał przez sen. Jego szlochowi towarzyszyła rytmiczna i niska pieśń uwalniającego się indyka Beltsville. Ogięty smrodem i bezruchem ptak rozwinął skrzydła. Siły i energie zgromadzone w udomowionych mięśniach kończyły się wprawdzie, ale starczyło ich na bełkotliwy lot od ściany do ściany. Krążył nad niczego nie słyszającym Józefem; w końcu trafił w okno i mozołnym, przez niego niezauważonym lotem, wbił się na szczyt stojącego w ogrodzie drzewa. Nad ranem stryj Józef obudził się przeniknięty chłodem i zapachem trawy. Przez rozbite okno świecił reflektor zimnego, górskiego powietrza. Z hieroglifów tynku, nawozu i pierza odczytał krótki opis walki i lotu. Zdjął ubranie nasycone wszystkimi składnikami świata. Wyrzebał z włosów resztki indyczego gówna. Ruszył przez wysoką azjatycką trawę w kierunku rzeki. Woda z łatwością oczyściła jego ciało, zaspokoiła pragnienie i wzmogła krącenie krwi. Zanurzył się po szyję, podniósł głowę i zauważył indyka Beltsville kołyszącego się sennie na szczycie lipy.

Biały, słomkowy kapelusz nadaje Dziadkowi Pustówce wygląd wiekustego farmera. Nie

widzi indyk, ale czuje na sobie jego krwisty i demoniczny wzrok. Nieomylnie obraca twarz ku wierzechokowi drzewa. Świat, w którym przebywa jest inaczej oświetlony. Wypełniające przestrzeń obszary ciemności i jasności są znane tylko jemu. W miarę zbliżania się do spokoju bliższego całkowitej ślepoty trumfują w nim żywoity głos i pamięć. Przesłuchuje wnętrza ścian, cegieł, przedmiotów. Słyszysz szepty, szelesty i niedostrzegalne przegrupowania trocin. W jego mózgu toczy się bełkotliwa akcja dwudziestowiecznej powieści. Powieść ta nie ma porządku chronologicznego. Niektóre rozdziały powtarzają się kilkakrotnie. Najobszerniejszy jest opis zajeżdżającej przed dom kawalkady umundurowanych okupantów. Szukają oficerskiej szabli i innych insygniów; przetrząsają piwnice i strych. Dziadek Pustówka stoi w ogrodzie, pali papierosa i przypatruje się okupacyjnej pogodzie. Tymczasem ukryta w kominie szabla brata się z murami. Następne epizody są krótsze. Opisują przejazd Mościckiego pod bramą rolniczą, powrót starego Pustówki z Ameryki, cytują piękne kazanie biskupa Wantuły stojącego u szczytu pustej i świetlistej muszli kościoła. Wątek współczesny zajmuje niewiele miejsca. W Polsce Ludowej Dziadek Pustówka sprawował urząd naczelnika poczty. W czasie żniw telefonistki, spedytorzy i listonosze pracowali przy spręcie zbóż. Po pracy spożywano wielokrotne jajecznice i pito samogon. W niedzielę urządzano festyny i zbiorowe fotografie. W miarę upływu czasu język powieści ulega coraz wyraźniejszym zmianom. Obrazy, metafory i symbole stają się coraz rzadsze. Pozostaje klarowny choć niekiedy pozbawiony logiki wywód. Około sześćdziesięciu stron zajmuje monolog Dziadka Pustówki rozbudzonego pewnej sierpniowej nocy łoskotem wspinających się ku granicy czolegów. Za względu na osobliwe połączenie panujących ciemności z prawie zupełną ślepotą narratora jest to tekst nasycony do granic sensu epitetami dźwiękowymi i onomatopejami. Łoskot czolegów, chrząst ich gąsienic, wibracje pokonujących wzniesienia silników ustępują z wolna w klarownej choć jednoczynstowej pamięci systemu jak sygnatka brzęczeniu dobrze podkutyh kopyt. Oba dźwięki dzieli trzydzieści lat i potrzeba tu nie łała interpretatora aby z ich bełkotliwego współbrzmienia odcyfrował kształt białoczerwonych szachownic na czolegach czy też szczegóły umundurowania, nazwiska żołnierzy i imiona koni zatrzymujących się na pierwszym popasie w Gnojniku, jesienią 1938. Narratorami ostatnich fragmentów są coraz częściej radiowi lektorzy, których Dziadek słucha nieprzerwanie. Epizody poświęcone Józefowi pojawiają się rzadko. Został spłodzony po powrocie z Węgier w ziemie 1940 roku. Po urodzeniu ważył kilo dwadzieścia i nie miał skóry.

Ptak kołysze się na drzewie. Stryj Józef uspokaja własne ciało. Dziadek Pustówka czuje na sobie wzrok indyka Beltsville i cała scena zapisuje się w jego pamięci jako kolejny rozdział. Być może jest to już epilog, wraca wszak do piama obrazowego, obfituje w sceny symboliczne i pełen jest szychkowego nastroju.

Pani Hermiina stoi zalotnie oparta o płot, przekomarza się z nami i radzi skierować ku wierzechokowi drzewa silny strumień wody. Wydobyty z palni szałuch obracam ku górze. Ciśnienie jest jednak zbyt słabe, woda dociera zaledwie do najniższych gałęzi płoszy kurz, drobne listki, martwe owady i cały ten harmider sypie się na nasze głowy. Pani Hermiina śmieje się jak szalona i szybkimi ruchami poprawia włosy. Ach, pani Hermiina, gdyby działa się to w innych czasach, mógłbym śmiało powiedzieć, iż ciało jej jest nam doskonale znane. W powieści Dziadka Pustówki jeden z najsolidniej ocenzurowanych i opatrzonych najsekretniejszymi sygnaturami rozdziałów poświęcony został opisowi tego ciała. Ci, których Dziadek zapoznał z fragmentami, wiedzą wszystko. Ach, pani Hermiina stoi oparta o płot i z wprawą iluzjonisty manewruje ukrytą w dłoni szminką. Obywa się bez lusterka, zdaje sobie sprawę, iż jeśli nawet chybi, drobna skaza w rysunku przysła zniewalającego uroku. Indyk Beltsville nie interesuje jej wcale. To my, mężczyźni trudzący się czymś w rodzaju polowania jesteśmy przedmiotem jej figlarniej uwagi. Pozornie nikogo z nas nie wyróżnia. Pozornie gotowa jest wspólnie z Dziadkiem Pustówką napisać jeszcze jeden rozdział jego powieści lub przynajmniej raz jeszcze od czytać tamten sekretny i ocenzurowany. Pozornie wiernie oczekuje na godzinę trzeźwości Stryja Józefa. Pozornie może zmierzyć się z pozbawionym jakichkolwiek obszarów erogerycznych ciałem komendanta Kalety i skupić na sobie jego rozkojarzoną uwagę. Ach, pani Hermiina. Dr Folwarczny również może oczekiwać, iż jej pieszczoły zatapiają mu najdoskonalej nawet skonstruowaną protezę. Nad jego martwą nogą wzbijają się roje pszczoł i motyli zwabione gęstniejącymi wewnątrz niej sokami. Pani Hermiina nadal wzniesła wokół siebie aureolę owadów, listków i kropel wody. Stworzenia i drobiny towarzyszące jego nodze i jej włosom zdają się bratać z sobą i gwarantować im więź osobliwą lecz trwałą. Ja także jestem nie bez szans. Przypuszczam zresztą, iż to do mnie pani Hermiina kieruje najznacniejszą część seksualnego chichotu. Jestem tu wszakże najmłodszy, choć nie tak młody, aby niedojrzałość moja mogła odstręczać. Jestem szczupły, choć już zaczyna wzbierać we mnie powłata tłuszczu. Piszę książkę i czynność ta wyposaży mnie w nie-

bywała charyzmą. Ach, pani Hermina! Osaczamy indyka. Ona zaś nas osacza. Indyk Beltsville i pani Hermina biorą nas w dwa ognie erotyzmu i zwierzęcości, gastronomii i seksu. Jego zawieszona na wysokościach obietnica i jej przyziemne obietnanki wplatają nas w kabałę, z której nie bardzo wiadomo jak się wyplątać.

Komendant Kaleta siedzi za kierownicą zielonego willysa. Zapala i gasi silnik. Rozmawia z nami przez otwarte drzwi. Jego pozbawione obszarów erogennych ciało sprawia wrażenie ostoji służbowego porządku. Zalotne spojrzenia pani Herminy i niesubordynacja indyka w nim powinny znaleźć pogromcę. Niestety Komendant jest dzieckiem popychanym przez byle jakie wiatry. Pokryta dziedziczną opalenizną skóra to jedyny element jego natury konsekwentny, odporny i nieustępliwy. Pozostaje przypadkiem. Trwa mimochodem. Władza, którą sprawuje nie utwierdza go w oczekiwanej nieomyślności. Klawrowe i jednoczynne dyrektywy służbowych regulaminów wyzwalają w nim subtelny i dociekliwy interpretatora. Konieczność zachowywania tajemnic zawodowych ściiera się z nieposiromioną potrzebą ich ujawniania i komentowania. Najbliższe decyzje są dla niego uciążliwą fatygą. Wdaje się w narkotyczną, wiodącą na manowce, grę z samym sobą. Czas upływa mu na rozmyślaniach czyścić prawo czy w lewo, otworzyć czy zamknąć okno, wstać z krzesła czy na nim pozostać. Wykształca w sobie niebywałe odruchy i przewyższa je. Nie wie czy przeciwzić się osaczeniu indyka czy też je poprzeć. Nie wie czy zgasić silnik i wysiąść z samochodu czy też odjechać. Także pomiędzy nim a siedzącym na szczycie drzewa ptakiem zachodzi osobliwe podobieństwo. Resztki instynktów ulatniają się z ich niesymetrycznych głów. Nieokreślone ambicje pchają ich w nieznanym kierunku i nie pozwalają zarazem ruszyć się z miejsca. Ciało ciepłą w obliczu ogromnych i budzących trwogę przestrzeni.

Dr Folwarczny pozornie zupełnie bezradny, leżący w wysokiej trawie, wydary kalectwu, pszczołom i motyloom, służy jednak sporą choć nieco abstrakcyjną pomocą. Jego umysł przywykł do nieustannego konstruowania skutecznych protez montuje wymyślne urządzenie, które rytmicznymi uderzeniami w pień powinno spowodować najłagodniejszy z możliwych upadek indyka. Jest to prowizoryczne wahadło zbudowane z żerdzi, łańcuchów i odważników. Jego celne uderzenia rychło dotrą do włókien otaczających zwierzęce serce pnia. Dr Folwarczny leży w trawie, ustala rodzaj smaru i ugadania dane ostatnich przekładni. Dotknięty jest tym rodzajem kalectwa, z którym najbardziej mu do twarzy. Brak ręki byłby dla niego katastrofą. Mimo to trwoni szlachetność swej ułomności. Tyje i beładnie się rozprzestrzenia. Niedowład jego ma sens wyłącznie przy zachowaniu pozycji pionowej. Wówczas to zamącona architektura jego ciała widoczna bywa w pełni. Pozycja leżąca - do której dąży przy lada okazji - bezlitośnie burzy perspektywę. Pani Hermina patrzy nań z niemąłą życzliwością, coraz mniej znajdując jednak usprawiedliwień jego pokraczności.

Indyk szykuje się do ostatecznego odlotu. Białe pióro wypływa z zatoki skrzydła i nieskończenie spiralnym lotem ląduje w pobliżu nas. Przypominam sobie ten fragment powieści Działka Pustówki, w którym jest mowa o lornecie. Pozostawili ją razem z innymi przedmiotami pierzchający okupanci. Wchodzę do domu. Idę przez pokoje otwierając drzwi i okna, zapalając światła, odkręcając krany. Żywioty powietrza, elektryczności i wody odnajdują swe naturalne łożyska. W większości pomieszczeń trwa apokalipsa rzeczy; wiszące na ścianach wizerunki budzących świętokradcze pożądanie ariołów potwierdzają prostolinijsność życia duchowego domowników. Licho zachowana archeologia domu jest świadectwem flegmatycznego bratania pełnokrwistych lub amemicznych nacji, które w gruncie rzeczy niczym się nie różniły. Ilek razy przeszukiwałem tutejsze zakamarki, porządkowałem sterty kancjonatów, kalendarzy ewangelickich, zeszytów szkolnych i zniszczonych przedmiotów. Jakby w nadziei, iż trafią na pamiętnik któregoś z mieszkańców, na zapisane lustrzarym piórem czyjeś intymne notatki, na sztambuch służącej, dziennik jednego z wynajmujących tu pokoje letników. Odnajdywałem jedynie przedwojenne książki rachunkowe. Zapisane kaligraficznym piórem, zawierające litanie nazwisk żydowskich kupców - Gross, Stein, Roth, Immerglück, Lellich - sprawiały wprawdzie wrażenie dzieł sztuki lecz ich autorzy byli dalecy od najprostszych nawet form ekspresji. Nikt nie zdradził się pojedynczym zdaniem zapisanym na marginesie kolumny cyfr, frywolnym rysunkiem czy bezinteresownym autografem.

W ostatniej łbie warstwy indyckiego nawozu pokrywają podłogę plastyczne mapy nieznanych kontyentów. Za stertą ciężkich jak woda albumów /E. Feitinger. Księgarnia. Skład papieru i przyborów fotograficznych/, w kruchym całunie odchodów podłużny odcisk ciała stryja Józefa. Przychodzi mi na myśl, iż obecność Indyka Beltsville stała się tutaj uwierzytelnieniem cichej i niepozornej aneksji. Zbyt bliskie i długotrwałe sąsiedztwo zwierząt nie mogło pozostać bez znaczenia. Nawet teraz przez liche cegły i osypujące się tynk następuje nieustanna kontrabanda ziarna, zapachu i okruców suche-

go nawozu.

Lornetka leży na wieku skrzyni wypełnionej zdrewniałymi butami. Pokryta łuska zeschniętego brudu przypomina pancierz muzealnego kraba. Jednakże świat rozpościerający się poza soczewkami jest tak czysty jakby obmyła go tropikalna ulewa. Przez rozbite okno przypatrzyć się przejmująco jaskrawemu i bliskiemu indykowi. Jego skrzydła są świętym labiryntem świetlistych pokładów piór, liści i okruszyn. Biała głowa przypomina architekturę kopalnych grzybów. W przekrwionym oku koisze się przekrwiony, pomniejszony kontynent okolicy. Widać żyzne doliny i lesiste zbocza. Dym wznoszący się nad odległymi domostwami Braci Czechów oklaskujących Spartę Praga. Jego iluzoryczna bliskość uświadamia mi niechybne prawa fizjologii. Indyk po tylu godzinach powinien być głodny. Niczego jednak nie znajduje. Szykowane na wypadek sądnego dnia zapasy jedzenia dawno zostały wyczerpane. W piwnicy pozostały jedynie gęste jak smoła przedwojenne kompoty. Alkohol musujący pod białym kożuchem pleśni ma smak sanatoryjnych nalewek.

Zrezygnowany wracam do stojących pod drzewem mężczyzn. Pani Hermirny nie ma; przewidując szczęśliwy koniec łowów poszła zmienić suknię. Nieoczekiwanie przychodzi nam z pomocą stryj Józef. W jego kieszeniach znajdują się pokruszone szczytki dań, którymi żywił się od miesiąca. Resztki zapobiegliwie gromadzonych zrazów, steków, rumsztyków, bigosów, fasolek, eskalopek i surowek zamienione w marnę o niezapomnianym smaku i zapachu. Stryj wyjmując z kieszeni pełne garście tej strawy ja zaś staram się odwie czynnymi ruchami Bożego siewcy rozsypać to jak najszerszej i jak najdalej. Indyk trwa jednak nieruchomy i obojętny. Upajający zapach nie dociera widocznie do wierzchołka drzewa. Wówczas postanawiam resztkę jedzenia rozsypać na dachu. Dr Fólwarczny wskazuje mi miejsce; w którym najlepiej usunąć dachówki. Wymurzam się z szarej powierzchni jak śpiący rycerz czterdziestolecia. Indyk jest niesychnianie blisko. Widzę go prawie tak dokładnie jak przez lornetkę. Rozsypuję wokół garść jadalnego piachu on zaś rozwija skrzydła i ciężkim koszącym lotem ląduje tuż obok mnie. Przerazony prędkim obrotem sprawy, tracąc równowagę, bardziej odrochnowo niż świadomie wyciągam ręce. Trzymam go za brudne, szponiaste nogi. On trzepocze skrzydłami, życiodajna mama z kieszeni stryja Józefa opada ku niebu a zebranych na dole ogarnia euforia. Dzieadek Pustówka wstaje z krzesła, pani Hermina biegnie w wieczorowej sukni, komendant Kaleta wybija na klaksonie pierwsze taktę Międzynarodówki, Dr Fólwarczny unosi ku górze ręce, stryj Józef uśmiecha się nieprzytomnie.

Indyk trzepocze skrzydłami ale jest to leniwy, pozbawiony polotu ruch, nie przychodzi mi nawet do głowy, że starczy mu sił aby wzbic się ku górze i unieść mnie na pewną zatrąte; jest to niemożliwe, uchodzą z niego resztki sił i cała impreza zbliża się ku końcowi.

Stryj Józef rozpala pod wielkim kotłem, pani Hermina nie szczędzi przypraw, mężczyźni podają sobie z rąk do rąk czarkę przedwojennego kompotu. Nieoczekiwanie zapada zmierzch i robi się zimno. Upijamy się bztrosko zagryzając mięsem indyka. Jego smak ujawnia niespełnione nadzieje. Chciał wzbic się na niebawale orbity i przekroczyć granice klimatów. W jego wnętrznościach tli się jeszcze wizerunek białego parowca, na którym karmiono by go ziarnem i rybami. Zabrakło mu jednak sił i teraz rozmienny na drobne pograża się w zawilościach naszych ciał. Wieczorowa suknia pani Hermirny ujawnia pikantne defekty jej urody. Upijają się nasze ręce i nie jesteśmy w stanie utrzymać papierosów, kieliszków i kawałków jedzenia. Upijają się nasze serca przetaczające nadmierne porcje krwi. Komendant Kaleta rozpoczyna opowieść o spoczynającym na dnie Goczałkowic portrecie Stalina, ale nasz słuch i uwaga nie potrafią sprostać tej fabule. Zasypany kamiennym snem. Zasypia pani Hermina nie znajdując wystarczającej rękami rozkoszy w naszych pijanych i uśpionych ciałach. Jej sen jest jasny jak żarłoczne światło buntu i pożądania. Naturalna elektryczność otacza ją wieńcami ciepła, wnętrzości rozstępują się, słyszy długi i bekotliwy monolog Boga, w którym ten stary orgańnikator wyobraźni tłumaczy jej niestosowność zstępowania w łono w postaci deszczu aluminiowych i do cna zdewaluowanych złotówek. Stryj Józef wraca do ostatniej izby i szykując się do rychłej śmierci zasypla pod martwym nawozem snem bez snu i oddechu. Paraliż snu łagodzi też sprzecznosci w ciele Dr Fólwarcznoego. Komendant Kaleta unikając decyzji powierza swe ciało regularnemu oddechowi i ciemnościom. Nie wie czy śpi czy czuwa. Ja zaś docieram do obnażonego serca domu, łózka odkrytego czerwona pościela.

O świetle budzi nas łoskot maszyn rolniczych. Nad górami wschodzi światło naturalne. W jego intensywnym i martwym blasku widać Dziadka Pustótkę otwierającego na oślep za budowania gospodarce i po omacku uruchamiającego glebogryzarki, sadzarki, opylacze i siewniki. Pracują pełną parą, a odgłos jest tak mocny, iż słyszy go chyba także żołnierz czuwający w granicznej straźnicy.

JERZY PILCH

ROZMOWA Z POMNIKIEM

Pismo jest nowe; pierwszy numer wydany został zaledwie rok temu, nazywa się ono "21", ludzie piszą w nim sprawnie, teksty są ciekawe, a nawet ważne. Nic też dziwnego, że wśród tych ważkich tekstów redakcja postarała się o umieszczenie wywiadu przeprowadzonego pod koniec 1985 roku przez panią Marię de Hernandez z Lechem Wałęsą. Wywiad ten wcześniej opublikowany został w 13 numerze "Bez Dekretu". Nie wiem czy redakcja "21" w swojej publikacji korzystała z tekstu już wydrukowanego czy z zapisu magnetofonu nowego rozmowy, ale mam zasadnicze zastrzeżenia co do tego, jak, posługując się którymkolwiek z tych źródeł, skonstruowała tekst swojej publikacji.

Nie jest moim zamiarem zamieranie personalnych wycieczek, lecz krytyka konkretnego przejawu redakcyjnej lichej roboty z pisma "21" /który zresztą miał miejsce około rok temu i przez ten czas współpracownicy pisma, w co chętnie wierzę, podnieśli być może swe kwalifikacje zawodowe/. Chcę jednak, aby casus wywiadu z Wałęsą posłużył za podstawę dla głębszej refleksji nad coraz częściej spotykanymi w prasie "niezależnej" praktykami.

Prasa "niezależna". Bardzo to ładnie brzmi i bardzo lubimy mieć prasę niezależną: od nacisków cenzury, wydziału w KC, osobistego strachu przed "górami", pana naczelnego. Ale: dobrze byłoby, żeby była także niezależna od tego, co aktualni "niezależni" wydawcy uważają za polityczne, niepolityczne, szkodliwe, ośmieszające, nie na czasie itp. Przyjęcie bowiem powyższych kryteriów nie tylko zwiększa ryzyko, lecz wprost zagrożenia, że nie tylko nie powstanie pismo "niezależne" a dokona się tylko zmiana szyldu, zamiast Urzędu, o treści pisma i sposobie udostępniania materiałów, będzie decydował Jozek, który wie lepiej, a poza tym przegażał z Żenkiem.

Cozyście postulat uwolnienia publikowanych treści od wewnętrznej i zewnętrznej kontroli merytorycznej i formalnej nie oznacza, że pismo nie może realizować określonej linii programowej. I może i powinno - przez dobór drukowanych materiałów i komentarz do nich. Nie byłbym jednak zwolennikiem dokonywania tego przez wycinanie, dobieranie, skłajanie i, co tu w końcu owijać w bawełnę, fałszowanie cudzych tekstów. Tym procedurą zajmują się od lat na Mysiej i trzeba przyznać, że zdarza się w periodykach RSW natomiast znak /.../, przy opuszczeniach, skrótach itp. cytowanych materiałów. Pismo "21" skróciło, uczesało, ugiaskało wywiad z Wałęsą, nie napisało nawet, że drukuje jedynie fragment większej rozmowy, nie napomknęło, że była ona już drukowana, za to przy kwestiach zadającego pytania wpisało dumnie, że stawia owe pytania "Redakcja" /chyba redakcja "21"?/. To jakoś i nieładnie i śmiesznie. Choć autorka wywiadu przeprowadziła anonimowo i tak też podała do druku, to nie straciła na tyle swej osobowości, by wszelkie jej prawa autorskie przejąć miała Redakcja pisma "21", która, o ile wiem, nie przeprowadziła wywiadu z Lechem, nie jej głos zapisany jest na ścieżce dźwiękowej magnetofonu i być może obmyślała właśnie w tym czasie kiedy trwała rozmowa w Gdańsku formułę swego pisma.

Obmyśliła ją wspaniale. Przede wszystkim tytuł. Prosty i lapidarny, a jednocześnie bliski dla każdego i wywołujący natychmiastowe i prawdziwe skojarzenia. 21 - to liczba postulatów przedstawionych przez MKZ w sierpniu 1980 r. We wstępie do numeru 1 czytamy: "Pismo 21" takie właśnie stawia sobie zadanie: być miejscem wymiany myśli, formułowania diagnoz, kreślenia propozycji, interpretowania faktów i zdarzeń". No i tak. Propozycje posunięć społecznych pochodzące od pana Wałęsy w wywiadzie dla Marii de Hernandez zostały solidnie podkreślone, a fakt społeczny, jakim jest jedna z najdłuższych i najbardziej wyczerpujących wypowiedzi Przewodniczącego, został zinterpretowany. Żeby to jeszcze tendencyjnie, z nagięciem faktów do nadrzędnych wartości, to można by uszereżować w ogień walki politycznej, ale dokonano tego po prostu w imię układów, konwenansów i salonowej poprawności. W imię dobrze układających się stosunków z bohaterem narodowym i noblistą Wałęsą, w imię stworzenia image'u, że jesteśmy grzeczni, buty mamy czyste i paznokcie też, wyrażamy się powściągliwie, a w ogóle nie ma różnicy między ta-

kimi Najlepszymi Synami Naszej Ojczyzny jak Wałęsa i Zanussi, no chyba, że chodzi o wąsy.

Zanim przejdę do zilustrowania zabiegów służyących do obkładania przewodniczącego Wałęsę dość dwuznaczną poziołką w piśmie "21", przypomnę coś, co powinniśmy pamiętać wszyscy, a co redaktorzy pisma "21" powinni recytować stojąc na baczność wyrwani ze snu o drugiej w nocy w celi na Rakowieckiej. Punkt trzeci żądań Strajkujących Załóg brzmi:

"Przestrzegać zagwarantowaną w Konstytucji PRL wolność słowa, druku i publikacji, a tym samym nie represjonować niezależnych wydawnictw oraz udostępnić środki masowego przekazu dla przedstawicieli wszystkich wyznań".
Punkt 6:

"Podjąć realne działania mające na celu wyprowadzenie kraju z sytuacji kryzysowej poprzez:

a/ podawanie do publicznej wiadomości pełnej informacji o sytuacji społeczno-gospodarczej

b/ umożliwienie wszystkim środowiskom i warstwom społecznym uczestnictwa w dyskusji nad programem reform."

Droga redakcjo "21". Dlaczego zabraniasz Lechowi Wałęsie zabrać głos w dyskusji nad programem reform? Bo czyni to nie dość monumentalnie i gramatycznie? A to nie Wam przypadkiem łyż w oczach stały, kiedy po podpisaniu Porozumień mało monumentalnie siedział Wałęsa na płocie Stoczni i niegramatycznie zrywał nas wszystkich, abysmy od jutra zaczęli od nowa, wolni, pracowici, solidarni?

Tu uwaga na marginesie. Wywiad, o którym mowa w ogóle nie zdobył wielu admiratorów. "Nie wzięł" go Paryż, tamtejsze wydawnictwa Solidarności stwierdziły, że jest "niepolityczny". To na pewno. Wałęsa na ogół mówi to, co myśli, a nie to, co jest w danej chwili "polityczne". Ale specjaliści od "polityki" wiedzą lepiej. W dalszym procesie rozwoju ich wszechkompetencji proponowałbym wyrzucić z Ewangelii te fragmenty, które są "niereligijne", z "Alicji w krainie czarów" te, które są "niebajkowe", a z książki telefonicznej te, które są "niekomunikatywne".

Czas już jednak najwyższy na poparcie siów przykładami /niewieloma z możliwych/, czyli na studium przypadku - "21" kontra Wałęsa.

Ingerencje redakcji "21" w tekst wywiadu podzielić można na trzy zasadnicze grupy. Są to mianowicie zabiegi mające na celu: usuwanie kolokwializmów i likwidację zwrotów mogących uchodzić za nieuprzejme; opuszczanie sformułowań krytycznych, mogących kogós "dotknąć"; pozbywanie się z tekstu tych zdań, które świadczą o brakach erudycyjnych rozmówcy, do których on sam zresztą chętnie się przyznaje, bo w końcu śmieszne byłoby, gdyby niekwestionowany przywódca moralny wielomilionowego narodu miał kompleksy.

Kto na nie cierpi, ustalić stosunkowo łatwo ponieważ: w tekście w "21" opuszcza się systematycznie pełne namyślu "Yes", od którego Wałęsa często rozpoczyna zdanie - bo to śmieszna przywara, zdaniem Panów redaktorów nie przystojna Wodzowi.

Z treści wywiadu wynika, że Wałęsa obecny etap rozwoju ruchu społecznego pragnie widzieć jako, drugi po robotniczym proteście, etap dla "mózgowców", czas pisania programów i wyjaśniania pojęć. Ale nie dowie się czytelnik "21", co Wałęsa odpowiada na zadane wprost pytanie "Czy pan również ma kompleks antyinteligencji?", jakie widzi wyjście z sytuacji, w której władza celowo zabiega o wytworzenie konfliktu między grupami społecznymi. Czytelnik się tego dowie, mimo że nie jest to chyba kwestia marginalna, skoro swoją odpowiedź kończy Przewodniczący słowami - "To musi być nasze credo." Ale, to chyba jedynie wytłumaczenie, może redaktorzy pisma nie lubią nawet dopuszczać myśli, że pomiędzy opozycyjną inteligencją a opozycyjnymi robotnikami mogłoby coś "nie grać". Może wolą uważać, że pełna zgoda narodowa to, co już mamy z głowy, co dokonało się kiedy w sierpniu docenka dia Geremka /np./ ścisnęła robotarską łapę Lecha. Komu ma oczy zamydląć takie fałszowanie prawdy - bezpiecie, żeby nas się więcej bała? Czy tylko nam poprawić samopoczucie?

Bo samopoczucie to rzecz ważna dla redakcji, samopoczucie władz Związku - najważniejsze. Oto przykład: pytanie - "Czy Pana pogląd podzielają koledzy z władz Związku, którzy siedzą? Czy w ogóle Pan wie, czy oni akceptują Pańskie stanowisko?" - Wałęsa odpowiada, że jak siedzą, to wyjdą. że dobrze, że walczą, bo budzą świadomość w masach. A w ogóle zgadzają się czy nie zgadzają, ale "poszerzają horyzonty myślenia". I bardzo ładnie. Charakterystyczne tylko, że w porównaniu z tekstem w "Bez Dekretu" "wypadły z odpowiedzi dwa zdania. Chyba nie przypadkowo. Brzmiały one: "Niemniej jednak czy oni to akceptują czy nie, mnie to znów tak bardzo nie interesuje" i: "Trafiają w uliczkę, z której muszą się cofnąć i tak wrócą na te drogi, które ja w swoim czasie będę musiał

wskazać." Rzecz oczywista, że nie ma już miejsca w tym układzie na dalszą kwestię auto-rki wywiadu: "Mówi Pan, jakby w Sulejówku siedział", takó¿ i na około 15 dalszych wierszy rozmowy. Skróty te podyktowane s tym, że mogłoby się zrobić przykro uwięzionym działaczom, że się szef o nich "wyraża", nam, że Przewodniczący jest apodyktyczny, surowy itp. Czy do głowy redakcji nie przyjdzie, że działacze walczą o wolną Polskę a nie o puchar Prezesa, bo o to w PRL walczy jakby kto inny i że pan Wałęsa ma prawo być apodyktyczny, surowy, szorstki i jaki sobie chce, a wytknąć mu to może tylko ten, kto stworzy w Polsce wolne związki, dostanie Nobla, zrobi pierwszą proletariacką rewolucję na świecie i nie nieudaną przeciwie¿, bo ona trwa, czyli po prostu kto¿ Wałęsie równy, a nie byle pęta¿?

Redakcja "21" cenzuruje te¿ niegrzeczną i zaczepną babę, która prowadzi rozmowę. Nie rozumie widać, że jej ostry sposób prowadzenia rozmowy nie jest niegrzeczny, jest natomiast takim z pewnością pełne wstydułości opuszczanie wypowiedzi Wałęsy, np. takich: "Nie nauczę się na przykład pisanía bez błędów. Kiedy popełniam błędy, to czasem wiem, że pisze się "ż", ale ręka już mi się tak wyrobiła, że piszę "rz"...". Przypuszczam, że Redakcji "21" te¿ się już tak głowa wyrobiła, że nie dopuszcza za nic do tak żenującego ekshibicjonizmu wodza. To¿ to jak święta Tereska w dziurawych pończochach. Horrendum.

Ale wróćmy do poprawiactwa pytań wywiadu. Pani de Hernandez zarzuca Wałęsie: "Dorabia Pan sobie ideologię." To niegrzecznie, to się skreśla, choć rozmówca wcale nie wzburzony przynajmniej: "Mo¿na mówić, że dorabianie...". A już chamstwo, jakim jest pytanie "W latach siedemdziesiątych wszedł Pan w opozycję na zasadzie chyba trochę zgrzywy? Wieszanie ulotek itp." - jest w "21" kompletnie nie do pomyslenia, więc nie bacząc na prawa autorskie i tym podobne subtelności redakcja pisze: "W latach siedemdziesiątych wszedł Pan w działalność opozycyjną na zasadzie chyba dość prostej? Wieszanie ulotek itp." No i siusznie. Niby to samo, ale zawsze pomyśleć sobie można, że ta "dość prosta zasada" to nawiedzenie Duchem Świętym i już jest dobrze. Pani redaktor grzeczna, Wódz na pomniku, 21 postulatów na papierze, a redakcja "21" w pełni kwalifikacji do "Żołnierza Wolności" /jako zwolennicy pluralizmu mogą się podzielić na tych, którzy wołają "Za Wolność i Lud" i tych, którzy wołają "Żołnierza Wolności"/.

Z tej ostatniej, ostrej uwagi w stosunku do redakcji "21", być może nie na miejscu w przyjętej przeze mnie konwencji artykułu, muszę się wytłumaczyć. Po prostu nie do końca uważam tę sprawę za wesołą ciekawostkę. Trochę wiem o redagowaniu pism niezależnych i wiem te¿, że nie jest to zajęcie bezpieczne. Dla tych, co drukują, składają, przewożą - ale pamiętajmy - stosunkowo najbezpieczniejsze dla tych, którzy piszą. I oni winni być najbardziej odpowiedzialni. Jeżeli zdecydują, że wywiad pani de Hernandez z Lechem Wałęsą im nie odpowiada - nie muszą go zamieszczać. Ale posługiwanie się nieuprawnioną ingerencją, przeinaczanie tekstu, to już po prostu granda świadcząca o nara¿aniu du¿ej liczby zaangażowanych w produkcję pisma osób dla zabiegów demoralizujących.

KONRAD STRUGA

300 zł.

BEZ DEKRETU

1987